

LINTANG

477

*TEGOŻ AUTORA:*

ROMANS MARTY - POWIEŚĆ - WYCZERPANE

BAJKI UCIESZNE - POEZJE - WYCZERPANE

OSACZONA - NOWELA - WYCZERPANE

BIAŁY LEW - WYCZERPANE

✓ W PŁOMIENIACH - WYCZERPANE

✓ PRZEZ JASNE WROTA - WYCZERPANE

✓ SYN DNIEPRU - POWIEŚĆ - 1920

KRWAWA CHMURA - POWIEŚĆ - 1920

✓ PIELGRZYMI - POWIEŚĆ - 1920

✓ CZERWONA RAKIETA - POWIEŚĆ - 1921

WŚCIEKŁE PSY - POWIEŚĆ - 1922

✓ SIŁA SERCA - BŁĘKITNE ROMANETTO - 1922

W DRUKU:

✓ NIEZWALCZONE SZTANDARY - POWIEŚĆ

PRZEKLADY:

JAEMS HUNEKER: CHOPIN - CZŁOWIEK  
I ARTYSTA (W DRUKU)

RABINDRANATH TAGORE: ROZBICIE -  
POWIEŚĆ - 1922

— SADHANA - SZEPT DUSZY - ZBŁĄ-  
KANE PTAKI (W DRUKU)

204.

JERZY BANDROWSKI

# L I N T A N G

POWIEŚĆ



LWÓW — POZNAŃ 1922  
NAKŁADEM WYDAWNICTWA POLSKIEGO

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE



115135

DRUKARNIA SPÓŁKI ZJEDNOCZENIA MŁODZIEŻY W POZNANIU

K-60/81/130426

I.

Morze było gładkie jak stół, ciche, lazurowe, jasnym i ciepłym lśnieniem spojone na horyzoncie z niebem głęboko szafirowym, niezgłębionem a rozgorzałem. Cały świat spoił się w blasku błękitnym.

Ustał szum wichru i fal i słychać było wyraźnie żywe, rytmiczne hicie serca statku, przy którego bokach biegły w powietrzu skośne tęcze. Czasami woda, rozbita silniej stalową pierśią parowca, wyrzucała na jego przód rozmigotane, białe kolumny. Wyglądało to, jakgdyby z morza zerwał się anioł z rozpostartymi szeroko skrzydłami, a potem, ledwo jedną stopą oparłszy się o brzeg statku, odbijał się od niego, przechylał się w tył i znowu padał w otchłań.

Nad morzem wisiała czarująca, nieopisana cisza, cisza wprost święta, modlitewna, jasna i niczem niezmacona. Nie psuło, nie mąciło jej nawet rytmiczne tykanie motorów — dziecinny a raczej owadzi jakiś szelest, znikomy wobec tych milczących i zadumanych ogromów. Był to jakby syk konika polnego południową godziną. Bo poza tem wszystko było nieruchome i milczące — tylko w blasku i w lśnieniu.

Podróżni — wszyscy w jasnych, podzwrotnikowych kostjumach — humory mieli świetne. Utopili w morzu swe troski. O przeżytych zapomniano, nowe jeszcze się nie rozpoczęły. Więc dusze, jakby się stały lżejsze, biegły w słoneczność i bezmiar. Nawet czytać się nie chciało. Niektórzy przechadzali się, rozmawiając —

większość jednakże wyciągnęła się na leżakach i udawała, że czyta, z pod książek zmrzużonemi oczami wpatrując w dal turkusową, miękko, jedwabście połyskującą. Lekko ubrane dzieci, wesołe i rozkrzyczane, bawiły się w wojsko. Maszerowały z jakimiś kijkami, potem rozsypywały się w tyraljerkę na pokładzie. Rej wiodły oczywiście dzieci pani Bell, jak zawsze nieznośnie i niegrzeczne. Hałasowały niemożliwie, ale uchodziło im to płazem, bo nikt wprost sił nie miał oderwać się od morza i użerać się z malcami. Matka zupełnie nie zwracała na nie uwagi.

W to rozbawione towarzystwo jeszcze większe ożywienie wniósł wuj Phips, który posadził swego chłopca na leżaku i woził go tak po pokładzie, udając samochód, warczenie motoru i niskie „hu-hu“ trąbki.

— Lekkomysłny pomysł! — zauważył chudy, posępny Hume, ujrawszy to przez otwarte szeroko drzwi baru. — Nie sądziłem, że Phips tak mało zastanawia się nad tem, co robi.

— Obawiacie się, aby się chłopcu co nie stało? — odezwała się panna Nichols.

— Obawiam się, że Phips się prędko zgrzeje, a potem będzie pił za dużo wody z wódką.

Uwaga była słuszna. Phips istotnie zgrzał się w krótkim czasie, a jego malec, sportsman namiętny, ostatni dech z niego wybił. Wkrótce też zaczęła się między nimi kłótnia.

— Ja chcę jechać samochodem! — wołał chłopiec.

— Chłopcze, nie można! Słyszałeś, że kapitan zakazał jeździć samochodem po pokładzie, bo możemy kogo przejechać!

— To ty rób częściej „hu-hu“!

— Daj mi spokój, ja mam już dość „hu-hu“!

— A ja chcę jechać samochodem! Nie puszczę cię!

## II.

Panna Nichols przez dłuższy czas krążyła dokoła Ramiana.

Zajmował ją ten dziwny, tajemniczy mężczyzna.

Niewiele wiedziała o jego narodzie, prawie nic, o jego kraju i jego historii. I nie ciekawiło jej to bynajmniej, a tylko trudno jej było odgadnąć człowieka bez tego tła. Przystojny, dobrze zbudowany i ułożony, spokojny, wytworny, wyglądał na Anglika — tylko twarz miał miększą i oczy łagodniejsze, może odrobinę smutne. Wykształceniem znacznie Anglików przewyższał. Mówił biegle kilku językami, był bardzo czytany, zdradzał wyrobiony smak artystyczny i wytworne zamiłowania nieomal literackie, zaś równocześnie Phips i Hume twierdzili, że jest doskonałym finansistą. W towarzystwie bywał miły i umiał mówić ciekawie i zajmująco; zachowywał się zupełnie naturalnie, a jednak nigdy nie można było odgadnąć, co się właściwie w jego duszy dzieje. A nie pochodziło to z nieszczerości, bo Polak zupełnie otwarcie o swych sprawach mówił i przekonań swych nie taił — lecz poprostu z odmienności jego psychologii, zupełnie różnej od anglo-saskiej.

Dość na tem, że panna Nichols często o Polaku myślała. Zauważyła też, że w rozmowie z nią jest znacznie miększy, niż w rozmowie z mężczyznami. Kiedy patrzył jej w oczy, zdawało się jej, że te oczy jego mówią znacznie więcej, niż usta, że zwierają się z czegoś, czego usta wypowiedzieć nie potrafią i o czem

dusza może nawet nie wie dobrze. Te oczy, niemal dziecinne czy kobiece, szukające i wciąż w coś niewidzialnego zapatrzone, nie zgadzały się z poważną, myślącą twarzą męską, były jakby oczami innego człowieka, rzekłbyś — prosiły o przyjaźń i życzliwość. Panna Nichols w takich chwilach nie mogła się oprzeć wrażeniu, iż ten mądry i dojrzały mężczyzna jest bezbronny, bezsilny i potrzebuje pomocy. To młodej, pewnej siebie panie pochlebiało i to przyciągało ją do tego nieznanego i nieodgadnionego cudzoziemca.

Po kilku zręcznych manewrach znalazła się w pobliżu jego leżaka. Czuli, że ją zauważył. Właśnie pokazał się w oddali wracający z Indyj biały pasażerski statek holenderski.

— Panie Ramian! Znowu statek holenderski!...  
Odłożył książkę i podniósł głowę.

Lubił tę młodą, poczciwą dziewczynę. Nie była ładna, ale jej delikatna, dziewczęca twarzyczka miała naświetloną świeżość różowej perły, zaś oczy czarne, żywe i rozumne, patrzyły w świat odważnie i ufnie. Szczupła, drobna i uśmiechająca się odrobiną zażenowania, stała przed nim jasna na tle morza i białego parowca, który z czarnym pióropuszem dymu szybko przesunął się poza nią.

— Nie tracą czasu Holendrzy — rzekł, aby jej cośkolwiek odpowiedzieć, bo zrozumiał, że chciała z nim porozmawiać. — Wkrótce powetują sobie straty, jakie ponieśli przez wojnę podwodną...

— Zapewne... Pan nie pójdzie na „cocktail“?

— Nie.

Jako była skautka, nie mogła spokojnie patrzeć na pijących mężczyzn. Budziła się w niej natychmiast żyłka propagatorska i panna Nichols zaczynała mora-

lizować. Mężczyźni znosili to przeważnie grzecznie i cierpliwie, ona jednak zdawała sobie sprawę, iż przeszkadza im. Dlatego uciekała z „fumoir'u“, jak tylko bar otwierano.

Teraz chwaliła abstynencję Ramiana.

— Pani jest w błędzie! — protestował z uśmiechem. — Ja nie jestem abstynentem. Wogóle — niczego się nie wyrzekam. Nie piję teraz, bo mi to nadzwyczajnie szkodzi. Nie znoszę nie tylko alkoholu, ale nawet kawy i herbaty...

— Cierpi pan na nerwy?

— Choroba nerwowa — nie. To jest tylko pewien stan nerwowy... Stan tak silnego naprężenia nerwowego, że najmniejsza drobnostka wytrąca mnie z równowagi.

— Musiał pan dużo przejść! — odezwała się z ciepłym akcentem w głosie.

Zwrócił wzrok na morze i przez chwilę milczał.

— Niewątpliwie — jak każdy człowiek — przeszedłem dużo. Bywałem w życiu szczęśliwy i bardzo nieszczęśliwy. Chorowałem ciężko. Niech pani nie sądzi jednak, że te swe złe losy znosiłem mniej odpornie niż inni, że one dotknęły mnie głębiej, poderwały mnie nerwowo czy duchowo... Jestem zupełnie normalnym i zdrowym człowiekiem i czuję się fizycznie dobrze...

— A jednak, obserwując pana od kilku tygodni, miałabym wrażenie...

— Że jestem chory nerwowo? Proszę, niech pani mówi szczerze.

— Tak. Nic poważnego — ale to przygnębienie...

— Panno Nichols, ja wcale nie jestem przygnębiony...

— Może zresztą ten rys melancholijny jest właściwy waszemu temperamentowi narodowemu, tak, że pan go nie dostrzega, lecz ja, obca...

— I to nie. Może dawniej, kiedyśmy byli w niewoli, ale dziś — nie. Dziś jesteśmy pełni wiary w siebie i w życie, lubimy się bawić, pracować, dobrze zarabiać, używać... Może raczej jesteśmy lekkomyślni...

— A jednak nie zaprzeczy pan, że pan na swoje nerwy bardzo uważa, że może — mimo wszystko — jest pan przeczulony.

— Ma pani słuszność. Nie co do przeczulenia. Lecz na nerwy istotnie uważam. Przyczyną tego jednak nie jest bynajmniej zdenerwowanie... Jakby to pani powiedzieć!...

Usiadł na leżaku.

— Naprzykład — pani jedzie do Indyj, do swego narzeczonego, aby wyjść za niego. Tego narzeczonego pani zna, kocha go pani, wie pani, że on tam panią niecierpliwie i z utęsknieniem oczekuje — chciałaby pani skrzydła mieć, aby być prędzej, to jest zupełnie jasne i zrozumiałe... Niecierpliwie liczy pani dni podróży... Niechże pani teraz wyobrazi sobie, że to samo uczucie, ale w stopniu znacznie wyższym, powiedzmy — chorobliwym czy histerycznym, mam i ja — bez żadnego powodu, bez żadnego usprawiedliwienia czy umotywowania...

— Może pana istotnie co w Indjach czeka — wielki majątek, świetna karjera? Może to jest po prostu nerwowy niepokój człowieka, który jedzie w obce kraje na niepewne losy!...

— Bardzo być może. Rozumnie pani mówi. Lecz cóż z tego? Czy pani sądzi, że ja, człowiek dojrzały i niezależny, nie młodziak — zdolny byłbym do takiej „tremy“ przed życiem? Czy sądzi pani też, że mi na

życiu zależy więcej, niż Phipsowi — i że ja nie umiałbym zdać sobie z tego sprawy? Tembardziej, że właściwie to ja wcale jeszcze nie wiem, dokąd jadę i póco?

— Jakto?

— Otóż to właśnie jest najciekawsze. O Dalekim Wschodzie, o tych czarownych wyspach dalekich oceanów, marzyłem od dzieciństwa. Mnóstwo o tych krajach czytałem i czasami zdawało mi się, że je znam, jak gdybym się w nich urodził i wychował. Raz uciekłem z domu — chciałem jechać na Jawę, gdzie pewien mój znajomy był dyrektorem kopalni ropy — wrócono mnie z Triestu. To były marzenia dziecinne, chłopięcy romantyzm, robinsonady, to przechodzi prawie każdy chłopak...

— I dzięki temu właśnie wielu z nich staje się potem znakomitymi pionierami w kolonjach...

— Ale ja zrozumiałem, że u mnie to było fałszywe. I oczywiście — zmądrzałem. Nie wyrwałem się już z kraju. Prawda — jeździłem dość dużo, ale co innego podróż dla przyjemności, a co innego — emigracja. I tak oto, pracując rozumnie, zupełnie — powiedzmy — szczęśliwy, skończyłem swych trzydzieści sześć lat...

Tu Ramian zawahał się.

— I cóż? — spytała dziewczyna, patrząc mu ciekawie w oczy.

— Miałem kilka przykrych wypadków — odpowiedział marszcząc zlekka czoło — byłem jakiś czas ciężko chory, ale to nie należy do rzeczy...

— Czy nie należy?

— Stanowczo — nie należy. Nie ma zupełnie nic wspólnego z tem, co pani teraz powiem. Oto naraz zbudziło się we mnie niepokohamowane pragnienie — jechać!

— Podróż była panu potrzebna.

— Tak sądziłem i też zdawało mi się, że wystarczy, jeśli się trochę przelecę po świecie. A w ostatniej chwili zlikwidowałem wszystkie swoje interesy. Pani to mówię — zrobiłem to bez żadnej przyczyny, wbrew własnemu przekonaniu, nawet prawie wbrew własnej woli, wbrew własnym interesom. Byłem przecie pewny, że wyjeżdżam tylko na jakiś czas, że wrócę... Cóż ja miałem do roboty na obczyźnie, kiedy mam przecie swój kraj, swój naród, swoich... A tu nic! I mimo wszystko — wyjechałem.

— To bywa, to się zdarza...

— Kiedyż ja nie wiedziałem, dokąd jadę. Byłem to tu, to tam — wszędzie czułem, że to nie to, czego potrzebuję. Znosić naprzykład nie mogę Europy, ani Włochów, ani Hiszpanów... Nic mnie nie zajmuje Paryż, Rzym... Ruszyłem dalej — i oto rozpacz mnie ogarnęła w Arabji, bo znowu zobaczyłem, że to nie jest to, czego chcę... A przecież — jak wiele sobie po Arabji obiecywałem! Pani pamięta kanał Sueski i te typowo egipskie widoki, te rozlane szeroko stare jeziora, szuwały papyrusowe, dziwne ptaki tu i ówdzie, a w nocy z tym księżycem znowu... Wszystko znane, tysiącrotnie opisywane, malowane, powiedziałbym nawet, że dość bliskie sercu czy duszy... Bądź co bądź pamiętamy, wiemy, ile z Egiptu przeszło do Grecji, stamtąd do nas... Jakieś pokrewieństwo duchowe wkońcu znalazłoby się, ale — nie dla mnie, nie dla mnie! Nie mogę, w Egipcie też nie mógłbym żyć!

— Dlaczego pan w ten sposób patrzy na to? — zdziwiła się panna Nichols. — Jest pan w podróży i zwiedza pan obce kraje. Naturalnie, że żyć może pan tylko w swoim kraju!

— A cóż mnie z niego wyгнаło?

— Skądże ja mogę wiedzieć? — wzruszyła Angielka ramionami.

— Nie, bo pani nie rozumie... Oto — przypuśćmy — coś mnie z ziemi wyгнаło. Wydarło mi ziemię z pod nóg — i zawisłem teraz w powietrzu. Równocześnie znów głos jakiś mówi mi, że tam gdzieś niezmiernie daleko coś bardzo ważnego ma mnie spotkać, ma się wydarzyć coś, co zadecyduje o mem życiu... Więc z dziwną nadzieją, niecierpliwością i niepokojem zbliżam się do ładu... Może to będzie tu? Patrzę na kraj, wpatruję się w oczy ludzkie — nie wiem, nie znam ich mowy — a coś we mnie mówi mi, że to jeszcze nie to, że trzeba jechać dalej.

— Przepraszam — jak to panu ten głos mówi?

— Wszystko mi brzydnie w oczach, wszystko mi gaśnie i zaczyna mnie nieprzyjemnie drażnić... W Port-Saidzie nie mogłem zjeść obiadu, uciekłem na statek.

— Nerwy!

— Nie nerwy. Zresztą — może nerwy. Lecz jadę dalej. I nie wiem, co tam zastanę. Czy znajdę to, czego szukam, czy też może ten jakiś głos, który mnie pędzi z miejsca na miejsce — to opętanie? A wówczas co? — I skąd? Co to może oznaczać?

Panna Nichols potrząsnęła głową jakby z niezadowolaniem.

— Nie panuje pan nad sobą! — rzekła.

— Ja — nie panuję — nad sobą? — zdziwił się Ramian.

Młoda panienska zaczerwieniła się.

Jakże ona mogła coś podobnego powiedzieć temu tak zrównoważonemu i spokojnemu człowiekowi!



— Doprawdy, nie rozumiem! — tłumaczyła się. — Nie można panu zarzucić, aby pan nad sobą nie panował, to przyznaję, a z drugiej strony —

— To, co pani opowiedziałem — mówił Ramian — to nie są żadne fantazje, lecz przeżycia. Oto czem dziś żyję. Pani tego nie rozumie.

— Może ja mam inny sposób myślenia...

— Ależ niema nic dziwnego w tem, że pani tego wszystkiego nie rozumie! — roześmiał się Ramian. — Ja też nie rozumiem, pojmuje pani?

Odezwał się gong, wzywający na śniadanie.

Zaś Ramian kończył:

— Jedno jest pewne, a mianowicie, że ja się do-  
wiem, co to ma znaczyć. Prędzej czy później...

Panna Nichols wzruszyła nieznacznie ramionami i spojrzała na swego towarzysza ze zdziwieniem.

### III.

Na pokładzie statku było dużo Japończyków, wracających do kraju.

Wszędzie myszkowali, wszędzie się kręcili, cisi, wiecznie o coś pytający, uśmiechnięci, ugrzeczniejsi. Niektórzy byli w ubraniach europejskich, inni w długich, ciemnych kimonach, z pod których przy żywszym ruchu pokazywały się ich ciemne, nagie ramiona. Po południu, kiedy upał przestał dokuczać, kilku z nich, młodszych a znudzonych bezczynnością, urządziło sobie „assaut“. Bosi, w maskach i dobrze wypchanych pancerzach skórzanych, trzymając w rękach, owiniętych chustkami, długie palcaty, podchodzili ku sobie na nogach sztywnie wyprostowanych, jak na szczydłach, przechyleni wtył, z palcatem wymierzonym w pierś przeciwnika.

Ramian, który szermierkę namiętnie lubiał, przyglądał się Japończykom z wielką przyjemnością, podziwiając ich ducha bojowego, styl i rycerskość. Oto, gdy przeciwnicy stanęli już naprzeciw siebie, nie wypuszczając palcatów z rąk, oddawali sobie głęboki ukłon przez przykucnięcie i pochylenie głów, poczem dopiero rzucali się na siebie. Pojedynek polegał głównie i wyłącznie na uprzedzeniu przeciwnika, szybkości ciosu oraz na szlachetności organu, przeciw któremu cios był wymierzony — obrona zaś, niezmiernie trudna, operowała ledwo kilku prymitywnymi pozycjami.

Oparty o parapet górnego pomostu, Ramian obserwował turniej. Dopiero teraz rozumiał sens pozycji słynnych drzeworytów i rzeźb japońskich, przedstawiających walczących samurajów. Te same ruchy — kocie, dzikie, drapieżne, te same ciosy i pchnięcia prawą lub lewą ręką, te same — prawdopodobnie śmiertelne — uderzenia, zadawane w głowę lub szyję całym rozmachem oburącz, to samo zacięte, złe parskanie i mruczenie niezrozumiałemi, gardłowemi tonami.

Japończycy skakali po pokładzie. Palcaty głucho były w skórzane pancerze.

Zrozumiawszy technikę i zasady szermierki japońskiej, Ramian w lot pojął zasadniczy rys japońskiej duszy. Oto Japończyk, występując do walki, za cenę krwi swej zdobywa krew nieprzyjaciela, ale tę krew mieć musi, choćby sam również miał wybroczyć. Jasnym jest, że u przeciwników, mających mniej więcej równą wprawę, rany muszą być po obu stronach — zwycięży lżej ranny, jeśli nie zginie z utraty krwi.

Zwrócił się do starego Rosjanina, stojącego tuż obok i przyglądającego się szermierce obojętnie.

— Jak to nazwać? Szlachetną rycerskością, czy dzikim okrucieństwem? Oni przecie prawie że się nie bronią, a tylko niemal zębami chwytają się za gardła! Z drugiej strony jest to do pewnego stopnia uczciwe. Nasza technika szermierska daje zręcznemu fехmistrzowi znacznie większą przewagę nad mniej biegłym przeciwnikiem, którego można zawsze bezkarnie chlastać na kawałki. To w japońskim pojedyńku jest niemożliwie.

— Mogę przyjąć, że to jest i okrucieństwo i rycerskość — odpowiedział Rosjanin — Dusza jest bardzo

się lub błagalne. Zdawało się, że uliczki, czy też raczej w ciemnościach ich pograżone domostwa proszą przechodnia o coś, skarżą się mu lub namawiają go do czegoś.

Ramian myślał, że istotnie krąży, nie mogąc znaleźć wyjścia z labiryntu, ale nie dbał o to. Wiedział, że prędzej czy później wyjście się znajdzie, zaś na razie było mu tu dobrze i spokojnie. Domyślił się a raczej odgadł, iż znajduje się w dzielnicy muzulmańskiej, niedaleko meczetu, na którego stopniach siedział owego dnia, kiedy uciekł od pani Bell. Tam i dziś odpocznie i usiądzie, a tymczasem — błąka się, bo jeszcze nie nadeszła chwila!... Z niedalekiego bazaru dolatywały jaskrawe akordy muzyki chińskiej, gdzieś dalej dzwonił rozkołysany tam-tam, huczało mrowisko ludzkie. Cisza dzielnicy była niby wyspa, okolona szumem rozkołysanego morza.

Po jakimś czasie szum ten ucichł zupełnie. Ramian znalazł się w nieprzeniknionych ciemnościach. Spojrzał w górę, szukając nieba i gwiazd, ale niebo było chmurne i tak czarne, że zarysy dachów domostw nie odcinały się od niego. Gdzieś tam, na boku, lśniła mała, sieroca gwiazdeczka. Słychać było cichy lecz dźwięczny, monotony szmer fontan na podwórzach.

— Gdzie jestem? — pomyślał.

— W ciemnościach! — odpowiedział sobie w duchu prawie z humorem, a potem zaraz dodał — W ciemnościach, jak zwykle, jak wszyscy, przez całe życie. Drogi nie widzę — lecz któż zna swą drogę? Więc dokąd pójdę? Naprzód, przed siebie, jak zwykle, jak zawsze, jak wszyscy, z niewidzącymi zamkniętymi oczami.

Szedł tedy, zamknawszy oczy. Nagle potknął się, stracił równowagę i usiadł ciężko, ale nie na ziemię, lecz na jakimś kamiennym stopniu. Tak siedział przez chwilę, wciąż z zamkniętymi oczyma, rozmyślając, co ma począć. Nie miał najmniejszego wyobrażenia, gdzie się znajduje, stracił zupełnie orientację. Otaczała go nieprzenikniona ciemność i cisza. Gdyby nie melodyjny śpiew dzwoniącej w pobliżu fontanny i nie kamień, który czuł pod sobą, mógłby myśleć, że jest zawieszony w powietrzu.

Otworzył oczy.

Teraz już coś niecoś w ciemnościach widział.

Rozglądnął się.

Niewątpliwie siedział na stopniach meczetu. Nad nim wznosiła się ciemność, czarna masa gmachu, niby grotem wbijającego się minaretem w jaśniejsze nieco niebo.

— Kto tu?

Kilka kroków dalej siedział nieruchomo szary cień dziwnych, nieodgadzionych kształtów.

— Kto tu? — zapytał Ramian trochę głośniej.

Grube mury głośno powtórzyły pytanie, cisza nocna zadrgała niem niespokojnie.

Cień poruszył się a niski, stłumiony głos rzekł jakby z wyrzutem:

— Poznajesz, panie, drogi, któremi chodziłeś przed laty i chodzisz niemi w ciemnościach, z zamkniętymi oczami, poznajesz mury, a nie poznajesz ludzi? Ileż to nocy spędziliśmy na rozmowie tu, na stopniach, pod bramą tego meczetu, ty, młody, mąż krwi gorącej i ja, starzec, wyzwolony już od walk życia. Zapomniałeś? Przyśpiewywały nam fontanny... Zapomniałeś? Nie, nie zapomniałeś, inaczej nie przybyłbyś tu, nie wróciłbyś na tę wyspę. Wybacz, że

Ramian ocknął się, odwrócił głowę.

Na przodzie statku nie było ani żywej duszy.

— Któżby?... Ciekawe... Ale istotnie — późno już musi być... Może czas na obiad...

Skierował się ku schodkom wiodącym na pokład pierwszej klasy.

W rozproszonem świetle elektrycznych lampek zauważył pannę Nichols.

— Ach, to pani! Już idę. Dziękuję!

— Za co? — zdziwiła się Angielka. — Gdzie się pan podziewa? Siadamy do stołu...

— Wiem, wiem! — odpowiedział Ramian. — Stojąc tam na przodzie, słyszałem, jak pani powiedziała „dressing-bell“ — i oto jestem!

— Ależ ja nie schodziłam z tego pokładu!



#### IV.

— Mimo wszystko oświadczam wam, Ramian, w imieniu naszej spółki — tak jest, Phips?

— Tak.

— Że dajemy wam miesiąc czasu do namysłu. Naturalnie, na prowadzeniu plantacji nie znacie się, ale możecie się zająć finansową stroną interesu, stroną handlową, na czym my z Phipsem nie znamy się tak dobrze, jak wy... Naszą rzeczą będą plantacje, wśród których spędziliśmy całe życie... Więc — miesiąc czasu do namysłu. My i tak musimy się naprzód rozejrzeć w warunkach, usadawić... Phips, możecie mi pomóc do tego pudingu?

Ramian namyślał się.

• Obaj ci młodzi Anglicy podobali mu się. Posępny Hume ponury swój wygląd zawdzięczał tylko chorobie wątroby, nabytej w Indjach, oraz twarzy pociągłej, chudej a śniadej, niemal hiszpańskiego typu. Zresztą był człowiekiem bardzo zrównoważonym i spokojnym, a jego demoniczne czarne oczy patrzyły na świat wesoło i z humorem. Phips, typowy Anglik, blondyn, z ostrym, stanowczym profilem, podobał mu się jeszcze więcej. Pochował był niedawno w Anglii żonę, którą z Singapore wywiózł na kurację, a którą nadzwyczaj kochał. Jego synek był do niej podobny. Widać było, jak tkliwą miłością ojciec chłopca otaczał i Ramian domyślał się z tego, jak mocno ten twardy człowiek musiał kochać swą żonę. Mimo to potrafił złamać,

zdławić swój ból w sobie i wykrzesać z siebie tyle wiary w życie i pogody, ile mu było potrzeba do pracy dla syna. Zraziwszy się do Anglii, która mu żony nie uratowała, zawarł spółkę z Humem i teraz obaj wracali do tych pięknych lecz mściwych krajów, każących sobie za zdobycie płacić najcięższymi ofiarami. Na statku przyłączyła się do nich panna Nichols, podróżująca samotnie, a wszystko troje zajęli się Ramianem, wciągnęli go w swe kółko i usadzili przy swym stole, otaczając go wciąż życzliwą uprzejmością.

— Mając tyle czasu do namysłu — odezwał się Phips — zdążycie jeszcze zjeść parę cząstek tego pysznego „pumelo“.

To mówiąc, podsunął Ramianowi srebrną wazę z owocami, wśród których ze złocistej skóry wynurzały się rozluźnione, duże, białe cząstki wielkiej jak melon cytryny.

— Bardzo dziękuję! — Ale właściwie co wam zależy specjalnie na mnie?

— Jeśli ja pana Ramiana lubię — rzekł poprostu Hume — musi mi na nim zależeć. A mnie pana Ramiana lubić wolno.

— Ja też pozwolę sobie powiedzieć, że pan Ramian przypadł mi do gustu! — wtrącił Phips. — Jest inny od nas — i może dlatego... Może z powodu tego smętku.

— Żadnych smętków!

— No to „spleen!“ Dobrze? To się przecie zdarza w najlepszych rodzinach!

Tu zabrała głos panna Nichols:

— W panu Ramianie — stwierdzam — jest stanowczo dwóch ludzi: Jeden dzielny, zdrow, mocny, drugi — nadłamany.

— Co wy za brednie opowiadacie, Nichols! — uśmiechnął się Hume.

— Popatrzcie! — On ma dwie twarze, ułożone jedna na drugiej! Która prawdziwa? Która jest twarz właściwego pana Ramiana?

— Nonsens! — rzucił krótko Phips.

Ale młoda panna skupionemi oczami wpatrzyła się Ramianowi w twarz.

— Siła jest, męskość, uczciwość, wiara — mówiła z wysiłkiem. — Mogłaby to być twarz żołnierza... Jest twarz żołnierza... A cóż ją zmąciło? Jaka to druga maska leży na tej twarzy?...

— Kompromitujecie się, Nichols! — rzekł cicho Hume.

— To nieprawda! — zaprzeczyła energicznie panna. — Nic kompromitującego niema w tem, że myślę o człowieku. To moje ludzkie prawo.

Po obiedzie wyszli na pokład.

Noc była wprawdzie bezgwiazdna, ale cudowna, ciepła, cicha i pełna przedziwnej światłości — jak gdyby samo powietrze świeciło. A zresztą — gwiazdy były w morzu, które całe połyskiwało błękitnymi ogniami i iskrami. To światło morskie szczególnie piękne i jasne było u boków statku i za statkiem.

Mały Phips awanturował się na pokładzie ze swoją chińską nianią. Nie chciał iść spać, biegał po całym statku i co chwilę zdradzał zamiar skoczenia ku błękitnym ogniom, kołyszącym się na falach morskich. Z jakimś dziwnym sykiem czy skrzekiem dreptała za nim niania — stara, siwa Chinka z pomarszczoną twarzą, w długim, białym kaftanie jedwabnym, w lśniących, czarnych szarawarach i lakierowanych pantoflach ze srebrnymi sprzączkami. Włosy jej, zaczesane gładko i zwinięte w mały węzeł na tyle głowy, upięte były

złotemi szpilkami i agrafkami, w uszach miała złote kolczyki, na zwiędłych, starczych rękach złote branzoletki.

Wreszcie chłopiec uspokoił się i stanąwszy u parapetu, zapatrzył się w morze.

Tuż stała jakaś rodzina malajska, ubrana po europejsku, wyglądająca dość karykaturalnie i mało interesująca. On, wzrostu raczej niskiego, otyły, uśmiechnięty, był najniewątpliwiej zwykłym, pospolitym kupcem, zbijającym pieniądze. Ona, w jasnym kostjumie, dobrze odżywiona, pulchna, gładka, obwieszona klejnotami, nie wyglądała na nic więcej, niż na szczęśliwą, zadowoloną mamę dwojga dzieci. Na ręce trzymała śpiące maleństwo, zawinięte w pieluszki i kawałek pstrej, jedwabnej materji. Przy niej stała mała, czarna dziewczuszka ze śniadym pysiem i z olbrzymiami, czarnemi oczami, ubrana w białą sukieneczkę i lekki czerwony kapelusik.

Niedaleko Ramian rozmawiał z panną Nichols. Na widok morza, usianego ogniami, umilkli. Słychać było, jak Malajczycy rozmawiali pomiędzy sobą po cichu w dźwięcznym, niezrozumiałym języku. Naraz mała dziewczuszka wyciągnęła rękę i z akcentem radości w głosie zawołała:

— Lintang! Lintang!

Coś niesłychanego stało się z Ramianem.

Rój gwiazd zerwał mu się w duszy śpiewającą, iskrzącą fontanną, zamienił się w kolumnę światłości, zawirował gwałtownie, wstrząsając nim aż do bólu.

— Lintang! Lintang! — wołało dziecko.

Co to znaczy? Czy to jest jakieś zaklęcie? Czy może — wspomnienie? Bo na sam dźwięk tego cudnie muzycznego słowa budzi się w duszy konieczność — przypomnienia sobie czegoś, och, tak ważnego, tak znanego, tak niezbędnego!

— Co ja zapomniałem? — męczył się Ramian. — Niepodobieństwo, abym zapomniał „tam“ rzecz najważniejszą. Cicho! Dziecko moje umarło, żona odeszła, tak? Tak. Przecież — więcej dzieci nie miałem. Idjotyzm! Jak można? Dziecko moje umarło. Zresztą nikogo już nie miałem. Cóż mogłem zapomnieć?

Przez chwilę powtarzał wkołko to samo. Wreszcie opamiętał się.

Zwrócił się do Malaja.

— Przepraszam pana... Ta malutka wymówiła słowo, które mi się bardzo podoba, a którego nie rozumiem... Lintang — o ile się nie mylę. Co to znaczy?

Zanim mężczyzna miał czas odpowiedzieć, odezwała się niskim, melodyjnym głosem jego żona:

— Lintang — w języku jawajskim znaczy: gwiazda. Po malajsku — Bintang.

Sądziła, że Ramian, jak większość Europejczyków w tych stronach, zna język malajski.

— Mieszkaliśmy dłuższy czas na Jawie — wtrącił mąż — i maleńka mówi djalektem tej wyspy. Teraz wracamy do Penangu, gdzie zamieszkamy.

— Lintang! — powtórzył Ramian.

— Oznacza gwiazdę, a czasem jest imieniem kobiety — dodała uprzejmie szczęśliwa mama.

— A gdzież ta gwiazda?

Malaj wyciągnął rękę.

W głębi, daleko w nocy, gdzieś na horyzoncie płonęło białe światło. Mogła to być gwiazda lub latarnia morska, bo światło migotało, ale niewprawne oko nie zdołałoby wątpliwości rozstrzygnąć.

Dokoła statku morze paliło się błękitnym ogniem.

— Błękitny kwiat! — przyszło Ramianowi na myśl. — Ach, cóż za romantyzm!

## V.

Jedną z największych przyjemności stanowiło wyciągnąć się wieczorem na leżakach, patrzeć na ciche morze i rozmawiać.

Przeszkadzali Japończycy.

Ci chytry wyspiarze korzystali z każdej sposobności, aby brać bezpłatne lekcje angielskiego. Uśmiechnięci i pokorni bezustannie zaczepiali Anglików i wplątywali ich w długie rozmowy, których jedynym tematem było, jak się co po angielsku nazywa i wymawia.

Ze względu na propagandę angielszczyzny, Anglicy bronili się przeciw tym zamachom dość słabo.

Ale Ramianowi było tego zawiele. Nie podzielał nienawiści Anglików do Japończyków, jednakże twarze ich brzydkie, chytre i wykrzywione przesłodzonym, wschodnim uśmiechem, nie podobały mu się. Nie znosił ich szeptu, ich chrapliwych głosów, ich „r“ niby dziecinnie wkradającego się uparcie zamiast „l“ do europejskiego języka. Wreszcie — nie należy do przyjemności przysłuchiwać się wciąż lekcjom.

Dlatego urządził to tak:

Postawił przy parapecie swój leżak, potem leżak panny Nichols, dalej leżaki Hume'a i Phipsa. On sam nie utrzymywał zbyt bliskich stosunków z Japończykami, więc go nie zaczepiano, a przez niego nie można było dotrzeć do panny Nichols, której prawego skrzydła bronił Hume, zajęty wiecznie różnemi planami, jakie omawiał wraz z Phipsem. Dzięki tej sprytniej dyslo-

kacji, uzyskali spokój, w następstwie jednak weszło w zwyczaj, iż Hume rozmawiał przez cały wieczór z Phipsem, zaś Ramian z panną.

Rozmowy te z wolna stawały się coraz intymniejsze. Panna Nichols, córka bogatego przemysłowca angielskiego, była wykształcona i inteligentna. Przytem, jako fanatyczna skautka, odznaczona nawet podczas wojny za zasługi, miała pewną, nie panięńską, lecz raczej chłopięcą prostotę i szczerłość w postępowaniu i myśleniu, a że przystępowała do mężczyzn jak do równych sobie, łatwo zawiązywała stosunki koleżeńskie i nie banalne.

To znów było z jej strony nieostrożnością. Zapominała, iż mimo wszystko jest dziewczyną bardzo młodą i niedoświadczoną. Ramian miał nad nią przewagę bardzo wielką i tej przewadze ona musiała się poddać. Chcąc go dobrze zrozumieć, w rozmowie z nim patrzyła mu stale i uporczywie w oczy, a po pewnym czasie on zauważył, iż te jej czarne i uczciwe oczy odzwierciedlają to, co on mówi. Już to nie było krytyczne i spokojne spojrzenie uważnego słuchacza, lecz naiwne rozszerzenie źrenic zdumionych, nie tających swego wyrazu, współczujących, źrenic — oddanych.

Dla Ramiana, człowieka do gruntu uczciwego, sytuacja stawała się trochę kłopotliwa. Usunąć się nie mógł — nie miał najmniejszej przyczyny. Leżaków przestawić się nie dało bez narażenia się znowu na ataki Japończyków. A tymczasem panienska nie zdawała sobie nawet sprawy z tego, iż jej zainteresowanie się Polakiem idzie może za daleko. Gdy tak leżeli ciepłą nocą blisko siebie na leżakach, lekko ubrani, twarzami zwróceniu ku sobie, związani wpatrzonymi oczami i pogrążeni w rozmowie nieraz bar-

dzo intymnej, Ramian czuł, że biegnie między nimi prąd coraz silniejszej zażyłości, bardzo dalekiej od zwykłej życzliwości. Przyzwyczajony do tej pozycji, czasem, leżąc w łóżku, budził się i miał wrażenie, że widzi i czuje przy sobie twarz młodej dziewczyny. Nie pragnął jej, nie kochał, ale nie mógł w sobie przewyciężyć niepowstrzymanego pociągu do kobiet.

A łączyło się to w nim z przeświadczeniem, iż właśnie kobieta zna jego tajemnicę i od kobiety właśnie wyjdzie — wyzwolenie i wyjaśnienie jego przejsć. Nie był to bynajmniej pociąg erotyczny, ale nieprze-parta konieczność zbliżenia się, badania, szukania, odgadywania. Dlatego, choć czuł, że postępuje niewłaściwie, nie mógł sobie odmówić rozkoszy tych cichych rozmów pod ciepłym niebem nocy podzwrotnikowych.

— Major Birds oczywiście jest uwiadomiony o przyjeździe pani? — zapytał, leżąc koło niej i starając się patrzeć na morze.

— Rozumie się. Wszędzie po drodze miałam od niego depesze i sama telegrafowałam.

— A jak narzeczony pani wygląda? — pytał znów Ramian.

Zdawało mu się, że rozmowa o bliskim spotkaniu z narzeczonym otrzeźwi dziewczynę.

— Cóż! Zwykły człowiek! — odpowiedziała jakby z cieniem usprawiedliwienia w głosie. — I nawet nie jest przystojny. Mocny, wysoki, z dużym nosem, opalony... Ale znamy się od dzieciństwa i on mnie bardzo kocha...

— Widzi pani — to najważniejsze. Wystarczy, aby się pani podobał. Dlaczego ma być zaraz przystojny?

— Wogóle mój Frank... On wcale nie jest taki jak pan... Zupełnie inny świat... To prosty człowiek... Major saperów, dobry żołnierz, dobry chłopiec i już.

— Bardzo dobrze. Tak najlepiej! — chwalił Ramian.

— Spodziewam się! — z niezbyt wielką pewnością w głosie westchnęła panna — Zaś to, co panu powiedziałam podczas obiadu o tych dwóch maskach, nie było bardzo taktowne... I może nie jest prawdziwe. Przypuśćmy, że swą twarz, taką, jaką wyobrażam sobie najbardziej duszy pańskiej odpowiadającą, zmacił pan przejściami, których nie znam...

— Ja też!

— Ale prawdziwa twarz u pana zwycięży. To się czuje. Dlatego Phips i Hume tak wierzą w pana.

— Nie, pani jest wyborna, panno Nichols! Prawdziwa twarz zwycięży! Jakżeż pani, która mnie zna tak krótko, może twierdzić, że ja „noszę twarz nieprawdziwą“?

— O, ja pana znam bardzo dobrze. Na statek wszedł pan z twarzą nieprawdziwą i wtedy był pan — interesujący może, ale nie pociągający... Tyle tygodni spędziliśmy razem — obserwowałam pana — i zauważyłam, że zwolna z pod tamtej twarzy zaczyna się przebijać twarz nowa...

— Jakaż różnica?

— Tamta twarz była bardzo zmęczona, czemś opętana... pardon — czasami — nieswoja, nieprzytomna... Ramian drgnął.

— Nieprzytomna — mówi pani? — spytał prawie obojętnie.

— Coś w tym rodzaju. Była to jakaś skamieniałość. Mnie zdawało się chwilami, że pan mówi, jak przez sen... jak idealny automat...

— A teraz?

— Ta skamieniałość ustępowała bardzo powoli... Raz wieczorem, kiedyśmy tu rozmawiali, zdaje mi się, po odpłynięciu z Suezów zauważyłam, że z twarzy pana ktoś zdjął niby zasłonę...

— Może być, że to było po odpłynięciu z Suezów... Cieszyłem się na tę nieprzerwaną czternastodniową turę morzem... Mówiłem pani, że wprost się boję, kiedy się zbliżamy do lądu...

— A jednak — choć jutro mamy lądować, dziś znowu ma pan twarz zupełnie przemienioną. Musi się pan czuć dobrze?

— Istotnie. Przypuśćmy, że to wpływ morza i słońca... Tak będzie najnaturalniej, nieprawdaż?

— Ciekawam, czym się to skończy? — wymówiła powoli.

Nie odpowiadał, a tylko leżał, w milczeniu patrząc jej w oczy. Pomyślał, że może w niej jest jego tajemnica... Pomyślał, że brak mu już tylko jednego poufalego ruchu, a może złożenia warg, aby już w następnej chwili ocknęli się jako ludzie sobie oddani... I ogarnęła go szalona tęsknota, jak gdyby dusza jego wołała i wyla od lat nadaremnie...

A w zdziwionych, szeroko otwartych, czarnych oczach paniąki odbijały się wszystkie myśli jego — aż z kolei to oddanie zmieniło się w ciche oczekiwanie.

Ramian uniósł nieco głowę.

Gdzieś daleko żywo migała latarnia morska.

— Lintang! — zadzwoniło mu w duszy. — Światło morza, Lintang, gwiazdo zbawienia!

Panna Nichols westchnęła.

Widział, jak małą dłonią tarła sobie czoło.

Była jakby zbudzona ze snu.



— Czy się co stało? — pytała z ledwo dostrzegalnym podejrzeniem w głosie.

— Nie. Cóżby się miało stać?

— Może ja co powiedziałam?

— Milczeliśmy parę minut.

— To właśnie mnie zdziwiło. Byłam jak nieprzytomna.

— Późno już. Trzeba iść spać.

— Tak. Dobranoc panu.

Miękkim, niemal pieszczotliwym ruchem podała mu rękę na pożegnanie.

Hume i Phips wstąpili jeszcze do baru na szklanek wody z wódką i partyjkę kości — o jutrzejsze „cocktaile“.

Zaś Ramian udał się znowu na przód statku.

Siedziało tam w ciemnościach kilku Japończyków — zupełnie nagich — rozkoszujących się ciepłą nocą i gawędzących po cichu. Ramian, przeciskając się między nimi, musiał im położyć ręce na ramionach. Przyjemność mu zrobiło dotknięcie tych skór ciepłych, suchych, wykąpanych i wygrzanych na słońcu.

Kiedy stanął na swem ulubionem miejscu i z góry patrzył na jaśniejący blado przestwór morski, któryś z Japończyków wstał i zaczął mu opowiadać o pięknościach Maiko — wewnętrznego morza japońskiego.

— Zielone, górzyste wyspy rozsypane są po morzu niebieskiem, na którym wszędzie pełno dżonk z wydętymi żółtymi żaglami. Przejeżdżacie cieśninami tak wąskimi, że z pokładu statku możecie widzieć, co ludzie w domach robią, jak pracują. Zagłądacie w ciasne uliczki małych miasteczek lub wiosek, widzicie chłopów w ciemno-niebieskich ubraniach i szerokich, czarnych kapeluszach, jak grzyby, widzicie kupców siedzących w kuczki w pośrodku swoich sklepów i grzejących ręce nad fajerkami, widzicie

nasze kobiety w kimonach ściśniętych różnobarwnymi pasami. Bywa, że końce jedwabnego „obi“ lecą kobietą jak skrzydła różnobarwne i kobieta podobna jest do kwiatu chodzącego... A z sadów zalatuje zapach kwitnących wiśni...

Siedzący tuż na ziemi Japończyk zanucił wysokim falsetem zawodzącą, smutną piosenkę...

Na wschodzie z pośród chmur wynurzyła się wielka, jasno migocąca gwiazda.

## VI.

W nocy zbudziło Ramiana silne kołysanie się statku.

Zerwały się fale, powstał szum.

Nie było w tem nic przykrego ani nieprzyjemnego. Stało się wrażenie, że fale te szumią rytmicznie do boku pałeczki niewidzialnego dyrygenta. Zresztą do uszu tego przywykł i odróżniał doskonale odgłosy, jakie powstawały z parcia wody przez statek od zgiełku zynionego przez zderzające się masy. Nie przerażała go też, gdy czasem silniej rzucona fala wdarłszy się na pokład, uderzała o ścianę kajuty z hukiem wystrzału armatniego. Zbudziło go nie to, lecz nieprzyjemne zsuwanie się z pościeli. Spał na górnym łóżku, gdzie kołysanie się statku silniej dawało się odczuwać. Wciąż zjeżdżał „w nogi“ i budząc się, musiał się posuwać na poduszkę.

Wreszcie zrozumiał, że wybił się zupełnie ze snu.

Przestał mrużyć powieki, przestał sztucznie wytwarzać ciemność i przewróciwszy się na lewy bok, szeroko otwartymi oczami wpatrzył się w małe okrągłe okienko kajuty.

Właśnie fala uderzyła o ten bok statku i małe okienko, niby oko, załamane było i ociekało gęstą słoną wodą.

W nocy musiał wzejść księżyc bo oko to pełne było melancholijnego blasku. Wpatrywało się w niego uparcie.

Ramian patrzył w okienko kajuty jak w żywe oko. Była w niem dziwna, łzawiąca żalność, smutek, bezsilne i bezbronne roztkliwienie, zagadkowe jakieś pytanie — coś z zastarzałej i jątrzącej krzywdy. Zaś czasem, gdy woda morską spłynęła, widziało się, jak przez mgłę, nieskończenie osamotnione, smętne przestworze pustyni morskiej, żalodne i tęskniące.

Coś go ciągnęło, aby zejść z łóżka i wyjść.

Noc jeszcze była — to wiedział. Na statku nikt się nie ruszał, nie było słychać głosów ludzkich, nic, prócz jęku i gwizdu motorów, szumu fal i od czasu do czasu okrzyku majtka, siedzącego w bocianiem gnieździe. Pocóż ma waleśać się nocą po statku, gdy wszyscy śpią? Pokłady są z pewnością ciemne, nic nie widać a fale chlupią wciąż. Chwyci go taka fala i okapie, przemoczy nawskróś...

Tak rozumując, zsunął się z łóżka cichutko, na swe nocne, ciepłe, flanelowe ubranie włożył japońskie białe „kimono“ w czarne paski i w tym wygodnym, luźnym stroju wyszedł z kabiny.

Na długim, pustym i cichym kurytarzu płonęły lampki elektryczne.

Jakby dla próby Ramian otworzył drzwi, prowadzące na dolny pokład.

Dmuchał mu słonym zapachem w twarz wiatr, nie wrogi wprawdzie, lecz niemiły, brutalny, bezwzględny. Czuć w nim było wilgoć i zimno łatwo zrywających się, gniewliwych fal morskich.

Drzwi były lepkie, splukane wodą — za niemi noc niepokojąca, nieprzyjemna.

Wobec tego Ramian drzwi te zamknął i po okutych mosiądzem schodkach wyszedł na górny pokład.

„Fumoir“ tchnął zapachem papierosów, cygar i wódki.

Było w nim tak duszno, jak gdyby wciąż jeszcze siedział tu tłum ludzi — wyjeżdżających i wracających, Chińczyków, grających w swe skombinowane warcaby, Japończyków, pijących na pożegnanie i szczęśliwą drogę jasno-żółte „Saporo“, przypominające pilzeńskie piwo, Anglików, grających w karty o „drinki“, grubych, przysadkowatych Amerykanów o czerwonych, zapoconych twarzach, wreszcie tych wszystkich, dziwnych, smutnych i niewyraźnych ludzi, których losy noszą po dalekich lądach i morzach. Przysiadł na chwilę i oparł głowę o skórzane obicie sofy.

Ale naraz ta skóra zaczęła go palić. Działo się coś zupełnie niewytłumaczonego. Głowy dźwignąć nie mógł. Zamigotały mu w oczach małe, białe miasteczka angielskie, domki ciche z zielonemi okiennicami, kobiety i dzieci czekające na swych mężów — i twarze tych, którzy wracali z dalekich stron po latach, wioząc ze sobą białe banknoty szterlingów, złociste, miękkie ogony rajszych ptaków, dolary szangajskie, hafty chińskie a w osobnej przedziałce portfela fotografie najdroższych, tak dawno niewidzianych istot. Zaszumiały mu różnemi rytmami oceany — spokojna fala Oceanu Cichego i krótka fala Atlantyku, wściekle wycie zatoki Biskajskiej i niecierpliwy rytm mętnego Morza Żółtego — a w tem przesyconem solą powietrzu, na tle skłębionych chmur, nad dnem przepaści, na deskach, które rozbić może lada huragan, zatroskane twarze, zatroskane nawet u najśmielszych, mówiące niepokojem oka:

— Ja przecie chcę tak mało, tak niewiele! I błagam — pozwólcie mi! Napracowałem się i pracować będę — ale chcę, żeby moi żyli. Chcę, by moja żona miała tą odrobinę spokoju i żeby moje dzieci mogły się jako tako wychować! Błagam was!

Widział twarze ludzi, po latach pracy powracających do domu — z wysp malajskich, z Indji, z Chin lub z Japonji. Tam, w tych dziwnych krajach, pracowali do wyczerpania a czasem żyli jak dzikie zwierzęta. Byle zarobić! Więc widział Europejczyków, czule ściskających dłoń chińskiego kupca, który może pewnego dnia szepnie łaskawe słówko a wówczas wybije godzina szczęścia — jednym zamachem będzie można szarpnąć ku sobie fortunę, wędrującą na objuczonych wielbłądach przez pustynie Tybetu. Widział tych samych ludzi, z martwemi, skupionemi minami siedzących przy stołach w domach gry. Przegrywają majątki, bo ostatnim wysiłkiem chcą wygrać majątki. I znów szeleszczą poniszczone, naddarte banknoty z chińskimi napisami lub też dzwonią wielkie, meksykańskie dolary srebrne, nieraz chytrze przez oszustów chińskich drażone z wewnątrz i dolewane ołowiem. A potem — przegrana! Zdawałoby się, że wszystko stracone. Z marzeń o bogactwie i wolności została nędzna paczka brudnych banknotów godna tylko wyrzucenia. Więc rozpusta w szachrowanym rajku rozkoszy wschodnich — lalki skrzeczące w dziwnych, gorączkowo barwnych i pozłocistych kostjumach, coś, czego nie można usprawiedliwić niczem, jak tylko tem zmęczeniem i tym bólem, który się odczuwa dnia następnego, zwłaszcza, gdy na myśl przyjdzie cicha, stroma ulica małego miasteczka, którego stare, poczerniałe wieże kościelne wydzwaniają odwieczne „carillony“, zaś z rynku widać cichą, jasną i równą powierzchnię morza... A potem znów przychodzi „zebranie się w sobie“, i bój z zaciętymi zębami, wysiłek niezmordowany i gromadzenie brudnych papierów, póki wreszcie człowiek nie znajdzie się na pokładzie statku, szybkim

dzwonieniem obwieszczającego, iż opuścił port bezpowrotnie.

— Jedź-że, mój statku, jedź-że, byleś nie wracał! A niebo niech będzie jakie chce i wiatr niech dmucha, skąd chce! Mamy przecie swoje własne niebo, którego nic nie zachmurzy, niebo, własnymi rękami zbudowane!

A w tem przez mózg Ramiana zaczęły przelatywać rzeczy niewspółmierne — widoki krajów i oblizczenia, spokojne, dobrodusze listy „z domu“ i klątwy człowieka upadającego pod brzemieniem cierpienia i wysiłku, skomplikowane, jak logarytmy, myśli ludzi wschodnich i zniecierpliwione krzyki odludków, konających na wyspach samotnych.

Dźwignął się.

— Moja głowa jest jak muszla podniesiona z nadbrzeżnego piasku — pomyślał. — Całe morze w niej szumi.

A potem powiedział sobie:

— Naturalnie, nocą, przy tej muzyce fal, człowiek jest trochę nieswój. Najlepiej będzie wyjść na świeże powietrze.

Otworzył drzwi prowadzące na pokład.

Czy to był czas przypływu czy odpływu — Ocean Indyjski, jakby zapomniał o niedawnej ciszy, rozpiął się. Szły jedna za drugą wielkie czarne fale, zdobne w srebrzysty grzebień pian. Leciały, sycząc i szumiąc, a czasami uderzały w statek, lekko napozór i od niechcienia, ale każde pięściwe uderzenie grzmiało, jak huk działa. Grało to wszystko niby wielki organ.

Ramian szedł na pokład, nie zważając na to, iż gwałtowny wicher szarpie połami jego „kimona“. Nad wzburzonym morzem świecił na wysokościach niepełny księżyc, a w oddali migiała latarnia morska.

Były to bądź co bądź światła poniekąd uspakajające, mimo to nastrój przelamującej się nocy ciążył na duszy przygnębiająco. Wprost niemożliwym było zdać sobie sprawę z tego upiornego spustoszenia przyrody, ze znamion wszelkiego zorganizowanego życia. Pokłady były ciemne zupełnie i statek teraz leciał naprzód przed siebie, jakby przed czemś uciekał. Prawie trwożnie wyły i szczękały w jego piersi maszyny. Dokoła była tylko noc i morze a pod księżycem fale srebrzysto-białe, skaczące czasem w górę z dziwną wściekłością, jak gdyby chciały niebo ugryźć prosto w pierś.

Przez jakiś czas chodził Ramian po pokładzie, jednakże przechadzka nie uspokajała go. Widział wciąż oświetlony pomost kapitański i chodzący tam i sam cień dyżurującego oficera. Wiedział że w środku pomostu, niby w altanie oszklonej, stoi młody, opalony i zawsze uśmiechnięty sternik, zaś nad nim czuwa młodziutki oficer w granatowym mundurze i ze srebrnymi opaskami na rękawach, marzący o tańczących dziewczętach wszystkich widzianych i niewidzianych portów. Aż nadto dobrze rozumiał, co znaczyły dygocące zmysłowością, choć prymitywne piosenki, jakie wszędzie po drodze oficer ten wygrywał na głęboko dźwięcznym „banjo“, o długiej rękocyści i okrągłym pudle rezonancyjnym. Już w Londynie zmiarkował, iż są to pieśni i piosenki zgoła jak kosze egzotycznych owoców — z Formozy, z Honolulu, z Taganrogu i z Neapolu. I nie było mu tajem, że temu młodemu człowiekowi skrzy się w oczach cały świat właśnie tak, jak owe kulki szklane, sprzedawane dzieciom a wewnątrz wykładane różnobarwnymi niemi.

Tam i z powrotem przechadzał się po pomoście kapitańskim czarny cień. Czasami przystawał przy

schodkach i wychylał głowę przez drzwiczki niby szukając kogoś. Ramiana zaczęło to denerwować. Pewny był, iż dyżurny oficer już go na pokładzie odkrył i chciałby z nim porozmawiać, i znova zacznie się rozmowa o tych motylach świata, „dancing girls“ Londynu, Hawru, Buenos Aires i Kobe, o ómach, szeleszczących muślinowemi, upstrzonymi złotemi spódniczkami lub jedwabnemi, różnobarwnemi „kimonami“, o śniadych, wykręcających w dziwnych pozycjach nogami tancerkach z Filipin, wrzaskliwych, swawolnych i zuchwałych a tańczących wśród bezecznych i bezczelnie cynicznych tancerzy napół mongolskiej a napół papuaskiej rasy — o, jednym słowem, znów ten taniec wesoly, przy wszystkich możliwych i niemożliwych instrumentach świata, taniec, w którym wiruje wszystko, co żyje, taniec lekkomyślny, drwiący sobie ze wszystkiego, kręcący się dokoła dziwnych hasel pogańskich, według których ten daleki a tak różnorodny świat żył i żyje wciąż, nie dbając o nic innego, jak tylko o kwiat pachnący dziś, choćby stokroć miał zwiędnąć jutro, o blask wysadzanych kamuszkami napiersników złotych, drżących na śniadych, zdyszanych piersiach, o rozkwit warg czerwonych przy chłodnej krawędzi oroszonego kielicha, o ślad drobnych ząbków w soczystym owocu z południowych krajów, o ruch pieściwy lub błysk agatowego oka.

A właśnie Ramian czuł, iż za tą zmysłową dekoratywnością kryje się coś, co ma szepnąć mu słowo o jego własnym życiu.

Gdzieś to prawdopodobnie czytał — bo przecie nigdzie nie widział.

Wzdłuż drogi, wzdłuż gościńca, idzie las — coś, co lasem nazywa się koło Bochni lub Brzeska, co

jednak w innych stronach ludzie nazywają dżunglą — a za tą dżunglą, podobną do przecudnej i wonnej kotary zielonej, zasłaniającej przed nim rzeczy nieznanne i tajemnicze, idzie z nim razem równoległe ktoś, kto ma mu coś bardzo ważnego do powiedzenia. Krzyknąć mu nie wolno, mógłby tylko szepnąć, jednakże gąszcz zielony, niby kobierzec perski, stłumi każde słowo. A więc ów cień idzie wciąż, a na wargach ma to słowo, właśnie jak nałożoną na napiętą cięciwę łuku strzałę. I trzeba tylko chwili, gdy gąszcz się przerzedzi, księżyc wyjdzie z za chmur, a postać wędrowca, z wielkim pociesznie skaczącym cieniem u stóp, wyraźnie zarysuje się na gościńcu. Strzała świsnie i serce jęknie.

— A potem co? Człowiek padnie na gościńcu a cień pójdzie dalej?

Może być! Może być!

Dyżurujący oficer wciąż tam i z powrotem chodzi po swoim pokładzie. Nie wolno mu z niego zejść. Musi pilnować mapy i uśmiechniętego dobrotliwie młodego sternika, któremu przy żywszym ruchu z pod kurtki krótkiej wystaje z tyłu nóż w rzemiennej czarnej pochwie. Z góry, z pomostu kapitańskiego, może widać było coś więcej — ale Ramian nie pójdzie tam, bo się boi, aby przypadkiem to słowo o jego losie nie padło z młodych warg chłopca, marzącego tylko o szerokiej pustce mórz słonecznych i żywych, śpiewających kwiatkach, tańczących w różnobarwnych przystaniach oceanów.

Morze gra swą nieśmiertelną fugę organową, a pedałuje wicher technieniem długim i nieprzerwanym z głębi tytanicznych płuc wszechświata...

Zagasły błękitne iskry na przestworzu morskiem, niema nic, prócz nocy, skaczących fal i księżyc nad niemi.

Ktoś wyrzał przez oszklony pomost kapitański i zdawało się, że zbiega nadół po schodkach.

— Nie! Nie tu! Nie teraz! Nie chcę wiedzieć! Nie chcę, aby mi powiedziano! Sam się dowiem! Ramian uciekł z pokładu.

## VII.

Zeszedłszy ze schodków, prowadzących z „fumoir'u“, stanął niezdecydowany w długim, ciasnym, jasno oświetlonym korytarzu, wiodącym do jadalni.

Korytarz ten był tak ciasny, że Ramian, bardzo szeroki w ramionach, niemal dotykał obu jego ścian. Zwłaszcza teraz, gdy morze było więcej rozkołysane, musiał sobą o jakąś klamkę czy jakieś drzwi zaczepić. Stał namyślając się, a z powodu kołysania się statku, to prawem to znów lewym ramieniem uderzał o ścianę korytarza.

W tym wielkim domu, jakim jest każdy statek pasażerski, było zupełnie cicho. Ciasny, wąski korytarz podobny był do wymarłej katakumby. Kłębily się w nim wprawdzie zgrzytliwe, jęczące i piszczące odgłosy różnych maszyn, ale to — nie liczyło się. Ciche, martwe światło elektryczne tkwiło w nim nieruchomo, mechanicznie, trupio. I Ramian, patrząc w tę jasną ciemnotę, prowadząca ku zawsze oświetlonej jadalni, pomyślał, iż straszną mogłoby być rzeczą spotkać się tu z jakim — widmem.

Myśl ta przeraziła go. Nie wierzył w duchy, lecz bał się swej własnej wyobraźni. Wiedział dobrze, iż od niego tylko zależy — zobaczyć. A nie czuł się silnym na nieswoim terenie. Gdyby to było w którymkolwiek z pustych czy zrujnowanych dworów polskich, możeby się tylko uśmiechnął — bo przecie od dziecka niańki opowiadały mu o rozmaitych stra-

sznych, upiornych historjach, i tam fantazji jego nie zaskoczyć nie mogło. Ale jak może wyglądać straszycie, wędrujące nocą po cichych, jasno oświetlonych korytarzach statku? Skąd przychodzi, czego chce, w jakiej może się pojawić formie? W jakim kształcie? Z jakim znów jękiem z morskiego dna?

Statek kotysał się coraz silniej.

Wrócić do kajuty i położyć się?

Wiedział, że nie zaśnie teraz. Nie pozwoli mu na to szum wody, nie da mu usnąć ciągle zsuwanie się z pościeli. Pomyślał, że w sali jadalnej jest biblioteka, w której znajdują się oprawne w czerwony safjan angielskie książeczki do modlenia. Klucz od biblioteki wisiał zawsze po prawej stronie szafki na gwoździu. Naturalnie, że nie szło o modlenie się, lecz w tych czerwonych książeczkach można było znaleźć wiersze zachęcające i dodające ducha — zdania optymistyczne, modlitwy, których melodia była raczej wesola niż poważna.

— Może tam co znajdę dla siebie! — pomyślał.

I podążył ku sali stołowej.

Trudno było. Tu i ówdzie musiał się ręką chwycić drzwi lub ściany. Ale przecie w końcu dotarł do celu i, zapomniawszy o książkach, usiadł na swem zwykłym miejscu przy stole, gdzie siadywał od chwili gdy wyjechał z Londynu.

Było zupełnie cicho i oczywiście pusto.

Po ścianach uganiały szczury.

— Niema statku bez szczurów — myślał machinalnie Ramian. — Zawsze czytałem — na statkach są szczury — ale jak to wojuje...

Istotnie, małe zwierzątka z bezprzykładną zręcznością biegały po wybitych czerwoną materją ścianach wielkiej kajuty, skakały na grymsy złożone i zni-

kały w dziurach, których istnienia nikt nie byłby przypuścił, uganiały po stołach, ścianach i po dywanach, któremi pokryta była podłoga kajuty.

Na kredensie dzwoniły wpuszczone w wydrążenia flaszki z wódką lub winem. Małe, okrągłe okna świeciły zielono, a czasami ociekały wodą morską.

Słychać było gwałtowne uderzenia fal o boki statku.

Ramian siedział z zamkniętymi oczami i myślał.

Nie można już było dłużej tać. To, co wiedział, było w jego świadomości zupełnie pewne.

Jechał — niewiadomo dokąd — pędzony przez szaloną, niczem nie opanowaną tęsknotę. Te różne widzenia egzotycznych jakichś krajów, miast i wysp nieznanych, to były miraż, któremi los nęcił go, ku sił i ścigał — właśnie, aby go sprowadzić na drogę jedyłą. Bo w gruncie rzeczy szło tu o to przesłodkie, o to jedynie swoje, o treść swego życia, o serce jedyne i oddane na zawsze, od wieki wieków na tę chwilę przeznaczone. To Ramian czuł do tego stopnia, iż całe jego ciało wytężone było od czekania. Usta nieledwie że czuły smak, miękkość i ciepło warg, które tam gdzieś czekają. A nie była to bynajmniej tęsknota erotyczna, jakiś szczególny, choro bliwy popęd zmysłowy. Ramian, jako mężczyzna mocny, niegłupi, przystojny i zamożny, miał sposobność całowania niejednych ust. Więc — nie to, lecz sprawa zasadnicza — swój, na wieki szczerze oddany człowiek, dusza swoja, swoje niebo, ten raj jedyne, przeznaczony na własność, jedynie błogosławiony, niezaprzeczony.

— Dlaczego, dlaczego? Czy widział kto coś podobnego? Czy można być takim fantastą?

Jakim-żeż znowu fantastą, jeśli wszystko to tak łatwo wykonalne? Tysiące ludzi jeżdżą tą „routą“

i nikt nie uważa jej za fantastyczną. Czyż to jest podróż na księżyc? A każdy ma tu swe sprawy, każdy czegoś szuka — ten pereł, inny piór rajszych ptaków, jeszcze inny kamieni drogich — i szukać mu wolno. Zarobi na tem — albo straci. Więc cóż znów niebywałego i nadzwyczajnego? Zwykła to, ludzka rzecz.

Ale skąd ta straszliwa tęsknota?

— Bo ty, człowieku, jesteś niewypowiedzianie biedny. Dałeś swą duszę i myślałeś, że dałeś klejnot najszacowniejszy — tymczasem zrobiono sobie z tego sprzęt bylejaki do codziennego użytku. Wszystkie światła w tobie pogaszono i odebrano ci prawo myślenia o szczęściu. Tego nie zaprziesz — tak było, o tem wiesz. Więc nic dziwnego, że tęsknisz. Cierpienie jest niewolą i choć niby uważasz się za niezależnego, póki cierpisz, póki nie umiesz rozeźmiać się na całe gardło, z całego serca, jesteś w rzeczywistości niewolnikiem. Ktoś — nocą późną — gdy byłeś pogrążony we śnie —

— Kiedy spałem?

— Kiedy spałeś. Tak. Właśnie wówczas. Otóż wówczas ktoś szepnął ci w ucho nowinę. Zlitował się nad tobą i powiedział ci, gdzie twój zakopany skarb...

— Kto? Kto mógł wiedzieć i powiedzieć?

— Czy nigdy nie przychodził do ciebie w nocy ktoś z aksamitnymi dłońmi, a pachnący rosą, otrząśniętą z drzemiących ogrodów? Czy nigdy nie czuleś przy sobie obecności kogoś, co znacznie lepiej od ciebie pamięta i rozumie wszystko? Nie pamiętasz zjawiska, które, jak fontanna srebrem jaśniejąca, wytryskało z ciemności, roztaczając na tobą promieniste skrzydła?

— To dzieciństwa! Legendy! Bajki!

— A więc — jak wszyscy inni — jesteś człowiekiem z bajki i robisz, czego nie wiesz i nie rozumiesz.

Rozległy się czyjeś ciche stapania.

Wszedł do jadalni pastor angielski w nocnym, białym, flanelowem ubraniu w różowe paski i w pantoflach. Ramian go znał, ale nazbyt z nim nie sympatyzował. Ten pastor mógł być tak samo dobrze profesorem gimnazjalnym lub adwokatem. Nie miał w sobie nic a nic kapłaństwa, namaszczenia czy natchnienia, pochodzącego z obcowania ze światem ducha.

Wszedłszy do jadalni, na widok Ramiana w pierwszej chwili drgnął, jakby się go przestraszył. Przez chwilę stał nieruchomo. Potem wziął z kredensu szklanekę i butelkę wody mineralnej, nalał sobie i wypił. Postawiwszy butelkę na swoim miejscu, z niedopitą szklanką w ręce skierował się ku Ramianowi.

— Dzieńdobry panu — rzekł, siadając naprzeciw niego. — Doprawdy, myślałem, że ducha widzę. Straszy pan na statku.

— Ja?

— Czy nie jest pan przypadkiem lunatykiem?

— Ja? Pierwsze słyszę. Ach, tak! Tem można tłumaczyć! Faktycznie, zbudziłem się, ponieważ w oczy świecił mi zbyt silnie księżyc... Zbudziłem się i już nie mogłem zasnąć... Nie sądzę jednak, aby to można było nazwać lunatyzmem... Nie, nigdy lunatykiem nie byłem...

— Ciekawe...

Pastor oparł głowę na ręce i przez chwilę wpatrywał się w Ramiana. Miał siwe, w rozdział zaczesane włosy, teraz trochę rozburzone i twarz czysto



ogoloną, budowy psiej. Przypominał starego, rasowego legawca i w tem było coś dobrodusznego i poczciwego.

— Bo widzi pan — zaczął mówić — właściwie to pan zaniepokoił cały statek...

— Ja? — zdziwił się znowu Ramian.

— Abyś pan wiedział. Ludzie się nagle pobudzili. Ja sam — miałem wrażenie, że po statku ktoś chodzi...

— Ktoś! Ja chodziłem!...

— Nie. To znaczy — rozumie się, że pan. Ale to było — niesamowite. Pan! Wiem — widzę. Jednak miałem wrażenie, że to chodzi... co najmniej — lunatyk... Coś było takiego nieokreślonego... Pan słyszy? Dzieci się pobudziły i płaczą — bo się zlekły...

— Ależ proszę pana — jestem przecie w pantoflach i szedłem cicho...

— Tak jest. Nikt nie słyszał — jeśli idzie o słyszenie. A jednak w mej kabinie nikt nie śpi... Zaczęliśmy przypuszczać, że może coś się stało...

— Nic się nie stało.

— A czemu pan nie śpi?

— Nie mogę. Mam dziwne, śmieszne wrażenie. Przypomniało mi się, jak raz, jako bardzo młody chłopaczek — może dziewięcioletni — miałem zdawać pierwszy swój w życiu egzamin. Wstałem wówczas tak samo nad ranem jak dziś, ubrałem się w najlepsze ubranie — pamiętam, było niebieskie — i wpiąłem dla elegancji w dziurkę od guzika ogromną piwonję — bo właśnie bukiet piwonji stał na stole. To było w salonie. Zaś potem usiadłem w oknie i patrząc na rynek, czekałem... Tak też i teraz siedzę tu i czekam i zdaje mi się, że na mojem sercu

czerwienieje ogromna, sinoróżowa piwonja... Bywają takie chwile...

Pastor wpatrywał się w Ramiana uporczywie.

— Przepraszam pana. Czy pan jest pewny, że pan nie śpi?

Ramian otworzył szeroko oczy i powiódł niemi po ścianach jadalni. Ujrzał wytrzeszczone, zielonawem światłem iskrzące okienka. Przed sobą — pastora. Nie przebrzmiały mu jeszcze w uszach angielskie słowa.

Cóż znowu za pytanie?

— Widzi pan — odpowiedział z uśmiechem — gdybym ja spał, toby znaczyło, że pana też niema, tylko że pan mi się śni. Tymczasem — ja nie wątpię...

Pastor pokręcił głową.

— A jednak nie ulega wątpliwości, że pan straszy na statku, jak duch. Kiedy tu wszedłem i zastałem pana siedzącego tak za stołem, z temi zamkniętymi oczami, myślałem, że widzę — co najmniej sobowtóra pańskiego.

— W szlafroku! — roześmiał się Ramian.

— To niema nic do rzeczy! Widzę, że to pan... Niemniej — atmosfera jest dookoła pana tak niepokojąca... Czy pan nie jest przypadkiem spirytystą?

— Cóż znowu!

Pastor wzruszył ramionami.

— Jakaś dziwna siła jednakże w panu jest. Czy pan należy do ludzi bardzo głęboko wierzących?

— Nie.

— Hm. Jestem duchownym angielskim, zresztą — człowiekiem nie zabobonnym. Ale kiedy tak na pana patrzę, skłaniałbym się ku pewnemu twierdzeniu Kościoła katolickiego.

— Mianowicie?

— Że człowiek czasem może być opętany...

— Nie, to znacznie prostsze. To leży w czem innym. My, Polacy, przez długi czas musieliśmy prowadzić, jako naród, życie ascetyczne. Mamy wielkich proroków-poetów, mamy niesłychanych wizjonerów zapatrzonych tak w przyszłość, jak i w przeszłość. U nas grób nie jest przepaścią zapomnienia, u nas życie wykwita z grobów, ze spróchniałych trumien czasami. My czaszek nie rzucamy na śmieci, jak to czyni Hamlet. I nie handlowaliśmy tak namiętnie pieprzem, gumą arabską i cynamonem. Dlatego może jest w nas więcej uduchowienia... Ale to normalne...

— Straszycie świat! — bąknął z uśmiechem pastor.

— A czyż ten wasz świat istotnie tak się boi ducha? — odpowiedział Ramian. — Zresztą — o czemże rozmawiamy? Godzina bezsenności — czasem — nad ranem — nie zdarza się wam?

Ziewnął.

— A właśnie teraz znowu zachciało mi się spać. I pójdę spać, położę się, jeszcze nawet nie świta.

— Ja już nie zasnę.

— Swoją drogą — mówił Ramian prawie do siebie — to jest istotnie dziwne. Kiedy w tej chwili z panem mówię i czuję, jak mi się spać chce, pojąć nie mogę, co mnie wyгнаło z łóżka... Wszystko właściwie jest tak niezmiernie proste...

— A o czem pan myślał przez ten czas — chodząc po pokładzie, czy też siedząc tutaj?...

— Prawdę mówiąc, to nawet nie wiem dobrze. Byłem nieszczęśliwie żonaty, straciłem dziecko, które bardzo kochałem... Może półświadomie otwierają się czasem stare, niezgojone rany...

— To się zdarza. A wie pan, jakie ja miałem wrażenie, idąc tu?

— No?

— Zdawało mi się, że pan z kimś rozmawia...

— Może półgłosem co sam do siebie powiedziałem...

— Może. Ale — kiedy tu wszedłem, widziałem...

— Co takiego?

Pastor zawahał się, a potem rzekł prawie szeptem:

— Pan tu nie był sam.

— No, jakże! — uśmiechnął się Ramian. — Pan przecie widzi!

— Tak. Teraz. Ale pan nie był sam — to znaczy, takie odniosłem wrażenie... Widziałem... —

— Co?

Nieokreślony kształt. Coś w kształcie mglistego, złotem luskającego słupa czy płomienia, wirującego dookoła pana... I z tej mgławicy wynurzały się falistym ruchem drgające węże, czy ramiona giętkie, brunatne, jedwabiste...

Ramian zbladł i chwycił pastora za rękę.

— Skąd pan wiesz?

— Co?

— Skąd pan wiesz? Jak pan zgadł?

— Ale co? Człowieku, ja pana nie rozumiem.

Ramian opanował się.

— Wiedz-że pan, że ta smuga złocista, tańcząca — to jest mój sen — od lat...

— Jakto — sen? Marzenie?

— Nie. Po prostu — śni mi się ten słup pozłocisty z falisto drgającymi smagłymi ramionami. A czasem widać, że to istotnie tańczy. —

— Kto taki?

— Nie wiem. Nie wiem. Widzę tylko złote bransolety na rękach i złote, turkusami wysadzone napierśniki... Na cienkich, długich palcach pierścienie srebrne z kamieniem księżycowym... Na głowie tjara,

a raczej hełm, jakby skrzydlaty, wyzlacany i malowany ozdobnie...

— A twarz?

— Nie widziałem jeszcze nigdy tej twarzy.

— Co to może być? — dziwił się pastor.

— Ja nie wiem... Nigdy nie widziałem... Słyszałem tylko...

— Co pan słyszał?

Ramian zmarszczył brwi wskutek wysiłku umysłowego, a potem roześmiał się.

— E! Pokazuje się, że wy, Anglicy, macie kręcka na tle zjawisk nadprzyrodzonych. Wmawiacie we mnie jakieś historie, a tymczasem wszystko jest zupełnie proste. Utkwiło mi w pamięci słowo, wymówione niedawno przez małe dziecko...

— Jakież to słowo?

— Lintang... Lintang... Znaczy po jawajsku — gwiazda.

W tej chwili pastor szeroko otwartymi oczami spojrzął gdzieś za plecy Ramiana i prawie krzyknął:

— Co się panu stało? — zdziwił się Ramian.

— Tańczy... Złota smuga...

Ramian odwrócił się gwałtownie.

Nie widział nic.

W powietrzu słychać było wyraźnie cichy dźwięk zderzających się ze sobą bransolet.

## VIII.

Okno łazienki było otwarte.

Wlewało się przez nie powietrze przedziwnie łagodne, ciepłe, balsamiczne.

Przez okrągłe wycięcie widział Ramian lekko falujące turkusowe morze, a na niem malajskie „sampany“, łódki długie a wąskie, brunatne, z malowanymi ozdobami, a nieraz wyzlacanymi dziobami i bokami. Napół nadzy, brunatni wioslarze, o lśniących, muskularnych ciałach, wywijali w powietrzu długimi wiosłami, a ich różnobarwne turbany wyglądały w łagodnym świetle poranka niby biegające tulipany.

Statek płynął właśnie koło małej, lecz górzystej wysepki, nastroszonej gęsto rosnąciami, powykrzywianymi przez „monsun“ palmami. Wyspa wyglądała jak głowa z rozburzoną czupryną. „Monsun“ szalał teraz w innych stronach, ale to zjeżenie i rozburzenie zielonego gąszcza pozostało — dowód, iż to śmiejące się morze umie być straszne.

Na brzegu, w cieniu kilku palm kokosowych, stała na palach mała, bambusowa chatka rybacka o spięzastej strzesze. Tuż drobnymi, czerwonymi kwiatkami rozkwitło gęsto wysokie, nieznane Ramianowi drzewo. Na brzegu bawiły się dzieci brunatne, prawie nagie. Z chaty bił prosto w górę opalizujący, błękitnawy dym. Chudy, bosy, półnagi mężczyzna w różowym „sarongu“ na biodrach i w niebieskim turbanie, stał z założonymi

rękami przed chatą i przyglądał się płynącemu koło wysepki statkowi.

A wszystko to widać było jakby przez niesłychanie delikatną zasłonę — roztopione harmonijnie w świetle świetnym lecz miękkim, niby stłumionem, pod niebem nieźrównanie błękitnem, a zarazem nasiąkłem łzą. Prawdopodobnie w powietrzu było dużo wilgoci. Wszystkie barwy mieszały się i spływały łagodnie w akord miękkiej, subtelny, a pełen bogactwa, świeżości i czaru.

— Co za cudny świat! — pomyślał Ramian, zrzucając kimono i wchodząc z rozkoszą do wanny z ciepłą, morską wodą.

Strachy nocne pierzchyły mu z myśli najzupełniej. Ostatecznie nad ranem znowu położył się do łóżka i zasnął natychmiast twardo. Snów nie miał żadnych, zbudził się zdrów i w znakomitym humorze. A teraz ten przepiękny poranek, cudne światło słoneczne, palmy, „sampany“ malajskie...

Japończyk, kąpiący się w sąsiedniej kabinie, tygrysim głosem zawył „Hymn sławy poranka“... Rozległo się przerażające tremolo, zaczęły się śpiewakowi łamać w gardle „koguty“ — ozdoba i koloratura śpiewu japońskiego.

Ramian rozbawiony pluskał się w wodzie i śmiał się sam do siebie.

W jego kabinie Hume, owinąwszy pięknym, jedwabnym „sarongiem“ chude biodra, poklepywał przed lustrem swą ponurą głowę, uroczyście zabierając się do golenia i dogadując Phipsowi, który wraz z Chinką staczał zaciekły bój z chłopcem. Chłopak oczywiście nie chciał się dać ani umyć ani ubrać i w długiej koszulinie nocnej co chwila wybiegał na korytarz i uciekał na pokład lub do szwargocących w sąsiedniej kabinie Chińczyków. Okrągłe okienko

świeciło rozświetloną różnobarwnością świata zupełnie jak mały, tęczyowy witraż.

— Dobrą macie minę dzisiaj! — odezwał się Hume, kiedy Ramian wrócił z kąpeli i zaczął się pośpiesznie ubierać.

— Dzisiaj! Dzisiaj! Ja zawsze mam dobrą minę! — odpowiedział Ramian wesoło. — Z wami nie zamieniłbym się Hume, to pewnie!

— O, jak to się odcina! — mruknął Anglik, mydląc swe czarne policzki.

— Z wami inaczej nie można. Słowo za słowo.

— Ząb za ząb! — wtrącił Phips.

— I oko za oko, abyście wiedzieli, inaczej zjedlibyście cały świat.

— Phips! Obawiam się, że ten Polak przeniknął tajniki duszy angielskiej.

— Co za tajniki! — odrzekł Phips. — Cały świat przecie wie o tem.

Ramian szamotał się z jakąś walizką, której nie mógł wyciągnąć z pod łóżka.

— Nie, to już zanadto po angielsku! — wykrzyknął wreszcie zniecierpliwiony.

— Co to znaczy? — spytał dość ostro Phips.

— To znaczy, że najlepsze miejsca pozabieraliście sobie, a moje rzeczy zepchnęliście pod łóżko tak, że się do nich dostać nie mogę.

— On ma słuszość, Phips.

— Zaczyna się robić agresywnym! A to mnie cieszy. Pamiętajcie, Ramian, daliśmy wam miesiąc czasu!

Zaczął pomagać w usuwaniu kuferków.

Na pokładzie odezwały się szybkie, rytmiczne kroki.

— Z pewnością Nichols spaceruje już z pastorem. Uf, duszno w kabinie.

Nareszcie Ramian mógł wyrwać się z ciasnej kajuty na pokład.

Morze światła, zielone wyspy, powódź turkusowego blasku, jasno zielone, stargane korony palm, taniec brunatnych łódek na falach...

Parapet pokładu lśni od soli morskiej, która błyszczący, jak szron. To brylantowe lśnienie śnieżyste na ciepłych wodach podzwrotnikowego morza — co za sprzeczność!

Z uczuciem radości, rozsadzającej mu prawie piersi, stanął Ramian u parapetu i wpatrzył się w majaczący w oddali port.

Już go widać, już, już!...

Lśnią białe, cementowe linje obmurowania, widać „buoye“, jak wielkie korki, podskakujące, na falach u wejścia do portu.

Co za powietrze! Balsam.

Ta dziwna, korzenna, sucha woń... Co ona przypomina? Czem tu tak pachnie?

Dziwne!

Raz, małym dzieckiem chorując, miał Ramian gorączkę i prześladował go wówczas jakiś zapach. Nie umiał go określić, nie spotykał go nigdzie, nie zapomniał go jednak nigdy i czasami zdarzało mu się, iż zapach ten ni stąd ni zowąd nagle się pojawiał. Bywał nieraz męczący i przepowiadał gorączkę, kiedy indziej znów ta halucynacja węchowa przychodziła na samo wspomnienie lat dziecinnych.

A równocześnie zapach ten przywodził na myśl jakiś czerwony, egzotyczny kwiat, rosnący w wazoniku na biurku matki.

Tak się znowu wszystko splątało!

Jakże to, aby zapach tej egzotycznej wyspy mógł przypominać dziecinne lata, spędzone na dalekiej Pół-

nocy, pod niebem chmurnym, w pokojach ciemnych i ciasnych! I tę kobietę chorą, zawsze drżącą z zimna, zawsze otuloną pledem w szkocką kratkę.

Przedziwne to są rzeczy.

— Dzień dobry, panie Ramian! — wesoło uśmiechnęła się do niego Nichols, podając mu rękę.

Stała przy nim wraz z pastorem.

— Jakże się panu spało? — pytał pastor, patrząc na Ramiana podejrzliwie, prawie niechętnie.

— Wyborniel!

— Podobnoś w nocy coś straszło! — mówiła z ożywieniem panna Nichols. — Co to było? Niech mi pan opowie. Strasznie lubię takie rzeczy.

— Niech pani pan Hudson opowie, bo to jego straszło a nie mnie! — odpowiedział Ramian. — On twierdzi, że coś widział i jemu się przywidziało. Ja nie widziałem nic.

— Okropny z pana człowiek! Duchy się za panem włóczą po świetle. Nie widziałam jeszcze takiego człowieka.

— Czy warto mówić o takich bredniach wobec tego cudownego widoku! — skrzywił się Ramian lekko. — Świat się do nas śmieje, a państwo o przywidzeniach mówicie.

— Ma pan słuszność! — zgodziła się panna Nichols.

A potem ścisnęła ramionami.

— Uch, jaką mam tremę! — szepnęła — Czy też mój chłopiec będzie na mnie czekał!

Ramian ogarnął wzrokiem jej drobną, smukłą, dziewczęcą postać. Widział ją na tle przysypanych śniegiem wybrzeży starej Anglii, pamiętał ją na szafirowym tle Morza Śródziemnego, na tle czerwono oświetlonych zachodzącym słońcem dzikich gór afry-

kańskich, na tle podzwrotnikowej ciszy morskiej — i zawsze była tasama, życzliwa, wierna sobie, uśmiechnięta i jasna.

— Niech się pani nic a nic nie boi! — odezwał się po chwili, uśmiechając się do niej — Pani chłopiec z pewnością na panią czeka i będzie pani z nim zupełnie dobrze. Pani życie nie zawiedzie, ręczę pani.

— Skąd pan to wie?

— Jest pani jednolita duchowo, zaś wszelkie nieszczęście pochodzi przede wszystkim z braku całości wewnętrznej człowieka.

— A pan tę całość wewnętrzną ma?

— Ach, ja?

Ramian zmieszał się.

Omiał że się nie wygadał, omiał że nie zdradził największej swojej tajemnicy.

— To do rzeczy nie należy! — bąknął, odwracając się.

## IX.

— Nie! — mówił Ramian do „stewarta“ — Nie chcę dziś mleka. Proszę mi dać szynkę z wędzonką a potem kotlet barani i herbatę. Strasznie głodny jestem...

— Yes, sir.

— Cozazmiana niesłychana! — zdumiał się Hume — Ramian je na śniadanie mięso! Więc już nie mleczo?

— Jestem pewny, że za dwa dni zaczną pić koniak — rzekł wyzywająco Phips.

— Bardzo być może, moi drodzy panowie, bardzo być może. To powietrze tak mi służy... Zresztą — ten kraj... Co za kraj!..

Przez okrągłe okno jak przez ekran kinematografu przesuwały się przepiękne obrazy: Bujne, zieloną porośnięte wyspy, łódki z wydętymi brunatnymi żaglami, jasno-zielone czuby palm, wioski malajskie.

— Kraj! Kraj bogaty! — przyznał Phips. — Plantacje herbaty, kawy, drzew gumowych, ryżu, trzciny cukrowej.

— Plantacie! — uśmiechnął się, kręcąc głową Ramian do panny Nichols, obierającej kunsztownie na talerzu nożem i widelcem ogromne wonne jabłko — Plantacie! Wy widzicie tylko plantacje, a to jest cały przedziwny i skomplikowany świat! Górzysty Cejlon z dżunglami, w których tają się miasteczka gdzie wciąż jeszcze w pewne dni wychodzą na ulice procesje świętych słoni z palankinami na grzbiecie

i ze złoconymi kłami, dżungle, dżungle, w których rosną palmy tak wielkie, iż jednym ich liściem może się nakryć cała gromadka dzieci... Damy ze szczepu Tamil ze złotymi odznakami kasty między brwiami, z ukwieconymi palcami smukłych nóg w drobnych sandałach... Singalezi w białych ubraniach z subtelnymi twarzami, okolonami świecącymi, czarnymi warokoczykami, w które wplatają białe muszelki... I choć chodzą boso po swej cynobrowej ziemi, każdy krok ich słychać, bo na nogach dzwonią im brązowe bransolety...

— Skąd pan wie? — zdziwiła się Nichols. — Czy pan był tu kiedy?

— Nie. Czytałem.

— Zdumiewający człowiek! Opowiada jakby widział!

— Bo widzę — wyraźnie widzę! Cały ten świat widzę. Powiem pani na przykład o gorących jeziorach Jawy, po których jeździ się w obłokach pary i gdzie gdy z wiosła padnie na rękę parę kropli wody — to parzy. Może pani powiedzieć co o podziemnych rzekach, śpiewających w dżunglach, rosnących na stokach wulkanów, lub o ciemno-zielonych, skrami białymi usianych górach szklanych, o rojących się termitach wyrrywających się z drzewa jak słup dymu lub też mgły gęstej, iż zdawać się może, że drzewo się pali od wewnątrz... Ech, proszę sobie wyobrazić szerokie, gęste, czarne rzeki północnego Borneo...

— Co za fantazja!

— To nie fantazja! Nigdy tu nie byłem, ale — powtarzam wam — znam te kraje. Widzę te wszystkie wyspy, począwszy od Jawy, Borneo a skończywszy na takich malutkich wysepkach jak Amboyna, gdzie kilkudziesięciu malajskich i chińskich kupców w ma-

łej, brudnej wiosce handlowej prowadzi handel zamienny z całym archipelagiem malajskim... Nie mówiąc o Ceramie, Mysolu i Gilolo, na których prawie czarne już dzikusy z papuaskimi kędzierzawymi czuprynami, ukryci w koronach wysokich drzew, strzelają z luków tępemi strzałami do rajskich ptaków o pozłocistych ogonach...

— Doprawdy — bajki arabskie! — pokiwała głową panna Nichols.

— Tak jest, Ramian ma słuszość, ja te strony znam — potwierdził Hume. — Doskonale opowiadacie...

— Pamięć ma dobrą! — rzekł Phips.

— Pamięć — uśmiechnął się Ramian. — To nie pamięć, ja to wszystko widzę... A może istotnie... pamięć?... Mógłbym rzec, że ja... pamiętam.

W tej chwili ktoś krzyknął z pokładu tuż pod oknem:

— Suda naik!

— Co to za słowo? — żywo spytał Ramian — I po jakiemu to? Czy który z was wie?

— To po malajsku. Znaczy — przyjechałem — rzekł Hume.

— Doskonale. Właśnie tego było mi trzeba.

— Jakto niby? Nie rozumiem.

— Ot — chciało mi się wychylić ze statku i z całej piersi huknąć na brzeg: Suda naik! Suda naik! Jak gdyby ktoś bardzo drogi czekał tam na mnie niecierpliwie!

— A może istotnie kto czeka?

— Nic nie można wiedzieć, rozumie się — zgodził się Ramian wesoło. — Najprawdopodobniej czeka ktoś ze służby hotelowej... Ale mniejsza z tem. I tak wołam — suda naik! — ot, z dobrego humoru.

Urzędnik policji portowej — półkrwi Malajczyk, śniady, w niepokalanie białym kostjumie jak mucha w śmietanie — kontrolował w fumoir'ze papiery.

— Pan skąd jedzie?

— Z Londynu.

— Pan tu długo myśli bawić?

— Nie wiem.

— Czy pan był tu kiedy?

Nie.

Urzędnik podniósł wzrok na Ramiana i nagle w oczach jego odmalowało się niesłychane zdumienie.

— Jakto? Pan tu nigdy nie był?

— Nie.

— Jakiej pan jest narodowości?

— Polak.

Urzędnik zmieszał się i umilkł.

Milczał. A po chwili znów zapytał:

— Więc pan tu nigdy nie był?

— Nie.

Malaj pochylił się nad stołem, jak gdyby pilnie studjował papiery Ramiana. Kiedy głowę podniósł, twarz jego była jak zwykle zawodowo poważna, a po malajsku uprzejmie uśmiechnięta.

— Wszystko w porządku — bąknął szablonowo, oddając Ramianowi paszport.

I odwrócił się prawie chłodno od niego.

— Nadęty kundys! — rzekł sobie w duchu Ramian. — Jakie to miny wyrabia dlatego, że ma w swych żyłach za dwa pensy krwi europejskiej!

Na pokładzie statku był już żywy ruch.

Przy parapecie stało kilku wysokich, smukłych Malajów, we wzorzystych „sarongach“, białych kaf-tanach i w płaskich, złotem wyszywanych myckach. W rękach trzymali pliki banknotów i worki ze sre-

brem. Byli to bankierzy, zmieniający pasażerom pieniądze. Po spuszczonej już schodkach jeden po drugim wchodzili na statek kulisi, czarni, pół nadzy, z brudnymi szmatkami owiniętymi dokoła głów. W kącie usiadł sztukmistrz, który dzieciom pokazywał różne cuda. Kilka monet pokrył kubkami, a gdy kubki podniósł, pokazało się, że pod nimi siedzą żółte pi-skłeta. Dzieci były zachwycone i śmiały się głośno jasnymi, dźwięcznymi głosikami. Do boku statku podjeżdżał z wolna wielki galar z olbrzymią, czarną górą węgla, na którym siedział różnobarwny tłum kulisów. Warczały łańcuchy na blokach, zgrzytały żórawie. Tuż przy statku, niedaleko schodków, kołysała się na wodzie duża, pękata, biała łódź motorowa, czekająca na pasażerów. Skakały dokoła niej „sam-pany“ a dalej widać było szary krążownik z długimi rurami dział, biały parowiec holenderski, na morski kolor pomalowany handlowy statek japoński, który dumnie wywiesił swą białą flagę z wielkim czerwonym słońcem w pośrodku, wreszcie różne statki z rozmaitych mórz i przystani.

Koło Ramiana stanął stary Rosjanin.

— Widzicie flagę japońską? — odezwał się — Żeby im się tylko ta czerwień nie rozlała po całej fladze!...

Ramian nie wiedział, co na to odpowiedzieć, więc milczał.

— A więc — przyjechaliśmy! — rzekł po chwili.

— Wy — tak. Ja jeszcze nie — odrzekł Rosjanin. — Jadę dalej, do Gan-Kongu. Interesy. Ot, los! Ja z tulskiej guberni, chłopski syn, całe życie przesiedziałem na wsi, a na starość tułam się po morzach. Rodzina moja rozproszona, rozrzucona. Jedna córka w Jokogamie zamężna, druga w Szan-



chaju, żona z trzecią córką w Kopengagienie, a ty sam włócz się po świecie, póki się twoje kości stare na wietrze nie rozsypią. I cóż zrobisz? Ja stary — dzień każdy dla mnie darem boskim, skonam i nawet nie wiem, gdzie mnie pochowają. Może — synowi ziemi — przyjdzie na dnie morskiem kości złożyć. Niechże kto powie, że człowiek sam buduje sobie swój los. Wiatr jakiś nosi ludzi po świecie... Płyniemy, lecimy przed siebie właśnie tak samo jak na wiosnę ulicami naszej starej, biednej Moskwy leci biały puch rozkwitającej iwy..

— Może jeszcze Bóg da, że się to jakoś poprawi...

— A może da. Cóż można wiedzieć? Ale wy dziś jakoś wesoło patrzycie na świat... Mina zucho-wata, uśmiechnięty... I sława Bogu! Jakby w was inna dusza wstąpiła!

Ramian wzruszył ramionami.

— Jak można takie rzeczy mówić? Jakże to w człowieka może inna dusza wstąpić?

— Zupełnie poprostu. Jedna wyjdzie a zamiast niej wejdzie druga.

Ramian spojrział na starca jakby podejrzewając go, że sobie kpi z niego. Ale twarz Rosjanina była poważna a siwe, małe oczki patrzyły smutno, prawie melancholijnie.

— I jak pan sobie to właściwie wyobraża? — mówił Ramian uśmiechając się, rozbrojony tą naiwnością.

— Oto — powiem panu — w młodości swojej dużo bardzo pijałem. Pan wie — nasz brat weźmie sztof wódki, ogórek i tak pije i zagryza. A zdarzyło się też w Niżnij po Wołdze z kupcami jechać — też kupcem byłem. Ciepło, Wołga szumi, roboty nie

masz — zakąski, jakich świat nie widział, dawaj jeść i pić. No, tak ja często często upijał się do bezprzytomności — a chodził, jakby kieliszka wódki w ustach nie miał, mówił ja rozumnie, zrobił nieraz coś — z przebiegłością! Grzechów pewnie na mnie niemało jest, ale zaręczam wam — złości we mnie nie ma. Żywiłem się swym kupieckim trudem — dziś oni mówią, że my kradli — jeśli, to ja nie wiedziałem o tem, mnie tak nauczono pracować. I ot jednej nocy zdarzyło się — w Moskwie. Przepił ja wszystko do ostatniej kopiejki. To wiedziałem. A potem śni mi się albo przewiduje: Noc, deszcz, w deszczu żółte światło latarni, żółte iskry na błocie, ciemny zaułek, pusto, wicher wyje... Czyjeś kroki... Człowiek idzie sam... A ja wychodzę do niego z za rogu. Dawaj co masz, inaczej twoja śmierć! — Bez słowa natychmiast człowiek wysypał z kieszeni wszystkie pieniądze mnie w garść... Pełną garść miałem .. i uciekł. Zbudziłem się rano, patrzę — na stolku przy mnie garść pieniędzy leży. Więc jakże? Obrabowałem człowieka — ja! Nie, ja nigdy nie rabowałem! To przezemnie rabował ktoś inny...

— No, po pijanemu było...

— Nie, nie tak! Pijaństwem ja duszę z siebie wypędziłem... Zostało ciało bez duszy... Nogi szły jak wskazówki zegara, same... A wtedy hyc! we mnie — może obca dusza, może dusza bez ciała — i dalej, po swojemu... grzeszyć. A drugi raz w teatrze byłem. Grali tam coś — mąż swoją żonę dusił. Ja z małżonką swą w wielkiej zgodzie i miłości żyję, szanowałem ją. I ot, tak mną ten widok żonobójstwa wstrząsnął, że po teatrze w domu — dawaj pić! Niedziela była na drugi dzień czy święto. Pił ja, pił! — niedużo wypił, ale żałość taka rozebrała, że w krótkim czasie

upił się. Przytomność straciłem. Naraz budzę się, leżę na łóżku, świeca się pali, nademną siedzi mój brat, z Brianska właśnie przyjechał i mieszkał u mnie, słyszę coś mówi, wyrzuty robi, do sumienia przemawia. — Co ty, zwarzowałeś? — powiadam mu. — Ja żonę dusić? Nigdy nie było, palca na nią nie zakrzywiłem. — Jakże nie, ledwo ją z twych rąk wydarłem, gardło ją boli, ramiona całe w sińcach, bluzka podarta... — Co ty? Skąd? Przecie ciebie nie było? — Nie było? Nie wierzy mi, gniewa się. Widzicie: Brat wrócił później od nas, coś tam żona dała mu zjeść, siedzieliśmy razem, opowiadałem mu tę sztukę — zupełnie przytomnie, rozumnie — a naraz rzuciłem się na żonę i niby naśladować aktora zacząłem dusić. Ja! Ja!

Uderzył się pięścią w pierś.

— Nic o tem nie wiedziałem — wierzyć nie chciałem. Wiem, że od pewnej chwili było we mnie tak czarno, jak kiedy człowiek głęboko śpi. Ciemność zupełna — oto co było we mnie, gdy dusza moja odeszła mnie. A wówczas znowu skoczyło to złe w maszynę mego ciała i zaczęło jeździć nią, jak szalencie samochodem. To nie byłem już ja.

— Niema na to w tej chwili czasu, ale to można czem innem wytłomaczyć — odezwał się Ramian.

— Wszystko można wiem, wiem! — przyznał stary.

— Więc?

— Miarodajne jest tylko to, co człowiek sam wie o sobie. Otóż ja wiem. Wiem, że czyjaś wola nadużyła mego sennego, nieprzytomnego ciała.

— Drugi w to wierzyć nie musi.

— To też — rozumieją te rzeczy tylko ci, którzy wiedzą tak, jak ja.

## X.

Wielka łódź, mająca pasażerów przewieść na ład, stała u wejścia na schodki.

Ramian już zbiegł nadół; siedział na ławeczce i czekał.

Po schodkach długim szeregiem schodzili:

Naprzód malajska dama w białej sukni, trzymająca za rączkę swe czarne bobo w czerwonym kape-lusiku. Za nią jej mąż, uśmiechnięty, oliwkowy grubas, niosący na ręku mieniącą się barwami jakąś grudkę, którą tulił do serca niby skarb — niemowlę, owinięte pstrym jedwabiem. Tuż Chinka, której luźny, biały kaftan i szerokie, czarne szarawary wiatr targał i opinał na chudych starczych członkach. Potem energiczna, mocna postać Phipsa z chłopackiem w błękitnem ubranku i z fajeczką w zębach. Za nim poważny, chudy Malaj w białym kaftanie i w blade fio-letowym sarongu. Ponury, chudy Hume, kurczowo trzymający się poręczy. Japonka w szarem kimonie, z pod którego błyskała błękitna, jedwabna podszewka lub różowa noga w krótkiej do kostek, białej pończoszce. Wysoki, gruby, czerwony Holender. Wy-soki Chińczyk w czarnym, długim chałacie jedwabnym, w dziwnie zakończonyj czarnej czapce, przylegającej do głowy. Panna Nichols w zielonym sweterze i twarzą po dziewczęcemu uśmiechniętą ale przygaszoną niepokojem i z oczami szukającymi w oddali. Przebrani

po europejsku, pokraczni i niezgrabni Japończycy. Półnagi kulis malajski.

Morze było niespokojne. Schodki — szara wstęga z wplecionymi przedziwnie figurami — chwiały się, podskakiwały na wodzie. Łódź motorowa odskakiwała od nich, jakby ją coś od statku odpychało.

Malajska dama stanęła zakłopotana. Jej czarna dziewczuszka nie mogła skoczyć na pokład łodzi.

Ramian wstał, wyciągnął ręce, wziął małą i postawił ją na pokładzie. Wówczas Malajka wzięła od męża niemowlę, ale trzymając je na ręku, bała się skoczyć.

— Niech mi pani poda dziecko.

— A umie pan trzymać małe dzieci?

— O! Ja?! — rzekł prawie obrażony.

Po tonie poznała, że dziecko powierzyć mu może.

Ledwo w swych dłoniach uczuł małe, miękkie, ciepłe ciało, wstrząsnęło nim coś niby prąd elektryczny a potem po sercu rozlała się dziwna tkliwość. On-by nie umiał trzymać dziecka, on, ojciec nieszczęśliwy, który tulił w ramionach małego zimnego trupka!

Ach, jak okropnie serce boli!

— Co? A tak prawda!

Matka, stanąwszy na pokładzie, wyciągnęła ręce po swe dziecko i odebrała mu je.

Oddał je i teraz zrozumiał:

Tak kiedyś śmierć wyrwała mu z rąk synka.

I został na świecie z pustemi ramionami.

A ten prąd życia, który od dziecka szedł do jego serca, urwał się — niby nożycami przecięta nić.

Zrobiło się Ramianowi tak smutno, że uciekł się po pomoc do małej Malajeczki. Widząc, że zdjęła swój kapelusik i stoi w słońcu, pociągnął ją łagodnie ku sobie w cień, a gdy nie było miejsca, bo pasażerowie

rowie pozajmowali wszystkie ławki, posadził ją sobie na kolanach. Dziewczynka przytuliła się do niego, gdy „launch“ ruszył, i tak jechali. Ramian głaskał ją lekko po kędzierzawej główce.

Zaszumiała turkusowa woda, zatańczyły „sampany“, wioślarze zaczęli krzyżeć, zadygotał motor, dmuchnął świeży wiatr morski — i znowu wszystko się rozjaśniło.

Zniknęły cienie.

Przybliżał się brzeg.

Wysunięta naprzód, cienista, kryta hala portowa — przy niej rzędy łódek niby batalion aligatorów — za nią okazałe, szerokie i wysokie białe domy z arkadami.

W tłumie zobaczył Ramian twarz panny Nichols. Była widocznie wzruszona. A naraz odwróciła wzrok jakby szukając kogoś, podchwyciła spojrzenie Ramiana — zaróżowiła się jej twarzyczka, rozpromieniła — zaś Ramian, zrozumiałszy ją, kiwnął jej głową.

Tam i sam na brzegu hali portowej, tuż nad wodą, przechadzał się wysoki mężczyzna w „khaki“ mundurze oficera angielskiego.

Jakież ten świat jest mały, jakie to wszystko znane! Na przestrzał otwarte pokoje „bungalowu“ z kręcącymi się w nich cicho elektrycznymi „punkami“, podobnymi do wirujących pod sufitem wielkich ciem, bambusowe „bujaki“ a obok nich małe, skośne półeczki, urządzone tak, aby na ślepo i nie zmieniając pozycji można było wyciągnąć z nich książkę, którą wybiera się, wodząc przywykłymi palcami po wyłancanych grzbietach tomów oprawnych w skórę, paru kolegów męża przy popołudniowej herbacie, czasem ploteczki znajomych pań, trochę flirtu a wieczorem obiad w balowej dekoltowanej sukni, zrazu miłoś

i zachwyty dla nowych rzeczy i widoków, potem nastalga i okropna nuda małego garnizonu...

Wszystko umiera.

Lecz tęsknoty ludzkie, tak złote w swych pierwszych wlotach a tak czarne później zawodem... Te spalone, zwięglone słowa zakłęcz... Te wyplakane kwiaty oczu...

Łódź motorowa przybiła do brzegu.

Pasażerowie zaczęli wysiadać.

Stojący w hali oficer angielski uklonił się i czekał spokojnie. Pojmował dobrze, że panna Nichols, właśnie chcąc mieć swobodę w przywitaniu się z nim, czekała, aż wszyscy wyjdą. Odstąpili ją też jej trzej przyjaciele, ale ich zatrzymała i kiedy narzeczony jej zbliżył się do niej, przedstawiła mu ich.

Ramian zamienił z oficerem parę słów, poczem pożegnał się. Gdy panna Nichols podawała mu rękę, zrobiło mu się trochę smutno. Wiedział, że teraz odwróci się i odejdzie na zawsze. A tak się przecież umiera. Trzeba odwrócić się i odejść.

Odszedł.

— Więc do widzenia — wołał Hume, idąc w swoją stronę. — Nie związaliśmy się, lecz pamiętajcie, będziemy was mieli na oku... A gdyby czego było potrzeba — Hume i Phips Limited, York Street.

— Dobrze.

Korzystając ze sposobności odwrócił się ostrożnie.

Panna Nichols siedziała z narzeczonym na ławce w cienistej hali.

Rozmawiali, zupełnie już sobą zajęci.

Z daleka dolatywał zgrzyt żórawi i krzyk kulisów. Widać ich było, jak wiecznie krążącym kołem, z korszami węgla na głowach, wbiegali do rozwartego szeroko boku statku i wybiegali z tej czarnej czeluści.

Morze lśniło jasno zielonym blaskiem.

— Bądź zdrowa, dziewczyno! — rzekł sobie w duchu Ramian. — Ile razy pomyślę o morzu, tyle razy widzieć będę twe miłe, dobre oczy.

Ruszył pieszo ku stojącemu tuż hotelowi, gdzie zaniesiono już jego rzeczy.

Wreszcie był sam.

## XI.

Natychmiast cicho podbiegł ku niemu smukły, brunatny „riksza“, w krótkim, podkasanym „sarongu“, w lekkim, kusym białym kaftaniku i w niebieskim turbanie na głowie. Cicho toczył się za nim wygodny, świecący lakierem wózek. „Riksza“ coś mówił, śmiechając się i łypiąc wesoło roziskrzonymi oczami. Ale Ramian — nie patrząc prawie na niego — odpowiedział mu przeczącym ruchem głowy.

Patrzył chwilę w ulicę.

Przesunął się przed jego wzrokiem dwukołowy wóz z wielką budą z plecionej maty, ciągniony przez garbatego bawoła. Dalej pędził brunatny „riksza“ z angielską damą, której różowa parasolka świeciła z daleka jak szklana bania. Po lewej stronie ulicy, przy chodniku, stało kilka wózek „rikszów“, którzy zbitą gromadką otaczali młodą dziewczynę. Dziewczyna postawiła na ziemi koszyk z jakimiś liśćmi czemś pobielonemi.

— Co to może być? — myślał Ramian przez chwilę.

— Ach, betel! — przypomniał sobie.

Riksze targowali się, żartowali. Dziewczyna odpowiadała im wesoło. Miała na sobie ciemno-czerwony sarong i coś w rodzaju bardzo kusego perkalowego kaftaniczka, wyciętego pod szyją, zakrywającego tylko piersi i z rękawami do łokci. Brzuch nagi był do pasa, za to na szyi dziewczyny błyszczał

naszyjnik z muszelek tak białych, jak jej wyszczerzone w uśmiechu zęby. Brunatna skóra lśniła jedwabistym połyskiem.

Zresztą środek ulicy był prawie pusty — jako że tam najsilniejszy był żar słoneczny. Więc widziało się prawie do wnętrza miasta, gdzie w głębi zieleń jakiegoś ogromnego drzewa o rozłożystych, gęstych koronach. Żywy i pstry nurt ludzki rwał ciasnym korytem pod sklepieniami pięknie arkadami, biegnącymi wzdłuż całej ulicy.

— Sukiennice! — uśmiechnął się Ramian.

Wiedział, że stojący przed nim biały, trzypiętrowy dom — to jego hotel. Poznał to po jednostajnych, równych i długich rzędach okien, otwartych i przyśloniętych napół spuszczone i wysunięte na zewnątrz roletami z jednej i tej samej materji. Rzeczy wysłał był naprzód.

Wszedł do „hallu“ hotelowego.

Była to sala ogromna, bardzo wysoka, cienista, prawie mroczna. Marmurowe ściany, u dołu dosłownie wyłożono żywą zielenią palm i gęstych egzotycznych krzaków i roślin, które stanowiły gruby żywopłot. W zakrętach i załamaniach tego gąszczu czekały białe stoliki i czerwone, wygodne, głębokie fotele trzcinowe. Przez mrok przemykała się czasem służba bosa, w białych, wolnych sukniach.

Ramian rzucił przed siebie okiem i znalazł stolik, który mu przypadł do gustu, ponieważ dyskretnie zielenią otoczony, pozwalał jednak mieć na oku całą salę. Przy tym stoliku usiadł.

„Hall“ był jakby wewnętrznym podwórkiem hotelu. Ramian ze swego miejsca widział wewnętrzne galerje i idących niemi ludzi. Mógł widzieć, kto schodził szerokimi schodami, wyścielonymi precudnym

dywanem, gorejącym ciepłymi barwami w świetle kilku przysłoniętych lampek. Zdawało mu się, że w tem przytłumionem lecz gorącym żarzeniu się kolorów mignęła mu młoda, dziewczęca sylwetka. Potem istotnie zesłała trzynastoletnia dziewczynka, Angielka, z rozpuszczonymi włosami i w niesięgającej nawet kolan lekkiej sukience, odsłaniającej nogi białe, mocne, nagie.

Zaś po lewej stronie, poprzez grube, wysokie na trzy piętra, kwadratowe słupy widziało się jaśniejszy kąt sali, oświetlonej tam przez trzy olbrzymie arkady, przez które srebrnymi smugami wpadało w mrok światło dzienne. W tych trzech oknach, półkolisto u góry zakończonych, świeciło szafirowe niebo, a czasem dostrzedz można było zataczającą w powietrzu krąg mewę. Na dole zaś stały fotele z długimi, płaskimi poręczami i z wyciąganymi u dołu — „poręczami“, bo jakże je nazwać? — na nogi. Na jednym z takich instrumentów wyciągnął się właśnie wielki, tłusty Anglik. Leżał jak długi, a w jasnym świetle trupią bladością świeciła jego obrzękła, niezdrowo pożółkła twarz i wielkie, jakby bezwładne ręce.

Było mroczno, przyjemnie, chłodno i cicho.

Ta cisza dobrze robiła na nerwy podróżnemu, skołataniem nieprzerwaną, czternastodniową „turą“ morską.

Ramian siedział przy swym stoliku prawie bezmyślnie, oszołomiony, unieczwiony. W głowie mu szumiało, prawie nie wiedział, gdzie jest i co się z nim dzieje.

Wtem ktoś postawił przed nim wysoką, oroszoną, cienką szklankę, pełną blado-zielonawego, trochę mętnego płynu.

Podniósł głowę.

Stał przed nim wysoki Singalez w białym, wolnym kaftanie i w szerokich szarawarach, z brunatną twarzą, wielkimi świecącymi oczami i długą brodą. Czarne, lśniące włosy zaczesane miał gładko i związane w węzeł na tyle głowy.

— Co to? — spytał Ramian.

— To wasz napitek, panie! — odpowiedział służący z wyrazem pewnego zdziwienia w oczach.

Ale Ramian był tak zmęczony, że choć nie rozumiał, co to właściwie znaczy, nie chciał się wdawać w rozmowę, nie mógł. Więc machnął ręką i służący odszedł.

Leżący na fotelu Anglik stękał głośno.

Ramian machinalnie podniósł szklankę do ust.

Rozkosznie zimne, cienkie szkło — i co za trunk, zimny, słodki a kwaskowaty, niczem nie odtrącający!

Chciwie, jak człowiek w gorączce, duszkiem wypił całą szklankę.

Jeszcze chwila — i oczy zaczęły mu się przecierać.

Z głębi swej duszy wygłosił myśl, iż tu oto jest — na swoim miejscu, u siebie. Oto — zawinął do portu. I przyszedł mu na myśl początek jakiegoś wiersza Heinego:

— *Glücklich der Mann, der den Hafen erreicht hat...*

Powtórzył go sobie kilkakrotnie, kołysząc się jego spokojnym, równym rytmem.

Tak równo i spokojnie biło teraz jego serce, takim rytmem równym a radosnym rozwijała się teraz jego myśl.

Było mu zupełnie dobrze.

Skinął na służącego.

— Boy! Jeszcze jedna szklanka!

— Tak, panie!

Jakby duch biały cicho pomknął zmrokiem.

Stoi na stole szklanka oroszona, zimna, pełna soczystej treści — niby napoczęty owoc. W nim siła i orzeźwienie.

Ramian pił drobnymi łykami.

Czuł, że trunek jest bardzo mocny, że zaczyna mu uderzać do głowy, równocześnie jednak robiło mu się w duszy coraz jaśniej i pogodniej.

Wszystko, co się z nim działo dotychczas, było żmudną, bolesną, męczącą wędrówką i poniewierką. Dusze, do których się zbliżał, w które wierzył, których się chwycił, na których polegał, uciekały wstecz jak latarnie morskie, a on był wciąż sam i nie tylko sam, lecz wiecznie zdradzany i opuszczany przez nie-możliwe do zatrzymania przemijanie. Mówił — a języka jego nikt nie rozumiał. Patrzono na niego ze zdziwieniem — jak na obcego. Więc ruszył w świat, nie wiedząc dokąd ni poco. I oto pierwszy raz napojono go. — To przecie wasz napitek, panie! — rzekł mu służący. I wreszcie ma swój kąć i ma przed sobą swoje trzy okna z niepokalanym szafirem nieba, z którego odczytywać może nikomu zresztą niewidzialne barwne hieroglify swych marzeń...

Jak cicho!

## XII.

Chcąc wypocząć trochę od ludzi, bo na statku właściwie ani chwili nie był sam, postanowił Ramian zjeść śniadanie w swoim pokoju.

Dano mu wysoki, obszerny i pięknie urządzone pokój na drugim piętrze. Okno wychodziło na zielone morze i port. W środku pokoju, jak wielki kwadratowy sarkofag, stało łóżko okryte białą, muslinową „mosquitierą”. Światło stłumione było roletą, spuszczoną do połowy okna i wysuniętą nazewną, aby powietrze łatwiej mogło krążyć. Na górze, pod sufitem, cicho kręciły się ciemne skrzydła elektrycznego wentylatora.

Ramian był ze swego pokoju zadowolony. Czuł się w nim dobrze. Na sztelarzach stały jego kufry.

Młody Malajczyk, który zaprowadził go do numeru, poprosił o klucze od walizek i otworzywszy je, zaczął rozpakowywać rzeczy. W milczeniu i z podziwu godną wprawą wyjmował wszystko potrzebne. Na toalecie ustawił przybory toaletowe, rozłożył „necessaire”, przygotował świeżą bieliznę i świeży biały kostjum, wyjął pantofle, zapełnił książkami etażerkę — jednym słowem w przeciągu paru minut sprawił, że Ramian miał wrażenie, iż w pokoju tym mieszka oddawna. Kiedy wszystko było gotowe, służący znikł. A wówczas Ramian zamknął drzwi na klucz, rozebrał się, włożył wygodne i przestronne kimono i wyciągnął się na otomanie.

Było parno i trochę duszno.

Z ulicy dolatywał gwar stłumiony i niewyraźny, zgoła nie przeszkadzający samotnemu rozmyślaniu.

Ramian czuł się niezwykle swobodnym, niczem nieskrępowanym, prawie radosnym lub szczęśliwym. Leżąc na otomanie i paląc doskonałego papierosa egipskiego, cieszył się, ile razy na twarzy swej poczuł delikatne muśnięcie chłodniejszego powiewu powietrza. Miał wrażenie, jak gdyby go głaskała po twarzy czyjaś lekka a kochająca dłoń. Uśmiechał się sam do siebie. Każdy powiew przynosił mu tęsamą, znaną zdawien dawna woń, aromat subtelny a przecie mocny, korzenny i kadzidlany zarazem. Myślał, że to szczególnie zapach ziemi, wygrzanej słońcem, owoców, które się tu rodzą, wyschniętych w słońcu lasów palmowych i dymów sadyb ludzkich, dymów, mających inny koloryt wężowy, ponieważ pochodzą z innych gatunków drzewa i chrustu. A do tego jeszcze słonawy posmak bliskiego morza...

Naraz zaczęło coś szumieć.

Był to szum fali morskiej, rozlewającej się po kamiennym bruku.

Wstał i wyjrzał z okna.

Słońce świeciło a mimo to padał ulewny podzwrotnikowy deszcz. Wielkie krople rozbijały się o dachy i bruki. Co żyło, uciekło do hali portowej lub chroniło się pod arkadami. „Riksze“, podniósłszy ceratowe budy na swych wózkach, zmykali z ulicy. Zrobiło się prawie chłodno. Morze poszarzało. Parę dziewcząt malajskich pognało przez ulicę, unosząc wysoko „sarongi“, pod którymi migwały w biegu ich smukłe, brązowe łydki. Przemoczone perkalowe, czy muślinowe bluzki w mig przyłgnęły do ciała tak, że pociemniały, prawie przeszły kolorem skóry i uwy-

datniały plastycznie drobne piersi i bezprzykładnie zgrabną kibić.

Ale słońce śmiało się z tego deszczu i po paru minutach walki zwyciężyło. Znow strzeliły w ulicę jego złote promienie, zamigotało i roziskrzyło się wszystko, czego woda dotknęła, bruki zaczęły kurzyć gęstą parą.

Ramian wrócił na otomanę.

Ten deszcz szumiał zupełnie tak samo jak majowa lub czerwcową ulewa w Krakowie. Tak samo rozbijały się z głośnym szumem wielkie krople o bruki, tak samo — jak kasztany na plantach — tu pozieleniały naraz palmy, tak samo słońce zwycięskie śmiało się z tego wszystkiego.

A w tem rozdziwiło się powietrze.

Nad głową Ramiana zawisł niby ornament srebrny z dźwięków. Coś w rodzaju grającej koronki. Wspomnienie niezmiernie mgliste i z krajów dalekich, przesyconych prawie że czarną mgłą, zadumanych, nieznanających świetności południowego słońca — muzyka poczerniałych ze starości gotyckich wież angielskich kościołów — tak zwany po angielsku „carrol“, dzwoniący na jakąś niezmiernie starą nutę.

— I oni mogli tę pieśń swej mgły przenieść aż tu, na dzwonnice, patrzące w Krzyż południowy i we wspaniałość Indyjskiego Oceanu! — myślał Ramian. — Zuchwalstwo, ale zarazem piękna rzecz. Co za kontrast!

Muzyka dzwonów grała wciąż urywek jakiegoś motetu czy kuranta. A może to był któryś z tych tak skocznie nieraz skomponowanych psalmów angielskich?

Ramian nie wiedział, ale widział wyraźnie stare Westminsterkie opactwo, jakby z mgły zbudowane



mosty na stalowo połyskującej Tamizie i na wysokiej, strzelistej kolumnie unurzanej w mgłę, czarny, jak upiór, pomnik Nelsona na Trafalgar-Square.

— Jeśli oni mieli odwagę przenieść muzykę swych wież kościelnych na te wyspy, podobne do leżących na fali turkusowej motyli, to czy moglibyśmy my?

Leżał przez chwilę w skupieniu, jakby wsłuchując się w dal.

I nagle całą mocą trysnął mu w duszy rozedrgany, strzelisty hejnał. Cała wyspa mu się pokłoniła, pochylały się zielone czuby palm i zdziwieni patrzyli w niebo ludzie brunatni, ubrani w pstre skrawki jedwabiu i lekkie, białe kaftaniki.

Jakiż to dziwny muezzin śpiewa na wysokościach sławę Boga tym srebrzystym głosem?

Jak się to dzieje, że jest to śpiew tak donośny?

Czyja dusza gra na takich wysokościach?

Czy to nie anioł biały zstąpił z nieba na tę włócznię czerwoną ze złotym grotem, podstawioną mu przez nabożnych ludzi prawie pod samo niebo?

Czy to niebo obwieszcza człowiekowi porę modlitwy?

— Niech dzwonią wasze „carrolls!“ — pomyślał Ramian, naraz pewny siebie. — A ja wiem, że gdyby tę wyspę w majowe poranki budziła muzyka mojej jedynej wieży na świcie, kłaniałby się jej cały lud.

Przypomniał sobie poranki majowe, przesycone wonią rozkwitającego bzu... Niebo szafirowe — choć czasem może być chmurne — gołębie weneckiej rasy migające w powietrzu a na wysokościach melodia dwóch trąb, jakby archanielskich, melodia słodka, czysta, podobna do dwóch świeżo rozkwitłych lilij.

— Już ód rana rozśpiewana, chwał ma duszo...

### XIII.

Zbudził się koło czwartej po południu.

Na śniadanie było zapóźno, ale nie czuł głodu. Postanowił niby wstać i obejrzeć sobie miasto tymczasem jednak leżał i myślał. Zaś myśl ni stąd ni zowąd zaczęła uciekać w głąb duszy, w przeszłość w minione i nieodwołalne.

Przyszła mu na myśl żona, z którą się rozwiódł.

Nie znał człowieka bardziej sobie obcego i obojętnego. Obcem było mu w niej wszystko — wychowanie, upodobania, sposób życia, myślenia. I mało powiedzieć, że to wszystko było obce, ono było też i nieprzyjemne, prawie wrogie. Gdyby miał jakiś sentyment dla tej kobiety, to chyba tylko nienawiść granicząca ze wstrętem.

Rozeszli się, pewni, iż żyć razem nie mogą. Przekonało ich o tem sześć lat niesłuchanie nieszczęśliwego pożycia, sześć lat męki i daremnej walki. Kto wie jednak, czyby do tego doszło, gdyby nie śmierć jedynego dziecka, chłopaczka. Z żalu po synku Ramian ciężko zachorował i przez pół roku walczył ze śmiercią. Kiedy wyzdrowiał, był tak zmierzony wewnętrznie, iż z żoną już pod żadnym warunkiem żyć nie mógł. Jej stał się zupełnie obojętnym. Nic ich już nie łączyło, przeciwnie, odpychało wszystko.

Dlaczego wyszła za niego?

Aby wyjść za mąż — jak tyle innych. Z początkiem nawet jako swego narzeczonego i męża niewątpliwie

ochała go na swój sposób. Był jej — droгим, miał dla niej dużą wartość. Wkrótce jednak spostrzegł, że o zespoleniu duchowem mowy nawet być nie może. Żyli nie razem lecz obok siebie.

Dlaczego on się z nią ożenił?

Przez pewien czas wierzył, że ją kocha. Miała w sobie coś, co go w dziwny sposób chwytalo za serce. Czasem jakiś nieuchwytny błysk podłużnego, zarnego oka, czasami ruch ręki, jakieś przegięcie wibicy, jakaś intonacja głosu niskiego i dźwięcznego, słowo ze szczególnym akcentem wypowiedziane — coś drobnego a nieopisanego budziło w nim całą burzę pożądań nienasyconych i marzeń niewypowiedzianych. Było to jak gdyby wylaniała się z niej czasami druga jej postać, przez kształt codzienny zdławiona, zmięta i uwięziona. Miał istotnie wrażenie, że w niej kryje się właśnie jego ideał, lecz niewyrobiony, nie wydobyty na wierzch, nie uświadomiony, przywalony fałszywym i martwym szablonem, jak stary, cudowny obraz zamalowany przez nieudolnego bazgracza. Gdy chciał ją z tych więzów wyzwolić, pokazało się, że ona właśnie szablon najwyżej sobie ceni. Poza nim nie widziała w sobie nic innego i nie chciała widzieć. W całym znaczeniu słowa szablon stanowił istotę jej duszy i życia.

Po ciężkich walkach i trudach Ramian kapitulował, zostawił żonę a tylko obserwował ją uważnie.

Widział zupełnie wyraźnie:

Z tych jakichś dziwnych półruchów, półokrzyków, z tych odruchowych spojrzeń czy słów, z wielu niemożliwych do opisanja lecz wyczuwanych przez człowieka kochającego znaków, można było złożyć coś jakby cień drugiej, zupełnie odmiennej kobiety. O niej Ramian czasami śnił, jej w mi

swych szukał, jej

pragnął. I nie ulegało dla niego żadnej wątpliwości, iż ta nieuchwytna a uwięziona w ciele jego żony istota wyrwa się do niego, daje mu nieudolne znaki, chce się z nim porozumieć. Rozpacz go wtedy ogarniała, bo zdawało mu się, że to utajone w jego żonie szczęście lada dzień może przepaść, zniknąć i nie wrócić więcej. Upokarzała go bezsilność i niemożliwość wydobycia ziota z bryły, jaką miał pod ręką.

— Ja nie tej ciebie chcę, lecz tej, która jest w tobie! — powiedział raz do żony.

Nie zrozumiała go.

Wreszcie zrezygnował.

Powiedział sobie, że nie można żądać, aby człowiek był ideałem, ponieważ w rzeczywistości jest on tylko odbiciem ideału. Że zatem tak jak jest, jest dobrze i lepiej być nie może. Że o szczęściu można marzyć, ale nie musi się go mieć, zaś dążenie do niego jest niebezpieczne.

Wobec tego machnął ręką na wszystko i pracował.

Raz, kiedy przyglądał się żonie — a właśnie wpięła sobie była w czarne włosy jakieś drobne, czerwone kwiatki i uśmiechnęła się przedziwnie do siebie, nachylona do lustra — przyszło mu nagle na myśl, że ona mu właściwie kogoś przypomina. Ożenił się z nią dla jej podobieństwa z kimś jedynie kochanym. Wówczas, kiedy się z nią żenił, myślał, że to „ona“ — teraz zrozumiał, że żona jego jest do „niej“ tylko trochę podobna.

I kogo ona mogła przypominać?

Przeglądał albumy z fotografjami krewnych, znajomych. Przywodził na myśl wszystkie widziane kiedyś twarze, przypominał sobie bale, nawet postacie kobiece z różnych sztuk, widzianych w teatrze — szukał w myśli niestrudzenie, niezmordowanie — napróżno.

Raz w nocy zbudził się, pewien, że tym razem — widział.

Czując, że nie śpi, ścisnął powieki, aby zjawisko jak najdłużej w oczach utrzymać.

Głęboko w jego duszy skrzyło jeszcze widmo z przedziwnie patrzącymi, otchłannymi oczami i kwiatem czerwonych, słodkich i kuszących ust. Ale po chwili zjawisko rozplynęło się w ciemnościach, przybierając zwolna postać jego żony. Wkrótce zatarło się wszystko.

Pozostała w duszy gorąca błyskawica czarnych oczu i ciepły, gorący kwiat ust — jedynych na świecie. A to już było wiele, tak wiele, iż Ramian prawie szalał z tęsknoty.

Wówczas, mimo całą swą niechęć do żony, znowu się do niej zbliżył. Przecie ostatecznie w niej i tylko w niej taił się ten jego sen — być może, nieświadomie przez nią stworzony. W niej było, choć ubogie, i częściowe, ale żywe ucieleśnienie jego marzenia, odblask tego piękna, o którym śnił. I kto wie, czy może kiedy nie wybije godzina przemienienia, a wówczas to piękno wewnętrzne zwycięży, tryśnie, rozpromieni się... Zniknie zaporą, dzielącą duszę od duszy.

Żona powiła mu syna.

Natychmiast wszystko się zmieniło.

Ramian całą swą miłość, całą swą potrzebę kochania przelał na dziecko. Przestał żyć dla siebie, zrozumiał, że teraz już jest na całe życie, a i po śmierci nawet sługą swego syna. I poddał się temu chętnie i radośnie.

Dziecko miało około roku, gdy z niewiadomych przyczyn zaczęło stawać się coraz wątłejsze i słabsze. Napróżno przerażony ojciec wzywał najlepszych lekarzy, najsławniejszych specjalistów. Leczyli biedactwo na

różne choroby, ale właściwie żaden lekarz nie miał jej ściśle określić. Chłopaczek gasł w oczach — i zgasł.

Ojciec runął na kołyskę.

Po pogrzebie rozchorował się ciężko na zapalenie mózgu. Przyszły jakieś komplikacje. Z trudem go uratowano.

Ale przecie odzyskał zdrowie i siły. Żelazna jego natura zwyciężyła.

I znowu zaczęło się szare, już zupełnie beznadziejne pożycie z żoną, która przez czas choroby stała mu się jeszcze bardziej obcą. Może żyła się już z myślą o jego niewątpliwiej śmierci, może już układała sobie nowe, niezależne życie według własnych upodobań, dość, że zmieniła się. Stała się nie tylko obojętna, ale nawet znudzona i znużona.

Co dziwniejsze — to wszystko, co Ramiana dawniej do niej ciągnęło, ten rzadko zjawiający się, lecz pełen czaru i poezji wdzięk, pewna nieopisana oryginalność — wszystko zniknęło. Pospolity, martwy szablon zwyciężył w zupełności.

A wówczas Ramiana zdjęła szalona, niezwyciężona tęsknota za swym niespełnionym, nieurzeczywistnionym snem. To dziwne przywidzenie, im bledsze i dalsze, im bardziej gasnące, tem więcej krwi z niego ssało. Bywało, iż Ramian miał już tylko wspomnienie marzenia uciekającego — bezpowrotnie. Prawie że zapominał, i wtedy chodził smutny, jak gdyby mu kto umarł. A naraz przychodził sen — niemal nieuchwytny, lecz przecie żywy, radosny, potwierdzający się, zachęcający do życia, budzący wiarę.

Ramian zamykał się w sobie coraz bardziej.

Przyszedł do przekonania, że rozwiązanie tajemnicy jest w nim samym, w jego duszy, która prawdo-

podobnie nawet mówi do niego, ale on z powodu zgiełku życia słów jej nie słyszy. Postanowił wsłuchać się w głęboką ciszę swej duszy, spodziewając się w ten sposób usłyszeć głos z „tamtej strony“ — tajemnicze wołanie z daleka. Głosowi temu trzeba było utorować drogę — więc Ramian usuwał z duszy swej wszystko niepotrzebne, połamane a zawadzające rupiecie wspomnień powszednich, myśli, czy pragnienia zbyteczne, wszystko nie istotne, nie twórcze, przeżyte — i słuchał.

Istotnie — wołał go jakiś głos.

Głos krzychał — a krzyk w duszy Ramiana odzywał się szeptem.

Raz tylko, w samo południe bardzo uroczystego dnia, kiedy się rozdzwoniły wszystkie krakowskie dzwony a upajająca i oszałamiająca ich muzyka zaczęła szumieć właśnie, jak słyszany w dzieciństwie „gamelan“ malajski, szept ten odezwał się tak wyraźnie, iż słychać było głos i niemal słowa — wołające, proszące jakieś zaklęcia.

Wtedy Ramian postanowił iść w świat i szukać.

Rozszedł się z żoną.

Rozstali się, jak dwoje obcych ludzi.

Nie łączyło ich już nic. Nawet — moglika dziecka.

Uporządkowawszy swe sprawy majątkowe, Ramian wyjechał.

A teraz miał wrażenie, że przyjechał do domu.

— To się zdarza! — mówił sobie. — Kto wie, czy raz żyjemy? Są to wprawdzie sprawy niezbadane, ale nie tak znów cudowne i nadnaturalne, jak się nam zdaje. I nie bezprzykładne. Ot, Lafcadio Hearn ze swą duszą japońską, ot, Gauguin i jego ukochana Samoa... Bywało już nieraz, bywało...

#### XIV.

Wypoczęty, umyty, stanął Ramian przed hotelem na ulicy, zastanawiając się, dokąd iść.

Na ulicy ruch był już żywy. Pora „siesty“ mijala. „Riksze“, często półnaczy, w krótkich spodeńkach tylko i w turbanach, uganiali po ulicach, rozwożąc po mieście angielskie damy, panów w hełmach podzwrotnikowych i białych kostjumach, malajskich kupców lub niezmordowanych geszefciarzy chińskich.

Jak tylko Ramian wyszedł z hotelu, zaofiarowało mu swe usługi kilku brązowych szoferów. Proponowali mu wycieczkę za miasto, wymieniając zasługujące na zwiedzenie miejscowości. Dziwne nazwy brzmiały w ich ustach dźwięcznie, jak nazwy kwiatów lub rzadkich niewidzianych ptaków.

Odprawił ich skinieniem głowy.

A wtedy — jak psy za nogą — ruszyli za nim „riksze“.

W tamecznym angielskim języku przedkładali mu swe dyskretne usługi. Zawiozą go tam, gdzie niskim ukłonem w progu powitają go giejsze w różnobarwnych kimonach, motyle i słowiki dalekiej Japonji? Nie? To on woli zapewne Chinki i ich niezrównany wdzięk. Jest tu piękność z Pekinu — będzie mógł z nią pić ze srebrnych kubków grzane wino, zaś ona zaśpiewa mu najwykwintniejsze pieśni miłosne swego kraju. Nie chce Chinki? Może woli dziewczęta z Honkongu, smukłe i wysokie jak palmy, z rękami

i nogami niby ljanya, z delikatnymi rumieńcami na cytrynowo-żółtych twarzach. Są to kobiety niby węże, oplatające w uścisku jak „boa“, zaś żółta i jedwabista ich skóra przesycona jest zapachem morza... Pan gardzi ich uściskami? Zatem woli bujną piękność ociężałych Mahometanek z Indyj, z karminowanymi paznokciami, z równymi, wysoko podniesionymi łukami brwi, z ramionami pełnymi, które niecierpliwie szukają koło siebie kochanka... Nie? To może...

Ramian szedł dalej.

Zawadziła o niego czarnem okiem młoda dziewczyna w jasno-zielonawym, czystym „sarongu“, owiniętym dokoła bioder srebrnym pasem z dużą klamrą, przedstawiającą kwiat. Cudnie gibką, cienką jej kibić okrywał przezroczysty, muślinowy stanik, ledwie zasłaniający jej piersi i spięty złotą broszką z zielonym kamyczkiem. Na nogach miała arabskie pantofle z czerwonego aksamitu, wyszywane złotem. Kiedy Ramian ją mijał, uśmiechnęła się do niego, pokazując białe zęby.

Szedł wciąż długim krużgankiem pod arkadami, w głębi których był sklep koło sklepu. Przypominało to zupełnie Sukiennice krakowskie z tą różnicą, że okna wystawowe były tu znacznie większe i czystsze, a za nimi widziało się brunatną służbę w białych sukniach. Sklepy europejskie miały towar angielski i amerykański, widocznie przeznaczony dla mieszkających tu białych. Więc na manekinach wisiały mundury „khaki“, czapki wojskowe, hełmy podzwrotnikowe, dalej konfekcja damska, świecąca wstążkami, piórami i różnobarwnymi flakonami perfum, krótko mówiąc, wszystko to, co się widzi zwykle w każdym wielkiem mieście. Nie zajmowało to Ramiana; wolał przyglądać się ludziom. Ale i ci w tej dość banalnej ulicy europejskiej nie byli nadzwyczaj zajmujący.

Typowe twarze angielskie, energicznie skupione, z pionowemi zmarszczkami na czołach, ruchy żywe, chód szybki, ukłony krótkie — wszystko wskazywało, że są to ludzie pracy, myślący wyłącznie o własnych sprawach. Tu i owdzie widziało się dziewczynę, niosącą na głowie płaski kosz liści betelu, lub też paru brunatnych urwiszów, okrążających z daleka ogromnego brodatego „policemana“ hinduskiego, który — w granatowym mundurze i niebieskim turbanie na głowie — stał nieruchomo w pośrodku ulicy, czasem tylko szerokim ruchem ramienia wskazując drogę nadjeżdżającemu samochodowi.

Ramianowi przyszło na myśl, aby sobie kupić parę książek.

Była to jego największa, może jedyna namiętność. Wszędzie po drodze kupował książki i miał ich już cały kufer. Wybierał kosztowne albumy, przedstawiające piękności danych krajów, poetów rzadkich lub prawdziwie wielkich, dalej klasyków, kosztownie a ze smakiem artystycznym opracionych, przede wszystkim zaś pisarzy, zajmujących się Dalekim Wschodem lub podróżami. Miał cały komplet utworów Kiplinga, kilkanaście cudnych książeczek, oprawnych w szkarłatne „marocco“, z wyciśniętą na niem w złocie głową słonia, miał dzieła Lafcadio Hearna, niektóre wydane w Tokio na sposób japoński i z japońskim tekstem u dołu, miał opisy dalekich krajów i nieznanych ziem, drukowane w Indjach lub w Chinach. Sprawił sobie całą tzw. „bibliotekę skórzaną“, malutkie i różnobarwne tomiki, oprawione w kosmatą skórę, podobną trochę do irchy. Im więcej dobrych książek — tem więcej przyjaciół, a każdego z nich można wezwać na rozmowę, kiedy się chce i od każdego można się zawsze czegoś ciekawego dowiedzieć.

Aż się uśmiechnął na myśl, że to miłe towarzystwo pomnoży teraz o kilkanaście egzemplarzy, z których każdy da mu coś nowego.

Wyszedł na rynek i machinalnie skręcił na prawo.

Po kilkunastu krokach wzrok jego padł na całe stosy książek, rozrzuconych szeroko za wielką wystawową szybą.

Nie namyślając się, wszedł do wnętrza.

Uderzył go mile chłód w księgarni.

W wysokich, przestronych salach, przez które szły długie półki zastawione książkami, wirowało cicho kilka elektrycznych „punk“. Światło było trochę stłumione, ale mimo to zdaleka po żywej pstrokaciźnie okładek można było poznać, gdzie leżą angielskie i amerykańskie romanse i „magazyny powieściowe“, podczas gdy długie rzędy jednostajnie żółtych tomów aż nadto wyraźnie przypominały składy księgarzy paryskich. Połyskiwały złotem pięknie oprawne grzbiety dzieł poetów klasycznych, przerażały wielkością ogromne atlasy geograficzne, zoologiczne i botaniczne, wydymały się brzuchy okrągłych, siwych globusów — a wśród tego wszystkiego chodziła cicho w pantoflach uprzejma służba malajska.

Teraz dopiero Ramian znalazł się w kłopotcie.

Lubił mieć do czynienia z księgarzem inteligentnym, któremu by mógł wytłumaczyć, czego chce i któryby go odgadł. Kupował rzeczy nieznanne sobie i bał się „wpaść“, więc trzeba się było dobrze naradzić i zastanowić — a bez pomocy wykształconego i subtelnego księgarza to się zrobić nie dało. Tymczasem — oczywiście — nikogo tu nie znał.

Zbliżyło się ku niemu dwóch subjektów z brązowymi, uprzejmie uśmiechniętymi twarzami. Jeden z nich odezwał się do niego po malajsku.

— Nie umiem po malajsku! — rzekł Ramian. — Nie mówicie po angielsku?

Subjekt urwał, na jedno mgnienie oka umilkł i natychmiast zaczął mówić płynną angielszczyzną.

— Są jakie nowe rzeczy ze „skórzanej biblioteki“?

— Owszem, są.

Drugi subjekt poskoczył i przyniósł Ramianowi całą tacę pełną malutkich, ozdobnych książeczek.

— A, Hamlet! — mówi Ramian ucieszony, biorąc do ręki miniaturowy tomik oprawny w grubą lecz miękką, ciemno-zieloną skórę. — Dobrze. Wezmę.

— Ale są też nowe rzeczy etnograficzne i geograficzne — wtrącił pierwszy subjekt. — Mamy także bardzo ciekawe studia z Indyj, dalej dzieła z zakresu okultyzmu, wreszcie zajmujące pamiętniki osób, które długie lata spędziły w mało znanych miejscowościach na Wschodzie.

— Dobrze. Tego właśnie potrzebuję.

— Wiedziałem o tem, pamiętam! — ukłonił się lekko Malaj.

W jednej chwili pojawił się przed Ramianem cały stos książek: Albumy z Kwala Lumpur i Górnej Birmy, zdjęcia z Nowej Gwinei, precudne opisy odwiecznych umarłych miast, podziemnych świątyń, tłumaczenia poetów indyjskich, studia z życia różnych szczepów i wysp malajskich.

Brał chciwie jedno po drugim, wziął prawie wszystko.

— Dwieście czterdzieści rupii.

Była to spora suma, ale Ramian wyjął pieniądze bez żalu

— Gdzie pan bawił tak długo? — spytał go pierwszy subjekt.

— Jak to — gdzie ja bawiłem! — zdziwił się Ramian.

— Nie widzieliśmy pana najmniej trzy lata...  
— Trzy lata? Ja tu jestem pierwszy raz w życiu!  
— Niemożliwe! Przecie my pana bardzo dobrze pamiętamy! Przychodził pan do nas często. Kupował pan zawsze dużo książek, zwłaszcza dotyczących Wschodu. Przez pewien czas zajmował się pan żywo Japonją, potem Chinami... Później przyszła kolej na Indje... Czy może nie jest pan wielbicielem Kiplinga?  
— Owszem — ale to nie ja!  
— Nie może być! Widzę własnymi oczami... Tasama twarz, ruchy, tensam uśmiech, tensam sposób mówienia... I po malajsku pan mówił dobrze, choć z cudzoziemska. Zapomniał pan już?  
— Ja ani słowa po malajsku nie mówię. No, nie; pamiętam jedno, co dziś słyszałem: Suda naik!  
— Saalam! — ukłonili mu się obaj subjekci — Tuan\*) powrócił, jak się tego wszyscy spodziewali. Jest to dzień radości dla wielu.  
Ramian patrzył na nich zdumiony.  
— Czy wy istotnie sądzicie, że ja „powróciłem“?  
Malajczycy zamilkli i patrzyli na niego, jakby nie rozumiejąc.  
— Może być, że kogoś z twarzy przypominam, ale wiedzcież sobie, że jestem tu pierwszy raz w życiu... Dziś dopiero przyjechałem... Dziś rano.  
— Ugh! — zdziwił się jeden z Malajczyków. — To nie do wiary.  
— Ja — mówię! — rzekł Ramian z pewną niecierpliwością w głosie.  
Malajczycy skłonili się.  
— Książki proszę mi odesłać do hotelu.  
— Oriental-Hotel? — spytał jeden z nich.

\*) Tuan — po malajsku „pan“.

— Tak.  
Subjekci zamienili szybko porozumiewawcze spojrzenie.  
— Nazwisko moje — Ramian.  
I zwyczajem angielskim zaczął dyktować:  
Ar — Ej — Em — Aj — Ej — En.  
— Ar — Ej — Em — powtarzał notując Malajczyk — Proszę mi wybaczyć: Jakie to nazwisko?  
— Polskie.  
— Pan Polak?  
Ramian zniecierpliwiony wyjął swój pasport.  
— Czy chce się pan przekonać?  
Malajczyk wzdragał się, ale ciekawość zwyciężyła. Wziął pasport, przeczytał, pokazał go towarzyszowi i zwrócił Ramianowi.  
— Przekonał się pan?  
Subjekt odpowiedział urzędowym tonem:  
— Więc — pan Ramian, Oriental-Hotel. Książki wyślę natychmiast.

## XV.

Resztę dnia spędził Ramian w swym pokoju.

Wertował książki, przeglądał albumy.

— Aj, trzeba było kupić podręcznik malajskiego języka! — pomyślał — Bez tego się tu przecie nie obejdę. Bodaj kilkanaście frazesów... Prawda, przecie ja się kiedyś po malajsku nawet uczyłem!

Tak jest, było to po nieudanej wyprawie na Jawę. Ramian przez jakiś czas łudził się, że uda mu się dostać do tej swej „ziemi obiecanej“ i jako młody student „kuł“ podczas obiadu słówka malajskie. Stosownie do zajęcia uczył się też przeważnie słów „jadalnych“ lub z bezpośredniego otoczenia.

— Prawda, prawda.

Zaczął sobie przypominać:

— Piring — porcelana, talerz, pisan — nóż, garam — sól, ajer — woda, tular — jajo, ikan — ryba, bua — owoc.

A naraz wybuchnął śmiechem. Przypomniało mu się słowo komiczne i którym często bawił kolegów:

— Kupukupu — motyl.

Ach, jak to już dawno!

Mieszkał wówczas w dwóch ciasnych pokoikach z młodym pianistą i z jego przyjacielem, młodym malarzem, utrzymującym się z korekty, jaką robił w nocy w jednym z porannych pism. Głód był „pierwszej klasy“, nędza wyborowa. Ramian sypiał

wówczas na sienniku na ziemi i zaczytywał się fantastycznymi opowieściami Hoffmana — a potem sylabizując przeczytał po angielsku „Kima“. Och, jakże mu się dusza rwała do tych dalekich wschodnich krajów, jakże zazdrościł Kimowi jak uwielbiał pocziwego „lamę“ za tę jego miłość gościńców.

Rozległ się dźwięk gongu, wzywający na obiad.

— A bodaj ich! Znowu przebierać się w smoking! — skrzywił się Ramian. — Tyle ceremonii dla siebie samego! Możeby zjeść obiad w swoim pokoju?

Coś mu zabraniało.

Niechętnie ubrał się, wytarł twarz i ręce kolońską wodą Atkinsona i zeszedł powoli na dół.

Już kierował się ku drzwiom jadalni, gdy naraz coś jakby go szarpnęło i kazało mu zawrócić.

„Hall“ hotelowy był rzęsiście oświetlony. Przy stolikach pito przed obiadem „cocktail“ lub wódkę z wodą sodową.

— A istotnie, możnaby się czego napić — pomyślał Ramian i skierował się ku swemu stolikowi. — Boy! Coś do wypicia!

Obsługiwał inny „boy“, nie ten, co rano. Ramian napiłby się z przyjemnością „swego trunku“, nie wiedział jednak, jak się ta kombinacja nazywa.

Mimo to pojawiła się przed nim znowu duża szklanica — pełna zimnego kwaskowatego, mocnego trunku.

— Widać mają mnie za jakiegoś mego sobowótora — pomyślał nie bez zadowolenia — Na szczęście, dobre miał przyzwyczajenia i dobry gust.

Pił powoli „swój cocktail“.

Z rozgorzałego na czerwono wnętrza hotelu wysunęła się smukła sylwetka panny Nichols z kroczącym za nią uroczyście i majestatycznie barczystym Birdsem.



Uklonili się sobie z daleka.

— Ptaki przelotne!

Panna Nichols była mu już zupełnie obojętna. Aż się zdziwił, gdy ją zobaczył!

Coraz więcej ludzi schodziło nadół i znikali w jadalni.

Ramian był głodny, nie jadł śniadania, a mimo to nie chciało mu się ruszyć. Coś go przykuwało do miejsca.

Zauważył w sobie nieokreślony, niepojęty niepokój, uczucie, jakie w młodym wieku miewał, gdy czasem na umówionym miejscu — czekał na dziewczynę.

— Przyjdzie — nie przyjdzie?

A wewnętrzny głos odpowiadał mu:

— Z pewnością przyjdzie. Zaczekaj — jeszcze chwilkę!

Znowu kazał sobie dać szklanekę „swego cocktailu“ — i czekał.

— Niech mi się zdaje, że istotnie komuś zależy tu na mnie.

Wtem po prawej stronie, za zielonym szpalerem egzotycznych krzaków, oddzielających wejście do jadalni od „hallu“, błysnęło, niby chmurka złota, niewyraźne a jednak pyszne zjawisko. Zaszumił zcichy gęsty jedwab — szum zcichł, chmurka złota zatrzymała się, zawróciła.

W Ramianie serce zabiło żywo.

— Do mnie idzie! — pomyślał.

Niepodobieństwo!

Skądże? Kto? Dlaczego?

Ale wewnętrzny głos szeptał:

— Idzie! Idzie! Idzie!

Równocześnie zaś ogarniał Ramiana coraz większy niepokój, lęk i jakby wstyd. Miał wrażenie że będzie

musiał za coś odpowiadać, z czegoś się tłumaczyć, że ktoś zażąda od niego rachunku.

Za co? Za jakie grzechy?

Z poza zielonego szpaleru wyszła wspaniała dama i skierowała się prosto ku stolikowi Ramiana.

Nie było to daleko, ledwie kilkanaście kroków, ale w miarę jak zjawisko, zbliżając się, występowało w pełnym przepychu swej bogatej kraszy, Ramian przeżywał całą gamę uczuć.

Dama była rośła i pięknie zbudowana, o ruchach pańskich, królewskich a przecie godnych kobiecego wdzięku. Na głowie miała złotą, bujną koronę ciemnorudych, przecudnych włosów, wśród których błyszcząca wielka brylantowa gwiazda. Jej szeroko dekolowaną, wypukłą pierś zdobił perłowy naszyjnik. Suknię miała wieczorową z fioletowego jedwabiu, pokrytego bezcennym haftem chińskim. Gruba, ciężka, indyjska bransoletka złota, przedstawiająca węża z rubinowemi, rozgorzałemi oczami, spinała wysoko ponad łokciem jej pełne, białe, toczone ramię.

Z cienia coraz wyraźniej wysuwała się jej twarz — cudna, z koralowemi wargami zlekka rozchylonemi, marmurowo biała, rozjaśniona uśmiechem. Z pod ciemnych, cienkich łuków brwi patrzyły przyjaźnie i serdecznie oczy jasne, koloru morza, ocienione długimi rzęsami. Delikatnie zarysowany nos, nozdrza miał jakby wyczelowane, zrobione z cieniuchnych płatków ledwo-ledwo różowej róży. Było w tej twarzy takie piękno a równocześnie tyle życia, taki wykwint zmysłowy i taka kultura, że Ramian na sam widok jej zadrzał z rozkoszy.

Widząc ją zbliżającą się do jego stolika, mimo woli wstał.

Dama podeszła ku niemu.

Owiało go subtelne a zmysłowe tchnienie perfum. Błysnęło w powietrzu przegięte wdzięcznie białe, krągłe ramie, zaskrzyły opalizujące, różowe paznokcie.

— Jak to dobrze, że pan wrócił, Stanley! — śpiewnym jak skrzypce głosem mówiła piękna pani, podając mu rękę i patrząc mu życzliwie w oczy. — Byłam pewna, że tak się stanie, że musi pan powrócić do swych drogich i przyjaciół. Ale nie godziło się opuszczać nas tak nagle. Obawialiśmy się, że panu stało się coś złego. Trudno było uwierzyć żeby pan chciał i mógł uciekać. Zresztą jak? Czem? Wszak była wojna, statki nie chodziły. Mówiono że pan odpłynął chińską „dżonką“, inni twierdzili, że pan wynajął malajską „prau“... Faktycznie — jak pan to zrobił? I gdzie pan był tak długo?

Ramian stał, uśmiechając się.

Dama zdziwiła się.

— Czy pan mnie nie poznaje? Allan, pan mnie nie poznaje?

— Przepraszam panią — odrzekł wesoło — Bardzo mi miło, ale pani bierze mnie, niestety, za kogo innego... Ja... nigdy nie miałem... zaszczytu.

Ciemno-złote brwi pięknej pani drgnęły zlekka.

— Pan nie jest Stanley? Allan Joe Stanley? — spytała, wpatrując mu się badawczo w oczy.

Ramian pokręcił przecząco głową.

— Nie, pani. Jestem Stanley Ramian.

Zielonawe oczy pociemniały, stały się fijołkowe.

— Allan! — zadrgał głos żalem. — Co pan robisz!

— Nie nazywam się Allan Joe Stanley — rzekł Ramian, jakby zawstydzony i zmieszany trochę.

Oczy w złotej oprawie rzęs aż poczerniały.

— Słowo pani daję! Jestem Stanley Ramian, Polak z Krakowa!

Chłodny, prawie stalowy błysk strzełił z szeroko otwartych oczu pięknej pani.

— Ach, więc pan nie nazywasz się już Allan Joe Stanley — rzekła chłodno.

Odwróciła się od niego wyniosłe i odeszła. Ramian osunął się na fotel.

## XVI.

Kiedy usiadł w jadalni przy stole i zamówiwszy obiad, zaczął się rozglądać, stwierdził z niewymowną przykrością, że siedzi niedaleko owej pięknej nieznanym. Nie wiedział, czy go zauważyła, bo właśnie zajęta była rozmową ze swym towarzyszem, wykwintnym Anglikiem w smokingu, z banalną twarzą i wydętą z tyłu głową. Po drugiej stronie nieznanym siedziała okazała dama, w wytwornej sukni wieczorowej, z szyją może trochę za długą i z pięknymi, białymi ramionami — pani Bell, znajoma Ramiana ze statku, matka dwojga nieznośnych i wrzaskliwych smarkaczów.

Pani Bell zauważyła go i zwyczajem angielskim pierwsza skinęła mu głową.

Uklonił się.

Podano mu ostrzygi.

Jedząc, przez jakiś czas nie podnosił głowy.

Wtem uczuł na sobie czyjś wzrok.

Wpatrzyła się w niego piękna nieznanym. Oczy jej były jak dwa gorejące ametysty. Nie odwracała ich od Ramiana, podczas gdy pani Bell coś jej żywo opowiadała — z pewnością o nim.

— Dowie się przynajmniej, że nie jestem tym, za kogo mnie bierze — pomyślał nie bez zadowolenia.

I uspokoił się.

Sala restauracyjna była bardzo wykwintna. Światło dyskretnie zciemnione nie raziło, na każdym stole

plonęło kilka świec, osłoniętych różnobarwnymi, jedwabnymi abażurami. Służący — Singalezi w białych jedwabkach — usługiwali cicho i zręcznie. Mnóstwo było przepysznych, egzotycznych kwiatów. Cmy niewidziane dotychczas, krążyły dokoła świec. Cicho szumiały fontanny. Owoce były nadzwyczajne.

Ramian kazał sobie podać cygara i pół butelki szampana. Wybrał długiego na półtora decymetra papierosa manilskiego i palił, syrpiąc od czasu do czasu po parę kropel wina. Czuł się spokojnie i dobrze.

Czasem zerkał z pod oka na panią Bell.

Nie była ładna. Miała długą angielską twarz, jakby znudzoną czy znużoną, ale ramiona jej miały ponętą krągłość dojrzałej kobiety i białosc wprost olśniewającą. Dopiero teraz przypomniał sobie Ramian jej ruchy leniwe i jakby lubieżne, jej postać wysoką, dobrze zbudowaną, silną. Pomyślał, że cała jest tak biała i pełna, jak jej ramiona i że mogłaby być godną pożądaniam.

Jednak jakie te Angielki są dziwne! Ma przecie dom, męża — a ledwie przyjechała, już poszła do restauracji!

Damy ruszyły się, dając znak, że chcą wstać od stołu. Anglik zerwał się i odsunął krzesło swej sąsiadki. Ramian uklonił się, na co pani Bell odpowiedziała skinieniem głowy.

Przeczekawszy chwilę, aby dać czas odejść temu towarzystwu, wstał również i skierował się ku wyjściu.

W drzwiach spotkał się z panią Bell.

— Dobry wieczór, panie Ramian! — uśmiechnęła się do niego, podając mu rękę. — Zostawiłam na stole ołówki... Ale to strasznych rzeczy o panu się dowiaduję. Więc jakże się pan nazywa, Ramian czy Stanley?

— Pani Bell! Pani przecie wiedziała — razem wsiedliśmy w Gravesend na statek... Zna mnie pani, wie pani, że jestem Polak... Jakże można —

— Ależ to niezmiernie ciekawa i romantyczna historia! Moja biedna Ciss jest „hors soi“!

— Prawdopodobnie zachodzi wypadek niesłychanego podobieństwa, co twarzom zwykłych, przeciętnych typów zdarza się często... Pani przyjaciółce byłoby to trudniej... Drugiej twarzy tak pięknej jak jej twarz, nie znajdzie...

— Czy mam jej to powtórzyć?

— Jeśli ją to trochę życzliwiej dla mnie usposobi — i owszem.

— Widzi pan — to bardzo zawikłana awantura... Czy nie chciałby się pan spotkać ze mną jutro —

— Służę pani...

— O jedenastej przed południem, w cukierni u Johna Little... Pan wie, gdzie to jest?

— Jeszcze nie wiem...

— Taki olbrzymi magazyn... Całe miasto w nim się zaopatruje. Wielki trzypiętrowy dom... Każdy panu pokaże... John Little, nie zapomni pan? Na trzecim piętrze jest cukiernia, będzie pan na mnie czekał, tak?

Rozmawiając z nim tak się przeginała, że prezentowała mu to piękny biały gors z naszyjnikiem z rubinów na złotej nitce z wielkim rubinem między piersiami, to białe ramie, na którym było widać gwiazdki-blizny, pochodzące ze szczepienia.

— Według rozkazu.

— Niech pan sobie wyobrazi — co za nieszczęście! Po całorocznem niewidzeniu się z mężem jadę, śpieszę do domu i dowiaduję się — że właśnie przed dwoma dniami mąż w niecierpiących zwłoki sprawach

urzędowych musiał na trzy tygodnie wyjechać na Celebes! Taki zawód! Zostawiłam dzieciaki z guwernantką i pobiegłam, aby się nacieszyć swą Ciss. Piękna, co?

— Nadzwyczajnie.

— Więc jutro, tak?

— Z całą pewnością.

A odchodząc myślał:

— Niepokojąco apetyczna kobieta! I wciąż jeszcze flirtuje? O, ale ja nie myślę... jakieś tam głupstwa... Zawracania głowy... Nie dla mnie... I czego ona może odemnie chcieć? Ha, może się czegoś dowiem...

Przeszedł się parę razy po pokoju, a potem wychylił się z okna.

Noc była bardzo widna, księżycowa. Srebrne statki lśniły na srebrnej, gładkiej wodzie, świecąc zdala elektryczną łuną i trójkątem kolorowych latarni, rozwieszonych na masztach. Było już prawie zupełnie cicho, tylko zdaleka dolatywał szum podobny do brzęczenia pszczół w ulu. Zdawało się Ramianowi, że słyszy jakieś dzwonki, muzykę, śmiechy, głosy. Niepokoila go ta muzyka.

Nie chciało mu się spać.

Wziął jedną książkę, drugą, trzecią, przerzucił parę kartek i zaczął czytać.

Była to opowieść o Angliku, który całą swą młodość spędził w Indjach i na wyspach malajskich, potem służył w innych kolonjach, aż wreszcie znów wrócił na którąś z wysp malajskich już jako człowiek starszy i wysoki urzędnik.

„— Z werandy domu, zbudowanego na wzgórzu — czytał Ramian — widział jak z lotu ptaka całe miasto, rozciągnięte u swoich stóp. Eteryczne, księżycowe światło południowo-wschodniej Azji roztaczało

swe blaski, zacierając i łagodząc szczegóły, lecz podkreślając kształty istotne tak wyraźnie, jak światło słoneczne. Na dalekim horyzoncie zalesione stożki archipelagu wyglądały jak olbrzymie lotosy pływające na lśniącej powierzchni morza. Blżej brzegów lśniły światła przywiązanych do palów łodzi — czerwone ognie, gorejące u czarnych boków „dżonk“. Tuż stały wielkie, kamienne gmachy, ściśnięte, jak gdyby chciały walczyć ze sobą o miejsce — budynki urzędowe i składy kupców europejskich. Oczy jego ślizgały się po tych wszystkich przedmiotach i zatrzymały się na dzielnicy krajowców, zaczynającej się tam, gdzie się zaczynały domy europejskie. Dzielnica ta ciągnęła się szerokim półkolem aż do miejsca, gdzie fale morskie rozbijały się o wysoką skałę. Na prawo można było poznać bungalowy Europejczyków po lśnieniu krytych dachówką dachów, obramowanych gęstą zielenią.

Mimo, że miasto spało, z niestrudzonej dzielnicy krajowców dolatywał niski, monotony brzęk i szum — muzyka, do której dawno przywykło jego ucho. Bicie w bębny, słabe jak bicie serca, lecz namiętne, półdzikie, wyraźnie dochodziło do jego uszu, jak głos wołający z przeszłości i szarpiący nerwy. Subtelny zapach bazaru Wschodu — zmieszana woń korzeni, czosnku, owoców, i ciepłych, pełnych namiętności tłumów ludzkich — zalały wała doń na skrzydłach słabych podmuchów nocy, wskrzeszając w nim dawne myśli, wspomnienia i pragnienia z żywością możliwą tylko wówczas, kiedy nasz zmysł powonienia jest podrażniony. Wszystko było mu znane i naraz ogarnęło go gwałtowne pragnienie wolności i życia, zbudziło w nim nienawiść do wszystkiego, co konwencjonalne, do tych wszystkich formalności, obowiązków, nieznośnych odpowiedzialności. Zapragnął rzucić to wszystko,

jeszcze raz zanurzyć się w tem życiu, przeżyć bodaj jedną jedyną, rozkoszną godzinę szczęścia.“

Ramian położył książkę.

Ten autor mówił mu z duszy.

Tak, on znieńawidził wszystko konwencjonalne, szablonowe, codzienne... Znieńawidził i porzucił dla tej dalekiej, nieznaney wyspy, na której mimo to wszystko jest mu tak bliskie i znane, na której niemal że i jego znają. On też słyszy ten tajemniczy, kuszący szum dzielnicy krajowców — już rano czuł jej zapach, ten sam, który go męczył od dzieciństwa! — i rozróżnia muzykę: bębny, skrzypce arabskie, gongi...

Iść tam i znaleźć bodaj godzinę rozkosznego szczęścia!

Wstał.

— Przecież mogę!

Nonsens! Obcy człowiek, nie znający stosunków, miasta, języka! Czego i kogo będzie tam szukał? Dziewcząt? Przecież to nie to!

Więc co?

Brednie! Przywidzenia!

Rozebrał się, zgasił światło i wślizgnął się pod „mosquitierę“.

Było ciepło, trochę nawet duszno.

Z morza dolatywał rzewny śpiew trzechstrunnych skrzypiec arabskich. Ktoś grał do księżycy skarżące się, jękliwe pieśni miłosne, namiętne, rozsadzające piersi. Skrzypce dzwoniły jak skowronek o świcie. Fale dźwięków dzwoniące, łkające, tęskliwe, wstrząsały powietrzem. I Ramian ujrzał ciasną uliczkę arabskiego miasta — płaskie, małe budynki z zakratowanymi małymi okienkami, wielki, jasny księżyc i głęboki czarny cień po jednej stronie ulicy, a w tym cieniu skryty stoi Arab, grający na skrzypcach i śpiewający niskim, słodkim

głosem, z oczami, wpatrzonemi w jedno zakratowane okienko, w którym słabo migoce żółte światelko...

Ramian zasnął.

Spał prawdopodobnie parę godzin, gdy naraz zbudziła go cisza. Przyzwyczajony był do monotonnego jęku śruby okrętowej. W takiej ciszy dawno już nie spał. Próbował zmusić się do snu — na próżno. Więc leżał przez chwilę z otwartymi oczami.

Z dalekiej dzielnicy krajowców wciąż dolatywał stłumiony odgłos bębnow — istotnie, jak gwałtowne, dzikie bicie spłoszonego serca.

W ciszy nocnej wyraźnie rozległ się dźwięczny, łagodny „carrol”. Wybiła godzina dwunasta.

Coś w pokoju trzasnęło tak głośno, że Ramian mimowoli drgnął. Po chwili trzask odezwał się znowu i znowu — jak gdyby kto chodził po pokoju. Kilka razy po sobie trzasnęło coś wysoko na ścianie. To znów można było myśleć, że niewidzialne ciało osunęło się na lekki, bambusowy bujak. Ramian byłby przysiągł, że bujak zakołysał się. Zaś po chwili podłoga zaczęła trzeszczeć coraz gęściej i gęściej w takt tańca drobnych, niewidzialnych stóp. Ktoś wirował dokoła „mosquitiery”, ktoś biegł po całym pokoju...

— Niewidzialny tańczy! — pomyślał Ramian.

Nie bał się. Szeroko otworzył oczy i patrzył.

Ale po jakimś czasie zaczęło to być męczące. Wyraźny, nieledwie głośny trzask odzywał się w najrozmaitszych miejscach, tuż koło łóżka Ramiana.

Naciągnął koc na uszy.

A wówczas zupełnie wyraźnie uczuł i usłyszał, że jakieś subtelne, lekkie palce bębnią mu w ucho po kołdrze.

I brzmiało to zupełnie jak głuche, namiętne warczenie bębnow w dalekiej dzielnicy krajowców...

Werbel bijący sercu na alarm.

## XVII.

Wstawszy wczesnym rankiem, po obfitem śniadaniu, zjedzonym z doskonałym apetytem, wyszedł na przechadzkę, aby skorzystać z rannego chłodu.

Ruch na ulicy był już żywy. W cieniu arkad krążyło mnóstwo ludzi, na wszystkie strony pędzili półnaczy, lśniący od potu „riksze”, wymijając samochody, a także śmieszne, jednokonne karetki z płaskimi dachami, ażurowe i przewiewne. Czasami przeciągały duże, kryte wozy wiejskie, zaprzężone w czarne lub białe bawoły garbate, z rogami wygiętymi w kształt liry.

Chodził po ulicach dzielnicy europejskiej z lekko drwiącym uśmiechem. Widać było, że „biali” chcieli tu zaimponować, postawić się, popisać się kulturą. Nie żalowali pieniędzy, nabudowali mnóstwo gmachów, fontann, pomników i wież, ale wszystko to było ciężkie, niezgrabne, przeładowane a bez gustu. Stały potworne, brzydkie kamienice, pełne portyków i płaskorzeźb, w stylu chińskiego barokku lub renesansu z Celebes albo z Penangu, ordynarne i pretensjonalne do niemożliwości. Asfalt topił się w słońcu, a bosi „kulisi” i „riksze” stąpali po nim jak po rozpalonej do białości blasze. Piękne były tylko drzewa na skwerach, nieznanie Ramianowi z nazwy, lecz wysokie i o bardzo gęstych zielonych koronach, w których cieniu stały długie węże lakierowanych, błyszczących wózeczków „rikszów”.

Wyszedł na jakiś plac, w którego środku nie-  
zbyt obficie tryskała woda z banalnej, brzydkiej fon-  
tanny. Na stopniach fontanny siedział zdyszany „ri-  
ksza“ chiński, żółty, w krótkich, niebieskich maj-  
tkach i podgiętym, śpiczastym kapeluszu. Brudną  
szmatą ocierał pot z czoła, a jego piersi pracowały  
ciężko.

W tej chwili z bocznej ulicy wypadły dwie mło-  
dziutki Angieleczki, ślizgające się na wrotkach. Całe  
miasto było dla nich — jak daleko asfalt sięgał —  
torem wrotkowym. Ubrane w króciutkie sukieneczki,  
aczkolwiek miały najmniej po czternaście lat, z roz-  
wianami spódniczkami, z pod których błyskały białe  
koroneczki, i z nagiemi, tęgiemi łydkami, wyglądały  
tak ponętnie, że siedzący pod fontanną „riksza“ aż  
usta pożądliwie otworzył. Dziewczęta, choć same,  
były śmiałe do zuchwalstwa i niczem się nie krępo-  
wały. Prawda, nie robiły nic złego, jednakże poru-  
szały się tak swobodnie, jakby nikt na nie nie pa-  
trzył. W tem było — dla Ramiana — niewątpliwie  
lekceważenie kolorowych, w tem było to dawne nie-  
mieckie „vor den Sklaven badet man nackt“ —  
w tem była zuchwała, drażniąca, wielkopańska pro-  
wokacja.

— Jeśli tak — pomyślał — to nie dziwię się  
wcale, że tu i owdzie Murzyni lub Chińczycy rzucają  
się na te nadobne istoty. Wygląda, jak gdyby tego  
tylko chciały... Co za potworna hypokryzja! Powie-  
dzieć „koszula“ — to „shocking“, ale z nogami go-  
łemi do pół ud wyjechać na ulicę — to wdzięk —  
u czternastoletniej panny! To niewinna zabawa!

Ta obserwacja usposobiła go nieco lekkomyślnie.  
Przyszło mu na myśl, że „rendezvous“ z panią Bell  
jest właściwie najzwyczajniejszą schadzka. Przypo-

niał sobie parę błysków jej jasnych, troszkę histe-  
rycznie zezowatych oczu, jej prezentowanie ramion,  
to, że nie pytana wspomniała z dość intymnym ak-  
centem, iż męża nie zastała w domu, dalej — czy-  
hanie na niego — bo tak było, żadnego ołówka na  
stole w jadalni nie zostawiła, a jeśli — to rozmyślnie.

— Wielkie rzeczy! — rozważał. — Kobieta jest,  
bądź co bądź, niczego, może nawet zajmująca,  
a w każdym razie pomoże mi do zorientowania się.  
Niezbyt to przyjemnie być sobowtórem swego sobo-  
wóra.

O adres Johna Little nie potrzebował pytać.  
Podczas przechadzki sam zauważył wielki trzypiętro-  
wy dom, na którym złotymi literami wypisana była  
nazwa firmy. Czas jakiś wahał się po ulicach,  
wreszcie, choć jeszcze jedenastej nie było, wszedł do  
magazynu.

To, co tam ujrzał, zasługiwało raczej na nazwę  
wschodniego muzeum handlu, niż na nazwę maga-  
zynu. Ogromny, wspaniale urządzony dom podzie-  
lony był na oddziały, w których znajdowały się  
wprost skarby Harun-al-Raszyda. W długich, oszko-  
lonych gablotkach i szafach, ustawionych pod ścia-  
nami a także i w pośrodku chłodnych, trochę mrocz-  
nych sal o ciemno-połyskującej i gładko wyfrotero-  
wanej podłodze, było wszystko, czem chlubić mógł  
się Daleki Wschód. Zimno połyskiwały precudne  
wyroby ze srebra, czarki i misy, talerze, wielkie  
wazy na owoce, dzwigane przez drżących od wy-  
siłku, groteskowych siłaczy japońskich. Olśniewały  
tkaniny malajskie, jedwabie różnobarwne, szale w kil-  
kunastu wodach barwnych płukane, kolorów wy-  
śnionych, delikatnych i czarujących, koronki wykwin-  
tych a bogatych deseni, lekkie, subtelne jak puch.

Oderwać się Ramian nie mógł od niezrównanych w rysunku i kolorycie haftów chińskich na jedwabiu. Były to czasem małe igraszki: złoto-płomieniste koguty, płasające w srebrnej wodzie błękitne delfiny, smoki z rozczapierzonymi ogonami, grożące wytrzeszczonem okiem — albo też wielkie, malowane barwną nitką na cudnym jedwabiu obrazy, haftowane prawdopodobnie przez długie dziesiątki lat, stonowane po mistrzowsku, delikatnymi odcieniami przechodzące z tonu w ton i zachwycające głębockością pięknych akordów kolorystycznych.

Były to skarby nieprzebrane!

W jednej sali stanął zdumiony przed kunsztownie ułożoną olbrzymią piramidą różnego obuwia damskiego. Było tam obuwie europejskie, lakierki, wysokie trzewiki czarne, białe czy chromowe, pantofelki z pomponikami i inne różnych kształtów trzewiczki, owszem, eleganckie, kształtne, wytworne — ale jakże barbarzyńskie w porównaniu z pantofelkami arabskimi, jedwabnymi lub aksamitnymi, o podgiętych kokieteryjnie w górę noskach, różnych barw a wyszywanymi srebrem i złotem i wysadzanych kamyczkami świecącymi! Ramian wiedział, że pantofelek taki wchodzi na bosą nogę i prawie, że widział te drobne, brunatne stópki w obramowaniu pstrego, złociście połyskującego jedwabiu lub czerwonego aksamitu, haftowanego złotem w perski ornament. A dalej leżały dziecinnie małe, czarne, srebrnymi sprzączkami tylko ozdobione pantofelki dla dam chińskich, o których poeci Wschodu mówią, iż ślad, jaki ich skarłowaciałe stópki pozostawiają, kształtem przypomina kwiat lilji. Tuż stały „gety“ japońskie, deszczulki z dwoma rzemykami, które wsuwa się między palce, prymitywne pantofelki z laki czarnej i gładkiej, z ma-

lowanemi na niej zórawiami, kwiatami lub motylami, czasem znów skromne, ale z rzemykami wyślaczanymi i ozdobionymi kwiatuszkiem, motylem lub kamieniem księżycowym, aby zdawać się mogło, iż na stópkę drobną spadła rosy kropla, lub że do niej motyl przylgął, jak do kwiatu. W tych wyszukanych, rafinowanych formach tak zresztą prymitywnego obuwia, była cała niezwykła kokieteryja kobiety Wschodu, przez zmysły panującej nad niepohamowanym i żywiołowym mężczyzną.

Jak wryty stał Ramian przed gablotką, za której szkłem umieszczono japońskie artystyczne wyroby z kości słoniowej. Więc była trochę rozchyłona muszla ostrzygi — we wnętrzu jej, w głębi, weranda japońskiego dworku wiejskiego, na której, z rękami nad żarem fajerek, siedziały kobiety, dalej zaś widziało się wszystkie gospodarskie sprzęty rolnicze, bawiące się na podwórzu dzieci, drób, psa i gospodarza rozmawiającego z wieśniakami w szerokich, grzybiastych kapeluszach i w zjeżonych, nastroszonych pelerynach z trawy. Tuż był banan z kości słoniowej, ledwo dojrzały, z naddartą skórą, z wierzchu żółty, wewnątrz jaśniejszy, z drobniutkiemi okami żółtawego mięszu i znowu cud: Cytryna z kości słoniowej, z temi niezliczonemi porami skóry, rozdarta i ociekająca białym sokiem, wraz z którym pestka — zdawało się — już już wypływa.

Ktoś zlekka dotknął jego ramienia.

— Studjuje pan cuda Wschodu?

Ramian obrócił się.

Stała przed nim pani Bell, cała w różowej mgłę, z której tu i ówdzie przeświecało jej białe ciało.

— Zachwycające rzeczy!



— Ludzie na Wschodzie mają dzięki nam bardzo dużo czasu.

— Jednak smak artystyczny zawdzięczają tylko sobie.

— Tem lepiej dla nas... sprawiają nam miłe niespodzianki i dają sposobność przywożenia do domu ładnych „souvenirów“, które za ich własne rupje drogo kupujemy... Wszystko w porządku! Chodźmy, pokażę panu japońskie kimona.

Było ich kilkaset, najróżniejszych barw i odcieni, a wszystkie prześlicznie haftowane. Ramian miał wrażenie, że chodzi wśród szeleszczących cicho obłoczków różnobarwnych. Prawie widział otulone w te pieszczotliwe, miękkie, jedwabne cuda, drobne, alabastrowe figurki, siedzące na lśniących żółtych matach i pijące z małych filiżaneczek zielonawą, letnią herbatę. Na ścianach wisi subtelnie do dnia przystosowane „kudamono“, przez podniesione do góry okno widać szare dachy miasta, a nad nimi podobną do olbrzymiego świerku kunsztowną pagodę w zielonym parku Szibo.

„Kimona“ były tak cudne, że oboje chodzili wśród nich oszołomieni. Z trudem wyrwali się z tego szumiącego, niemal wonnego świata jedwabiów, gorejących niespodziewanymi, gwałtownymi płomieniami egzotycznych kwiatów lub półtonami barw, jakby wydmuchanych. Przeszli przez oddział wyrobów szklanych i ceramiki fantastycznej, bajecznie malowanej a kształtów przebogatych, żywych, pełnych humoru lub też dosadnie, rubaszenie akcentowanych.

— W tym dziale mógłby pan też znaleźć rzeczy — jak amulety naprzykład — czasami przechodzące wszelką imaginację swą zmysłowością — rzekła pani Bell. — A zmysłowość tych ludzi jest szatańska prawie.

Niepohamowana i rafinowana zarazem. Trudno się jej oprzeć.

— Trudno?

— Istotnie — trudno. Jest tak nieprzewidziana a wnikliwa, że wstrząsa nerwami, zanim sobie można z tego zdać sprawę. A to pana nie zajmuje?

Stali znów w oddziale złotniczym.

Uwagę Ramiana przykuły przedewszystkiem napierśniki złote, robione z cieniuśkich, gęsto skręconych nitek złotych, z których uwite były całe ornamenty, okraszone turkusami, rubinami lub perłami, a złączone ze sobą złotymi łańcuszkami. Duże jak średnia dłoń, prawie że płaskie, były one jakby odlewem idealnej piersi kobiecej i Ramian wyobrażał sobie, jaką rozkosz cieplej, brunatnej skórze sprawiać musiało chłodne dotknięcie tych wyszukanych klejnotów.

— Faktycznie — to nie do wytrzymania! — rzekł prawie niecierpliwie. — Zapomniałem, co na Wschodzie znaczy kobieta. Czuje się ją wszędzie i we wszystkim. Wszystko dla niej...

— Ja, jako kobieta, mogę sobie pochlebić, iż wiem o tem nie od dziś... Cały świat dla nas pracuje...

Szli po szerokich schodach, wysłanych dywanem.

Pani Bell wprowadziła Ramiana do wytwornej cukierni na trzecim piętrze. Ściany cukierni wykładane były mahoniem, zdobnym w bronz, na podłodze leżał ogromny, kwiecisty, miękki dywan. Jaśniały w subtelnym zmroku białe obrusy na stołach, obstawionych trzcinowymi fotelami. Wszędzie, jak lampki o różnobarwnym płomieniu, świeciły bukietki egzotycznych kwiatów. Szerokie, wygięte skrzydła „punk“ poruszały się powoli pod sufitem.

Mimo wczesnej pory cukiernia była już prawie pełna. Przy stolikach siedziały jasno ubrane, rozba-

wione i śmiejące się damy, przed niemi, niby wielkie kwiaty, stały na cienkich nóżkach piękne kielichy i kieliszki, napełnione trunkami łamiącymi się w tęczę. Malajska służba w białych strojach uwijała się po sali.

Pani Bell opuściła się leniwie na fotel, który podsunął jej służący.

— Coctail na czereśni dwa razy! — rzuciła rozkazującym szeptem.

Służący skłonił się i po chwili postawił na stole dwa oroszone płaskie kielichy ze złotym trunkiem, w którym, jak krwawnik, czerwieniła czereśnia.

— Na szczęśliwe przybycie, panie Ramian! — uśmiechnęła się do niego pani Bell, podnosząc w jego stronę swój kielich.

— Na szczęśliwe przybycie!

Pełne, łakome, blade różowe wargi przytknęła do zimnej i cienkiej krawędzi kielicha i piła chciwie.

— Ten ciepły klimat jest strasznie denerwujący — mówiła, stawiając kieliszek na stole. — Załagodny jest dla nas, Anglików, którzy potrzebujemy czasem gwałtownych szarpnięć.

Zapaliła papierosa.

— A więc — drogi panie Ramian — dowiaduję się o panu niestworzonych rzeczy. Jesteś pan oszustem! O, niech sobie pan z tego nic nie robi, niech się pan nie obraża, niema w tem znów nic okropnego... Narobiłeś pan tu mnóstwo awantur, zrobiłeś pan rewolucję wśród dam angielskiej kolonii...

— Żałuję bardzo — ale niestety — to nie ja!

— Mówi pan — niestety? To już świadczy o panu dobrze. Ale doprawdy — nie rozumiem i nie mogę się w tem wyznać. Prawda, uwodzicielskie zdolności pan ma, o tem wiem, sama widziałam...

— Proszę pani!

— A mała Nichols — to może nic?

— Zdaje mi się, że zachowanie się moje wobec panny Nichols było najzupełniej poprawne.

— Ach! Jeszcze-by też! Żyjemy w świecie, który niepoprawnie zachowywać się nie umie. Cała sztuka polega na tem, aby uwodzić poprawnie...

— Cóż znów za uwodzenie!

— Jedyne prowadzące do celu — sentymalne. Gdyby pan jechał z Nichols do Japonii, jej narzeczony miałby prawo zastrzelić pana... I niech pan się nie wykręca — kobieta zawsze wie, co mówi, i mimo wszystko kłamie rzadziej od mężczyzny, bo kłamie zawsze świadomie i dla pewnego celu, podczas gdy mężczyzna kłamie nawet nie wiedząc o tem...

Ramian uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

— Są to rzeczy znane! — mówiła pani Bell. — I niema potrzeby ich powtarzać — zwłaszcza panu, człowiekowi inteligentnemu. Więc do rzeczy. Żałuję bardzo, że właśnie w czasie awantur, jakie pan tu porobił —

— Ja? Czy i pani bierze mnie za mego sobowtóra?

— Mój panie! Właśnie w tym czasie mnie tu nie było. Wszak przyjechaliśmy tu już po pańskim skandalu.

— Moim?

— Więc po skandalu Allana Joe Stanley'a. Mnie osobiście najzupełniej obojętne, czy to był pan czy kto inny, historia jest w każdym razie zajmująca i pikantna. Co do mnie, mogę stwierdzić, że pierwszy raz ujrzałam pana w „fumoirze“ na pokładzie statku w Gravesend. Miał pan tam papiery polskie — te same, które pan ma z pewnością przy sobie i dziś. Czy jednak Allan Joe Stanley nie mógł się wystarać

o polski pasport i dlaczego by — nie miał być w Londynie, tego oczywiście nie wiem.

— Proszę mi wybaczyć, pani Bell! — rzekł Ramian grzecznie lecz stanowczo. — Ci ludzie tutaj mieli do czynienia z moim sobowtórem, który prawdopodobnie był uderzająco do mnie podobny — dlatego im wybaczam, że mnie biorą za niego, oczom własnym uwierzyć nie mogąc. Co innego pani! Pani zna mnie ze statku, gdzie ludzie w ciśniecie wciąż się o siebie ocierają i obserwują się wzajemnie. Mówię w tej chwili poważnie. Nie dałem pani najmniejszej przyczyny, aby pani traktowała mnie jako oszusta...

— To też ja osobiście skłonna jestem wierzyć panu, tembardziej, że tego awanturczego Stanley'a nie znałam... Znam pana... W każdym jednak razie... Niech mi pan da słowo, pan istotnie — jest sobą?

Ramian wybuchnął śmiechem.

— A czemże innym mogę być?

Pani Bell pokręciła głową.

— Moja Ciss w żaden sposób uwierzyć w to nie chce... Twierdzi, że pan bezwarunkowo jest jej dawnym znajomym i niewdzięcznym przyjacielem, awanturczym, romantycznym i ekscentrycznym Allanem Joe Stanley'em. Miał to być człowiek niebezpieczny... passionnée.

— Cóż ja jestem temu winien?

Piękna, biała ręka pani Bell, okryta misternymi pierścionkami i skrząca brylantami, lubieżnie opłótła cienki, kryształowy kielich. Oczy jej przygasły trochę. Podniosła kryształ ku swym zmysłowemu wargom, wypila resztę „coctailu“ i wysunawszy usta, lekko a łakomo wyciągnęła w nie różową czeresnię. Ramian widział, że nie rozgryzła jej, lecz rozgniotła wargami.

— A kim właściwie jest pani piękna przyjaciółka — przepraszam, że pytam, ale skoro się mną tak interesuje i przypisuje mi takie niegodziwości, mam chyba prawo wiedzieć...

— Jakto? Pan jej nie zna? Nie zna pan rozkosznej Cecyli Sweeting?

— Pani Bell! Jestem tu wszystkiego dobieć za ledwie...

— Prawda! A więc — pani Sweeting, moja serdeczna przyjaciółka, jest z pochodzenia Amerykanką, śpiewaczką operową. Była jedną z najbardziej oklaskiwanych gwiazd w Metropolitan-House, w Nowym Jorku... Wyszła świetnie za męża za bardzo bogatego i miłego Anglika z Kolonji... Mąż jej nie żyje...

— A! Ta piękna pani jest wdową?

— Zamierza się pan starać o jej rękę? Partja znakomita!

— Obraża mnie pani!

— Kobiecie wolno...

— O ile mężczyzna na to pozwoli! — odparł Ramian z lekkim uśmiechem.

— O, co za wyniosły uśmiech! Co za duma! Proszę! Pasza, doprawdy pasza! Zaraz widać, że pan nie Anglik. Nasi chłopcy są lepiej wytresowani.

— Nie jestem chłopcem, droga pani Bell, i u nas kobiety mężczyzn nie tresują.

— To też z pewnością źle na tem wychodzą, „Boyl“ Jeszcze raz „cocktail“ z czeresniami. Pan się dziwi? Zapomina pan, że nie jesteśmy w Anglii, lecz w kolonjach, gdzie w życiu towarzyskiem, mimo wszelkie pozory, panuje trochę większa swoboda.

Ramian powiódł okiem po sali.

Przy wszystkich stołach szczebiotały elegancko ubrane, rozbawione damy a przed każdą stał kieliszek

pełny albo już pusty. Twarze były lekko zaróżowione, oczy świeciły. Wszystkie te damy piły zimne, słodkie ale mocne napoje amerykańskie.

I wówczas przyszło Ramianowi na myśl wszystko, co kiedykolwiek słyszał był lub czytał o pijaństwie, któremu oddają się Angielki, o flakonikach niby perfum lecz pełnych wódki lub nawet rumu, o wydrażonych rękojeściach parasolek, o cukierkach z koniakiem, wreszcie o cichej, tajonej lecz niepowstrzymanej skłonności do wszelkich narkotyków, o namiętności — do wszelkich rafinowanych a skrytych grzechów,

I zrobiło mu się nieprzyjemnie.

— Więc cóż ta pani przyjaciółka? — zapytał, aby zmienić temat rozmowy.

— Ach, moja biedna Ciss! — wykrzyknęła pani Bell. — Będę ją musiała uspokoić, wytłumaczyć jej, że pan nie jest panem Stanley lecz oryginalnym, nawet bardzo oryginalnym Ramianem. Ma ona o coś urazę do pana — to jest — do Stanley'a. Twierdzi, że się podwójnie zawiodła na panu czy na nim. Nie może panu darować tego skandalu z ową tancerką malajską, dla której pan podobno swą biedną lekkomyślną żonę porzucił po śmierci syna... Znadto pana kochała...

— Kto? Ciss? Mnie? Pani Bell, niechże się pani zastanowi!

— Czy być może! — wykrzyknęła pani Bell, jakby uradowana niespodziewanem odkryciem — Ależ to zupełnie prawdopodobne! Stąd ta uraza... Ale jakże pan mógł poświęcić tę słodką Ciss dla malajskiej dziewczyny!...

— Co pani wygaduje!

— Pan zbladł! Cóż to znaczy? Czyżby istotnie było na tem coś prawdy?

Oczy pani Bell uporczywie wpatrywały się w jego twarz.

— Droga pani, ja już zupełnie nic nie rozumiem. To niewytłumaczone... Nie, to oszaleć można! — wykrzyknął nagle z pasją.

— Niechże pan panuje nad sobą!

— Prawda. Już jestem spokojny.

— Więc? Może mi pan wyjaśni teraz?

— Nie, pani Bell, nie, nic wyjaśnić nie mogę...

— Zatem — odmawiam dalszej pomocy!

— Nie, toby było nieludzkie. Proszę zrozumieć:

Nie mogę pani niczego wyjaśnić, dopóki sam czegoś pewnego się nie dowiem. Wtedy może pokaże się jakiś związek... Chwyć może jakąś nić przewodnią, łączącą te wszystkie fakty nadzwyczajne...

— Więc tu są fakty nadzwyczajne?

Skinął potwierdzająco głową.

— Jakie? Niechże mi pan to przynajmniej powie!

— Niewiele pani zrozumie...

— Chcę wiedzieć!

— Otóż jest prawdą, że po śmierci syna opuściłem żonę dla malajskiej tancerki, jeśli pani chce...

— Więc pan jest Stanley?

— Nie. Jestem Stanley Ramian. Rozwiódłem się z żoną w Krakowie i syn mój leży na krakowskim cmentarzu... Zaś tu nigdy jeszcze w życiu nie byłem.

— A ta tancerka?

— Widywałem ją we snach.. jak we mgle. Ta tancerka — to mój sen... Prawda, może nie z powodu tego snu wyjechałem, ale dla niego pozostałem tu... Tej tancerki zresztą nie znam, nie widziałem, nie wiem nawet, czy ona żyje... Pani pierwsza o niej mi powiedziała..

Pani Bell aż klasnęła w dłonie z zachwytem.

— Epatant! Jakże to może być?

— Nie wiem. I niech mnie pani dziś już nie pyta. Mam dość, zmęczony jestem, zdenerwowany i źle się w tej cukierni czuję. Przytem sam nic więcej nie wiem i nic więcej już pani powiedzieć nie mogę...

— Ale że Ciss, moja Ciss mogła pana wziąć za tamtego! — kręciła głową Angielka. — Prawda, parę lat już minęło, zresztą ona zwykle dopatrywała się w mężczyznach różnych właściwości, z których oni są najzupełniej wyprani... Wieczna entuzjastka... Artystka!

— Zostawmy to już, droga pani Bell! — prosił Ramian.

— Niech i tak będzie! — zgodziła się — Widzę, że pan istotnie jest nieswój. Dam panu dziś spokój.. Na jedno tylko muszę panu zwrócić uwagę... to Ciss mówiła i poleciła mi pana przestrzedz a przestroga ta przyda się, skoro pan istotnie nie jest panem Stanley... Niech pan będzie ostrożny, niech pan nie bardzo pokazuje się w towarzystwie, w klubach... Mógłby się pan narazić na nieprzyjemności... Pański poprzednik, pan Stanley, był podobno człowiekiem bardzo agresywnym i z całym światem nieustannie wojował...

— A cóż mnie to może obchodzić! Przecież ja nie jestem Stanley lecz Ramian!...

— Właśnie dlatego, że pan nie jest Stanley. Więc mamy do czynienia z jakąś istotnie niezwykłą historją... Dalszego rozwoju tych dziwnych wypadków można oczekiwać z dnia na dzień, może — z godziny na godzinę... Doskonale! Panie Ramian, kto wie, może będę mogła pomóc panu — przynajmniej jako wywiadowczyni... Mam tu bądź co bądź stosunki i niejedno słyszę...

— Bardzo pani dziękuję...

— Zadzwońię do pana do hotelu... Przyjdzie pan do mnie na herbatę? Bungalow Bell. Filiżanka herbaty, ciastka i dużo plotek, dobrze?

Ramian skłonił się.

— A teraz chodźmy. Muszę jeszcze wstąpić do mego jubilera. Źle mi oprawił brylant. Widzi pan?

Położyła przed nim dość dużą i pełną, lecz zgrabną, białą dłoń o długich, zaróżowionych u końców palcach. Palce te, okrągłe, toczone, miękkie, były niby gromadka żywych, małych żmijek o atlasowo połyskującej skórze. Na jednym z nich jak kropla rosy lśnił duży brylant.

— Więc idziemy.

Ramian zapłacił.

Pani Bell wstała i duża, mocna, zgrabna skierowała się ku drzwiom. Biła od niej siła i prawie nie kobieca śmiałość czy zuchwała pewność siebie.

Zaś kiedy już byli na szerokich, mrocznych schodach, wiodących na dół, zwróciła ku niemu głowę i odezwała się miękkim, niemal serdecznym tonem:

— Niech się pan tak bardzo tem wszystkim nie przejmuję, niech pan tych rzeczy nie bierze z nadto do serca... Buchalterja życia nigdy nie może być w zupełnym porządku. Nieraz — jeden uśmiech, jedną godzinę zapomnienia opłaca się stu fałszywemi pozycjami... Wcale nie zależy na tem, aby bilans był prawdziwy, a tylko — aby mu nie można było nic wytknąć...

— Lecz — nierealne pozycje?

— Panie, panie! Ten, kto bilans robi, wie dobrze, co owe nierealne pozycje znaczą.. Wie, że pod niemi kryją się — nikomu nie znane — zyski. Ale otóż mój „riksza“. Więc — do widzenia panu.

Drobny, misternie zbudowany lecz muskularny młody chłopiec malajski, w białym kostjumie muślinowym i żółtym turbanie, podbiegł przed arkady, ciągnąc za sobą swój wózek. Opuściwszy usłużnie aż na ziemię drążki, pomógł swej pani usadowić się wygodnie a potem jedwabnym szalem okrył jej pieczołowicie nogi aż do pasa.

Angielka skinęła Ramianowi głową.

— Do widzenia.

„Riksza“ chwycił drążki, podniósł je i pognął przed siebie wielkimi, długimi susami, wyprostowany i z głową wysoko podniesioną do góry.

## XVIII.

— Powinienbym właściwie iść do hotelu — myślał Ramian... — Ech, na śniadanie jeszcze czas... Zresztą — nawet wolę później, będę sam...

Przeszedł przez rynek i skręcił na lewo.

Szeroka, obecnie pusta ulica wiodła między dwoma szeregami olbrzymich, ciężkich gmachów rządowych, ocienionych od frontu wysokimi drzewami o wielkich, gęstych konarach. W głębi widać było wysoką, murowaną dzwonicę, krużgankami połączoną z budynkami po obu stronach ulicy, a zbudowaną na dole nakształt bramy.

Zdawało się Ramianowi, że nie ma nawet pocco wychodzić poza tę bramę. Więc usiadł na ławce w cieniu drzewa i w ciszy rozmyślał.

— Położenie wprost idjotyczne. Inaczej tego nazwać nie można. Jeden olbrzymi i niesłychany nonsens. Przedewszystkiem ta jakaś malajska tancerka. Owszem — przyznaję, śni mi się. Ale ktoś wie — czym jest sen? Niektórym ludziom śnią się zęby, innym znów, że się bawią zakrwawionymi kośćmi kręgosłupa — i to uważają za złą wróżbę... Może być, że są sny prorocze i może być, że i ja mam taki swój sen — malajską tancerkę. Trudno też zaprzeczyć, że ten sen wywiera dziwny wpływ na moje usposobienie, może być jednak, że jako taki jest wpływem jakichś zmian nerwowych, przezemnie nie dostrzeganych. Zatem ta tancerka malajska niczego

nie wróży, a tylko wskazuje na pewien mój stan nerwowy. Tak samo dobrze mogłaby mi się śnić na przykład — czarna krowa.

Teraz cała ta historia z tym jakimś Stanley'em. Zbieg okoliczności. Niczem innym nie będzie nawet to, że on zajął się tą tancerką malajską, co zresztą tu, wśród Malajów, jest zupełnie naturalne, bo innych tancerek niema. To jedno. Następnie — mimo całej tej tajemniczej glorii snu i marzenia, faktem jest, że ta, prawdopodobnie piękna kapłanka Terpsychory malajskiej, weszła w trwałe kontakty z romansowym i awanturycznym Anglikiem. Musiał to być kontakt zupełnie wyraźny, skoro ludzie pamiętają o nim aż do dziś...

— O, jakto dobrze czasami pomyśleć! — cieszył się Ramian.

Ale równocześnie czuł w sobie niepokój, coś w rodzaju wyrzutów sumienia. Analizując zebrane fakty niemal wyrzucał sobie świętokradztwo, bluźnierstwo i brak serca.

Mimo to — nie poddawał się.

— Zapewne, nie należy do przyjemności własnymi rękami burzyć swe marzenie. Jednakże — albo ten rozum służy do czegoś, albo nie! Utożsamianie mnie ze Stanleyem minie po paru dniach, gdy ludzie dowiedzą się, kim jestem... Warjacki sen o tancerce malajskiej straci swą chorobliwą fantastyczność, zwłaszcza, jeśli zostanie — bez trudu, jestem pewny! — zaspokojony. Przecie to kwestja kilkunastu rupji, bardzo tania kwestja!

Uśmiechnął się.

— Naturalnie! Doskonały pomysł. Ale to ma czas. A co do tego, że mogę mieć nieprzyjemności z powodu tego niedorzecznego „qui pro quo“ to

przedewszystkiem głupie Angliki zapominają, że to oni mogą mieć nieprzyjemności ze mną, a nie ja, który na nich najkompletniej w świecie gwizdzę, a prócz tego, wolnym człowiekiem będąc, mogę wyjechać stąd, kiedy zechcę...

Wyjechać?

Na samą myśl o tem ścisnęło mu się serce.

Wyjechać?

Dokąd?

Tu może być — głupio! Nedorzeczne komeraże, historia z tym Stanley'em i z tancerką... Bzdurstwa! Ale tu jest dobrze!

A właściwie — co tu takiego dobrego?

Faktycznie niewiadomo. Zato wiadomo jedno — gdzieindziej nie można żyć! Być może właśnie z powodu tych wspomnień dziecińczych... Wieś malajska w Krakowie... Niby drobiazg, ale oto człowiek bardzo się zmęczył i dla nabrania sił ucieka myślą w czasy dzieciństwa... Niech to będzie nawet złudzeniem, wszystko jedno!

Nie. Wyjeżdżać nie potrzeba. Przynajmniej — nie dlatego, że się tu zastało tak śmieszną sytuację. No, bo ta sytuacja jest przedewszystkiem kolosalnie śmieszna! Ten rozplotkowany, intrygami zżerany „mały garnizon“, te postrojone pułkownikowe, inżynierowe i radczynie, pijące wódkę od samego rana... O, jakież to musi być węzowisko syczących zmij! Ależ tak oczywiście! Kto przyjeżdża z dalekiego świata, myśli, że to wielki świat — a to dziura, okazała dziura, w której żyje parę tysięcy Europejczyków, wściekających się z nudów albo chorych. Każdy z nich woli trzeciorzędą piwiarnię w angielskiem miasteczku prowincjonalnem, niż najdroższy hotel tu... I jakie to wszystko musi być już ograniczone, tępe,

apatyczne, jakie zacofane, a utrzymujące się na pewnym poziomie tylko zaschłą sztywnością konwenansów i form towarzyskich, poza którymi...

Aaa!

Przyszła mu na myśl piękna Ciss i jej przyjaciółka, pani Bell. O Boże, przecie obie te damy, to najzwyczajniejsze prowincjonalne „plotkary”, wszędzie wietrzące intrygę i sensacje. Zapewne lepiej ubrane i lepiej wychowane, niż te z Mościsk lub Zakliczyna, ale poza-tem — takie same. A tylko — może więcej zepsute.

I tu Ramian ujrzał znów przed sobą panią Bell. Na statku mało się nią zajmował.

— Przeszkadzała poczciwa Nichols — pomyślał.

Więc — nie zajmował się tą damą, ale przecie pamiętał ją, jej ruchy powolne i leniwe, spokojne niby a przecie nieczyste, jej oczy, patrzące chłodno, rozumnie a wiedzące i z ledwo dostrzegalnymi skrami niemal cynicznego poduśmieszku, jej suknie wieczorowe niby skromne, lecz głęboko wycięte i podkreślające wymownie lśniącą biel skóry... Nie flirtowała z nikim. Na to była zbyt dojrzała i mądra. Można żartować, bawić się, ale pocóż niepotrzebnie gadać o czemś, co milej jest zrobić? I co się robiło, robi i zawsze zrobić można! Dlaczego nie? Troje dzieci — to chyba dość. Więcej z pewnością nawet szanowny małżonek nie pragnie. Więc cóż zrobić z „resztą temperamentu“?

— Prawdopodobnie zaczynam się już orjentować! — mówił sobie Ramian w duchu. — Wygląda to wszystko niezmiernie poetycznie i mistycznie. Niby to — ledwo stopami dotykamy ziemi. Zgoda! Małpy wogóle po ziemi nie chodzą, lecz szwendają się po gałęziach drzew, pod niebem, a jednak daleko im do aniołów! Obniżmy lot! Obniżmy lot! Pani Bell?

Zagryzł wargi.

Jakby widział jej histerycznie rozbiegające się oczy, różowe wargi i pełne, mocne, białe ramiona. Coś przeleciało mu przez myśl — i już ujrzał ją oddaną sobie i szukającą rozkoszy.

— Na jedwabnej, wiśniowej makacie to białe, pielęgnowane ciało...

Zerwał się i prawie pobiegł ku wieży.

Zaś tam stanął i szeroko otworzył zdumione oczy.

Oto znajdował się na drugim brzegu wyspy, tu widać, wąskiej, bo od jednego brzegu do drugiego było co najwyżej kilkanaście minut drogi. A jednak jakaż olbrzymia różnica w ukształtowaniu wybrzeża i charakterze morza! Tam brzegi były dość wysokie, a morze, choć rzucające czasem białymi bryzgami, jakieś jakby międzynarodowe, spodłale, w przykry a niewytłumaczony sposób zdegradowane. Tu zaś widziało się zupełnie co innego: Przestrzeń, pełną jasności błękitnej, nieskończoną i nieograniczoną, olbrzymią, a jednak nie pustynną — choć nie było na niej w tej chwili ani jednego statku. Ale o życiu tej przestrzeni nadto wyraźnie mówiły żywym swym rytmem fale blado-zielonawe, a całe w srebrnym połysku stopione, to odskakujące z melodyjnym, uroczystym szumem od płaskiego wybrzeża, to znów wlewające się na nie i rozpryskujące na złotym piasku przedziwne białą pianą upstrzone kwiaty swych zapędów.

Muzyczny rytm i rozpęd fal był porywający. Jedna za drugą leciały ku wybrzeżu, rozegnane i rozpędzone z daleka już, i wpadały na piaski, ciężkie niby, potężne, groźne prawie — a przecie w mgnieniu oka wycofywały się z lekkością i swobodą wprost akro-



batyczną. I choć te wały bieły przed siebie z szybkością i gwałtownością olbrzymich torped, mogących, zda się, całą wyspę rozbić, żadna z nich nie przekroczyła pewnej granicy, niczem zresztą nie obwarowanego, płaskiego wybrzeża. Te długie, srebrne fale muskały wyspę pieszczotliwie, niby ogromne, błękitnawo-srebrne pióra skrzydeł archanielskich, a czuło się, że źródło tych ruchów i wstrząsu olbrzymich fal wody nie jest blisko, lecz leży gdzieś bardzo daleko, u źródła potęgi niezmierzonej, a rzucającej falami jak ramionami, które należy wyprężyć, aby muskuły ich nie zdrętwiały.

Zaś nad tą rozkołysaną rolą morską, kipiącą głębokimi bruzdami, gorzało przedziwne światło, srebrne, chłoneące w siebie błękit nieba, a nawet obojętne na jego szarość, a tak samo z siebie rozpromienione, że dusza wyrывała się ku niemu przez zapatrzone i rozmodlone źrenice, chcąc w niem utonąć i rozplynać się na zawsze.

— Silver sea!\*) — odezwał się czyjś głos.

Ramian odwrócił głowę.

Stał przy nim wpatrzony w morze, starszy już, siwawy żołnierz angielski w „khaki“ mundurze i z nieodłączną krótką trzcinką w ręku.

— Srebrne morze! — powtórzył. — Najpiękniejsze morze na świecie. A widziałem ja tych mórż już dość! I białe i czarne i żółte i czerwone! Piętnaście lat służę jako ochotnik, sierżantem jestem. Byłem w Indjach i w Honkongu, w Suezie, na Gibraltarze, w Archangielsku i w Soczi... Ale takiego morza nie ma nigdzie... Śpiewa wciąż i faluje wciąż... Kapią w te fale orzechy kokosowe z nadbrzeżnych palm... A opowiadaniom jego niema równych... Przynosi

\*) Silver sea — srebrne morze.

ono czasem listy... deski z rozbitych „dżonk“ chińskich lub malajskich „prau“ z dalekich wysp i wód... A jakby się tak wsłuchał w jego szum, to kto wie, czyby nie usłyszał trzaskania „żabek“ i bicia w bębny przed posągami Buddy w Birmie lub w Kamakurze...

— E, co tam Budda z Kamakury! — zażartował Ramian, którego drażnił trochę elegijny ton żołnierza. — Dziś więcej jest znana w świecie japońska szynka z Kamakury!

— Bardzo być może. Ale Budda z Kamakury to przetrwa.

— Jesteście buddystą?

— Nie. Jestem człowiekiem nieszczęśliwym.

— To źle.

— Bardzo źle — rzekł poważnie Anglik. — Ale ja nie jestem temu winien — dodał po chwili jakby usprawiedliwiając się. — Mówi się, że każdy człowiek ma takie szczęście, na jakie zasługuje. Oczywiście, o ile ma też możliwość rozporządzania sobą. Ale weźcie pod uwagę taką Anglję — ile to różnych interesów, nieraz sprzecznych ze sobą — a wobec tych interesów ja — „private“ armji Jego Królewskiej Mości! Cóż mogę? Cóż wiem? Jakże do tego swój los dostosować? Czy mogę być mądrzejszy od Lloyd George'a? Jestem tylko sierżantem!

— A cóż wam się takiego stało?

Żołnierz podniósł w górę ramiona.

— Och, rzecz tak zwykła! Przed wojną orzeźniłem się z młodą, uczciwą i dobrą dziewczyną. Potem byłem we Flandrji, później w Archangielsku i na Kaukazie. No — wojna!

— Zarabialiście dobrze!

— Zapewne! Potem znów mój pułk wycofano i posłano tu, a ja dostałem urlop i wróciłem do Lon-

dynu. Na parę miesięcy. Przykro mówić, ale mężczyzna może mówić otwarcie. Nie potrzebuje kłamać. Żona moja nie dostała telegramu. Zajechałem do jej mieszkania popołudniu — czekałem — czekałem całą noc. Nie przyszła. I cały dzień — niema jej. Aż mi powiedział ktoś z siąsiedztwa, że zwykła bywać między czwartą a szóstą w pewnej herbaciarni na Strandzie, gdzie się tańczy... Poszedłem... Herbata, ciastka, dużo światła elektrycznego, dywany i ten wesoły, barbarzyński „jazz-band“ amerykański. Gitary „banjo“, bębny, w sali perfumy, fruwały modne, jedwabne suknie, widać z pod nich łydki w przezroczystych, jedwabnych pończochach. Broń mnie Boże, abym był sędzią bliźnich swoich!... — Ona — tańczyła też! Reszty możecie się domyślić. Nie potępiam, nie robiłem wyrzutów, a tylko bardzo żał mi zmarnowanego człowieka!... Oczywiście — coś zrobić musiała. Męża niema w domu — życie ucieka! No? Ale czasem myślę: Wielu ofiarami zyskała Anglja potęgę, czy jednak ta potęga daje szczęście Anglikom? Nie wiem.

Naraz zadzwonił ze szczytu wieży dźwięczny, harmonijny a smutny trochę „carrol“ starego, angielskiego miasteczka.

Anglik drgnął.

— Czekałem na to. Każdy ton kłuje mnie w serce.

— Cierpicie na nostalgję?

Żołnierz pokręcił głową.

— I na jakąż nostalgję mogę cierpieć, skoro mój dom w mojej ojczyźnie jest niczem!

— Rozwiedliście się z żoną?

— Nie. Poco? Dlaczego mścić się na człowieku nieszczęśliwym? Ja widzę ten „tea-room“ na Strandzie... Gitary brzęczą, a biedne kobieciny łamią się w bar-

barzyńskim tańcu... Zaś która z nich nie szale, spójrzcie w jej zwężone źrenice... Morfina lub ina... I znam te wszystkie przybytki rozkoszy, jakież smętne... Restauracje australijskie i południ. afrykańskie i kanadyjskie i te różne pudingi i raki i homary, ostrygi... Sumienia tem nie zaglą. Powiedział Kipling, że jeśli prawo do panowania morzem daje śmierć, to każda fala morska niesie trupa majtka angielskiego, lub deskę z angielskiego rozbitego statku... A ja powiedziałbym inaczej: Każda fala morska niesie utopione szczęście Angielki i deski z rozbitego angielskiego domu rodzinnego... Wysoką pobieramy gażę, ale jeszcze wyżej unosi moja żona sukienek w „tea-roomie“, pokazując ciekawym łydki w ażurowych pończochach jedwabnych... A dają słowo, to była bardzo pocziwa i uczciwa dziewczyna...

Umilkł, a po chwili dodał:

— Morze! Srebrne morze! Utonęło w niem szczęście Anglji! Chcieliśmy je opanować, a staliśmy się jego niewolnikami... Kiedyś naród zrozumie to i wówczas stanie się to samo, co było w Rosji... Ja widziałem, byłem z misją w Kijowie... Nieprzeliczone hordy wojska na froncie stanęły naraz, olśnione zrozumieniem bezowocnych swych wysiłków i ofiar... A potem wszystko morzem ogromnem a burzliwem i huczącym chlusnęło w głąb kraju, do domu — żyć, spróbować wreszcie własnego, ludzkiego życia... Kiedy to stanie się między nami, stracimy również głowy i zejdziemy ze swych pozycij, jak wojska rosyjskie. Odezwie się w piersi ten straszny, wielki krzyk po własnym życiu... Oddamy „kolorowym“ wszystko, wspaniałe pałace dawnych królów, skarbcce, świątynie. Niech bawołami zaorzą skwery, założone przez nas w ich miastach, niech wytną nasze parki i zamienią

...pola ryżowe... Szczęśliwi będziemy odchodząc...  
...niema stepów, którymi bodaj pieszo można się  
...do domu, tu niema linii kolejowych, a nie  
...statków... I otóż my, szarpani tęsknotą, syci  
...rni, legjami całemi, śpiewając hymny, wchodzić  
...emy w fale morza... po kolana, po pas, po  
...si... Jakaśmy z morza na te brzegi wyszli, tak  
i w morze wrócimy...

— Nostalgja przez was mówi, może choroba! —  
rzekł Ramian. — Zapominacie, że Anglja jest dziś  
największą potęgą na świecie...

— I to nas zmiażdży! — rzucił twardo żołnierz.  
— Macie przykład: był u mnie siostrzeniec, inżynier.  
Wracał do domu z Szangaju, gdzie pracował sześć  
lat — a w Anglji zostawił młodą żonę i córeczkę...  
Wyjechał dla zarobku i wiozł ze sobą dużo, dużo  
dolarów... Ale przez te sześć lat sponiewierał się  
z dziewczkami chinskimi i japońskimi... Może chory  
był? A żona jego? Nie pytałem... Widziałem prze-  
cie swoją... A teraz oni tam zaczną znów żyć razem  
i kłamać... Kłamać do śmierci... Sklepienie chwały  
wzniesiono nad starą naszą Anglją, ale to świetne  
sklepienie opiera się na kolumnach cierpienia i kłamstwa.

Ramian przygnębiony zeszedł ze wzgórze ku  
brzegowi.

Była to przecudna esplanada.

Długa biała droga wila się między zielonemi,  
czysto utrzymanemi trawnikami. Morze zbliżało się  
ku niej czasami, rycząc dziko, ale cofało się w porę,  
jakby zdjęte respektem. Lśnienie jego było wciąż  
niezrównane i pełne nieopisanego, jasnego czaru.

Z powodu godziny południowej esplanada była  
prawie pusta. Samotny jakiś jeździec łamał się ze  
swym nieposłusznym koniem i dźgając go ostrogami,

rył kopytami zieleń trawników. Świeciły białą ścian  
różne budowle — kościoły, koszary, widne przy nich  
kasyno oficerskie z siatkami, rozciągniętymi na teni-  
sowych placach, w dali — szary posępny fort wysu-  
nięty ku morzu.

Ramian szedł żwawo wciąż dalej i dalej i czuł,  
jak z każdym krokiem zmniejsza się ten jakiś dziwny  
ciężar, przygnębiający i jakby pochylający go ku ziemi.  
Dusza stała się prawie lotną w szumie morskim, tań-  
czyła wraz ze srebrzystymi falami, źrenice kapały się  
w światłości błękitnej. Było coraz swobodniej, wolniej  
a mimo grzmotu fal — coraz ciszej. Pokazało się  
kilka samotnych palm nadbrzeżnych — jakże pate-  
tycznie pogiętych i wyłamanych, podobnych do tra-  
gicznych płaczek, warkoczami zamiatających ziemię  
lub gnących się nad wodą w rozpacz za czemś, co  
ona odniosła!

Wśród tych palm Ramian usiadł na ławce i, za-  
myślony, zapatrzył się przed siebie.

Miasto zniknęło, a wraz z niem zniknęło wszystko  
przygnębiające, żałobne, brudne, złe.

— Wznoszą pałace z kamieni i myślą, że tworzą!  
— zawołał Ramian z nieledwie pogardliwą goryczą. —  
A wejrzeć głębiej w to wszystko, zważyć sprawy  
ducha, to możnaby powiedzieć, iż to kwitnące na-  
pozór miasto jest potwornie wypalonym ugorem, na  
którym wyschłe i cierpiące kwitną dusze zatrute, po-  
dobne do chwastów, ostów i nikczemnego, pełzają-  
cego zielska.

A potem wzruszył ramionami:

— Co mnie to miasto! Co mnie brudne plotki  
i jadowite szeptki tego „małego garnizonu“, jego karle  
walki i jego intrygi! Mam wolność, zdobytą wprawdzie

cierpieniem, ale — tem droższą! Jestem sam, to znaczy niezależny, a przedemną świat, mój świat...

I dusza jego wyrwała się jednym silnym szarpnięciem z wiru myśli przykrych a mętnych i uciekła w nieobjętą, srebrno-błękitną, tańczącą przestrzeń. Fale śpiewały melodyjnie, grały rytmiczną, dzwonną, dumną pieśń, a czasem, ściągając się z białego piasku, syczały i chichotały wesoło, to znów ze szklanym dźwiękiem przypadały do piaszczystego wybrzeża. Brzmiała rozlewna, hymniczna muzyka, a strofy jej niezliczone opowiadały o wielkich, pięknych, wzniosłych tajemnicach — do zdobycia, do odgadnięcia.

Ramian czuł, że podświadoma myśl jego rozjaśnia się pogodnym, promiennym uśmiechem. Patrzył na fale prawie z czułością.

— I cóż wy mnie obiecujecie, siostrzyczki? O czym to opowiadacie, tak rozbawione, tak rozchichotane, roztańczone? Że mnie nie zawiedziecie? Tak, wiem o tem, ale jakich-że to darów mam się od was spodziewać? Pokażecie mi łądy nieznane, mroczne wnętrza lasów niezbadanych, a może złote, zapoznane serca gór tajemniczych? Co to będzie takiego, co, dziecińki moje srebrno-błękitne, co, wy figuryńki z płynnego światła morskiego, z piany białej i z uśmiechu wód? Ach, jest, jest łąd nieznaną a pożądaną nad życie, łąd niedostępny, a w którego głębinach zachowane są wszystkie skarby świata, wszystkie ognie i blaski życia, wszystkie słodczyce i wszystkie gorycze — oddane, miłości pełne serca, niewyczerpana kopalnia błogosławieństwa, raj wiecznej wiosny i wiecznych kwiatów, tajemnicza grotta, śpiewająca wieczną, prastarą pieśnią wszystkich tęsknot...

Zerwało się z morza granie tak dźwięczne i rozkoszne, że Ramianowi aż się głowa zakręciła. Przym-

knął oczy, pochylił się wtył i puścił duszę na śpiewne fale. Zaszemrały szklanym, suchym szelestem korony palm, a smukłe ich pnie zaczęły drgać w dziwnym tańcu.

Wtem ktoś szarpnął Ramianem, położył mu ramiona na piersiach, na kolanach, odezwało się ciche skomlenie, wzruszone, radosne.

Pies jakiś wielki, wymachując ogonem, obskakiwał Ramiana, to skomlał, to poszczekując. Odbiegł i znów wrócił w szalonym pędzie, skoczył kilka razy dokoła ławki, szczekając głosem łamanym, jakby szarpanym łkaniem a później chwycił Ramiana w łapy, zostawiając wilgotne plamy na jego ubraniu.

A w tej chwili odezwał się czyjś głos:

— Nawet stary mój pies pana poznał, panie Stanley.

Gdzież on już widział tego tłustego człowieka półkwi malajskiej, gdzie spotkał tę smagłą, uśmiechniętą dyskretnie twarz?

— Ach to pan, na statku... Z policji portowej, tak?

— Tak jest. Ale my znamy się przecie nie od dziś. Daremnie będzie się pan powoływał na swoje papiery, panie Stanley. Mnie to zbyteczne. Papiery pańskie są w porządku i według papierów nazywa się pan Ramian — ale mój pies poznał pana Stanley'a, a to znaczy dla mnie więcej. Człowiek może się pomylić — pies ma instynkt.

Ramian uśmiechnął się blade.

— Nie broni się pan już? — ciągnął dalej mieszaniec, siadając obok niego na ławce. — Bo i pocóż? Nic to nie pomoże. Nie zaprzeczy pan, że to było zawsze ulubione miejsce pańskie... Tu spędzał pan całe godziny — zdala od ludzi — jak widzę zawsze tak samo znieawidzonych!

— Nie nienawidzę nikogo! Nie znam tych ludzi!  
— Znać ich pan nie chce — oni sami dobrze wiedzą. Nawet służba w hotelu wie, że pan na śniadanie przyjdzie dopiero wtedy, kiedy nikogo już na sali nie będzie. Zawsze pan tak samo zrobił. Niech mi pan jednakże powie: Jeśli pan nie zmienił swych zwyczajów, poco pan zmienił nazwisko? Jaki to może mieć cel?

— Właśnie! Jakież cel mogłaby mieć ta komedja?

— Więc?

— Łatwo się z tego domyśleć, że nazwiska nie zmieniłem. Nazywam się Ramian.

Uśmiech na chwilę znikł z gładkiej twarzy urzędnika.

— Hm. Nie orjentuję się. Nie mieszam się do nieswoich spraw. Ale niech pan sam zastanowi się: Tu pana przecie wszyscy znają. Nietylko miasto, ale wszyscy dawni pańscy robotnicy, sąsiedzi z Kuala Kubu —

— Co to jest?

— Zapomniał pan? Plantacje kawy, sprzedane temu Holendrowi. — On umarł zeszłego roku na febrę... Majątkiem administruje rząd... Podobno spadkobiercy chcą plantację sprzedać... Mieszkają w Europie... Mógłby pan znowu odzyskać swą ziemię, swój piękny bungalow...

— Nigdy nie mieszkałem w Kuala Kubu.

Urzędnik pokręcił głową.

— I jakże pan tylu ludziom, którzy pana znają, potrafi wmówić, że pan jest kimś innym? I czy sądzi pan, że ona się da oszukać? Że ona się o powrocie pana nie dowie?

— Kto? Kto?

— Pańska Lintang! Widziałem ją przed kilku miesiącami. Rozkwitła cudnie, a ani na chwilę nie przestała wierzyć, że pan powróci... — Wołam go do siebie dniem i nocą — mówiła — przyzywam go całą swą duszą i tańcem, który tak kochał... Używam najpotężniejszych zaklęć... Pan wie, krajowcy, ludzie zabobonni wierzą w siłę zaklęć... Pan blednie! Słabo panu?

— Nie! Nie! To przejdzie.

A naraz Ramian wstał i nie oglądając się za siebie ruszył szybkim krokiem, jakby uciekając.

Urzędnik patrzył za nim przez chwilę.

— Jednakże zaklęcia malajskie mają jeszcze moc! — westchnął do siebie.

Ale w tej chwili ogładnął się niespokojnie czy go „biały“ jaki nie podsłuchuje.

## XIX.

Dni spędzał Ramian znośnie, dzieląc czas między przechadzki, lekturę i zwykle, mechaniczne funkcje życiowe, jak odpoczynek po przechadzce w „hallu“ przy szklance „swego“ dziwnego napoju, jedzenie, golenie się, kąpanie lub też kupowanie czegoś dla rozrywki. Nie było to zajęcie zbyt intensywne, przeciwnie, mogło uchodzić raczej za coś w rodzaju ferji, ale to właśnie Ramianowi dogadzało. Odpoczywał i zbierał się w sobie po wysiłku i zmęczeniu bolesnej prostracji, przychodził z wolna do siebie.

Za to noce były złe.

Cokolwiekby się działo — czy noc była pogodna, czy deszczowa, jasna czy ciemna — Ramian zawsze w pewnej chwili budził się nagle, nieraz zrywając się i siadając na łóżku. Czasami działo się to zupełnie prosto. Mógł spać mocno, mógł być we snach gdzieś niezmiernie daleko — a naraz otwierał oczy przytomne i wyspane, czując, że słuch jego już jest naprężony, a uwaga duszy napięta. To znów we śnie pojawiała mu się coś — kształt, myśl czy słowo — jakby rozkaz, który budził go natychmiast i wybijał ze snu. Kiedy indziej śniły mu się wyraźnie karty dziwnej, tajemniczej księgi, zapisane wielkimi, różnobarwnymi literami, charakterami, czy też tajemnymi znakami, coś mu zwiastującami, lecz uciekającami, gdy się w nie zaczął wpatrywać, chcąc je odczytać. Odgadując ich ducha, domyślając się ukrytego zna-

czenia, nie mógł sprawdzić swych domysłów, nie mógł odcyfrować liter i wówczas budził się ze zmęczenia. Bywało też inaczej: W noce pogodne zaczynały trzaskać sprzęty — nagle, bez żadnej widocznej przyczyny, zrazu zcicha, tak, że przez sen tylko te odgłosy słyszał, potem coraz głośniejsze, dopóki się nie ocknął. Wówczas następowało kilka czy kilkanaście „wystrzałów“ głośniejszych, a nieregularnych, poczem, gdy Ramian dostatecznie już wybity był ze snu — i miało się rozpocząć to „coś“, „salwy“ milkły, a tylko gdy sen zaczynał znów kleić powieki, rozlegał się pojedynczy, brutalny trzask, tak niespodziewany, że zawsze musiał wywołać żywsze drgnięcie serca i lekki przypływ krwi do głowy. To samo działo się, gdy deszcz padał, tylko, że wówczas budził Ramiana nie trzask mebli, lecz głuchy odgłos wielkich, ciężkich kropel, padających na obity blachą gzyms pod oknem. Bywały te przebudzenia się czasem miłe — naprzykład w jasną, księżycową noc, kiedy oczy od razu ogarniały cały pokój, jasno oświetlony. Bywały niepokojące — w noc ciemną, gdy powieki podnosiły się powoli, niby zasłona w teatrze, a źrenice mimo to nie widziały przed sobą nic, prócz czarnych, nieprzeniknionych ciemności, w których zwrok na żadnym punkcie oprzeć się nie mógł.

Ramian, zbudzony w ten sposób, leżał zwykle nieruchomo, jakby przycajony, niczem „nie dając po sobie poznać“, że już nie śpi. Z początku zrywał się, przewracał na łóżku, potem wprawił się w tej nieruchomości i leżąc tak, czekał, co dalej będzie.

Po pewnej chwili odzywał się dźwięk z niedalekiej wieży — naprzód cztery kwandranse, potem o kwintę niżej dwanaście uderzeń, wreszcie dźwięczny, melodyjny i melancholijny „canrol“, muzyka w ciszy

nocnej niezwykle poważna i uroczysta. Można by myśleć, że wesołe i pogodne dniem dźwięki w samotności nocnej straciły swą dobrą minę i oto wstają jeden za drugim z twarzami zamyślonemi, surowemi, sztywne i szare, a nieskłonne do uśmiechu, jak duchy cmentarne. Kiedy z wysokości padały w zgłębienie dzienny i wrzawę, podobne były do rozbawionych i roześmianych „laufrów“, w pstrych szatach uganiających wśród tłumów żywym, tanecznym krokiem. W ciszy nocnej pojawiały się skute w kroczący wolno łańcuch, zrywały się ze zgrzytem, wpadały w ziemię z jękiem bolesnym i żalnym westchnieniem.

Był w tem tak czarny, beznadziejny smutek, iż Ramian chciwie łowił uchem zwykle, bodaj najmniejsze, najtrywialniejsze odgłosy ziemskiego życia — kroki „policemana“, jakąś tam rozmowę, zamykanie czy otwieranie drzwi, pobekiwanie trąbek samochodów. Turkot dorożki przerażał go, bo kiedy raz tak w napięciu oczekiwania leżał, usłyszał zdala zbliżający się turkot kół wozu — który wreszcie stanął tuż przed bramą hotelową, ale gdy Ramian, znudzony czekaniem na odjazd dorożki, wstał i wychylił się z okna, nigdzie nie było śladu ani koni, ani żadnego pojazdu.

To, co następowało po uroczystem wydzwonieniu północy, nie było bynajmniej straszne. Przeważnie kończyło się wewnętrznem, duchowem wzburzeniem, pełnem niepokoju i palącego pytania badaniem samego siebie, szukaniem w otchłaniach jakiejś niewiadomej — uczucie bezgranicznej niepewności i jakby zawieszenia w powietrzu. A jednak Ramian tego właśnie najwięcej się bał, bo wówczas zdawało mu się, że jest zupełnie zakwestjonowany, że głos, którego zrozumieć nie może, już wykazuje mu nicotę i bezowocność wszystkich jego cierpień, dążeń i wy-

siłków. Nie śpiąc, na jawie miał wrażenie, że śpi i nie może się zbudzić.

Znacznie lżej było, gdy dookoła niego „zaczynało się coś dziać“.

To „coś“ było prawie że nieuchwytnie. Konkretnie — nic. Czyż można poważnie mówić o świadomości, jaką miał nagle zbudzony Ramian, dostrzegając, iż w miejscu, na które zwrok jego padł — właśnie przed chwilą ktoś stał? Żaden przedmiot nie był ruszony, a jednak on zupełnie wyraźnie czuł i widział, że w tem miejscu musiał ktoś stać. Powietrze było tu inaczej zabarwione, niespokojne, światło księżycowe jakby falujące. To znów, zbudziwszy się, odczuwał na sobie czyjś wzrok tak silnie, iż mimowoli odwracał się w tę stronę — i zawsze stał tam fotel, na którym istotnie najwygodniej mógł siedzieć ktoś, kto chciałby się — niewidziany — przyglądać śpiącemu. Ale cóż z tego, że Ramian, patrząc na to miejsce, doznawał uczucia, iż wzrok jego krzyżuje się z wzrokiem „Niewidzialnego“, stwierdzić nie można było nic. Przytem wszystkie te wrażenia straciły swą przerażającą ostrość, złagodziły się, stały się prawie pożądane, upragnione. Słuchając szmerów nieuchwytnych, patrząc na niewidzialne, Ramian myślał czasami, że oto czuwa nad nim istota bardzo życzliwa i kochająca, ktoś wierny do śmierci, ktoś, kto go sobie samemu przywraca, ucisza burze w jego duszy, wskrzesza w niej znowu światło i błękit. Niemal uśmiechając się zaczynał drzemać. A wtedy albo ruch jakiś zrywał się w powietrzu, albo tuż nad głową odbywało mu się głośnie, suche „trzask-trzask!“, albo też od okna dolatywało dźwięczne „pac-pac!“ To mówił ktoś: — Rozumiesz? to mówił ktoś: — Pamiętaj! — A potem przychodził cichy, mocny sen,

a w nim czasem tylko jęk, podobny do cichych jęków ozdowieńca po ciężkiej chorobie.

Coś z tego nastroju zostawało na dzień. Pewne roztkliwienie, osłabienie, pewne zmęczenie, nieraz nawet tak wielkie, iż Ramian, czytając, zasypiał mimowoli w fotelu a książka wypadła mu z rąk. Był istotnie jakby pod urokiem, skutym czyjś zaklęciem, bezwolny. Drażniło go to, niecierpliwił się. Wyrzucał sobie niedostatek woli, brak decyzji, niemożność wyrwania się z tego zaczarowanego koła, równocześnie jednak, choć czuł, że faktycznie słabnie, nie mógł wyrzec się słodkiego uczucia, oczekiwania pono szczęścia, które przyjść musi niezawodnie, samo, nieproszone, zdaleka już swym czarem olśniewające. Był jak człowiek, czekający na upragnioną kochankę, która przyjść musi.

Pewnego dnia wstał szczególnie podrażniony i rozstrojony. Ze snów i marzeń nocnych pozostało mu jedyne: Wyrzut sumienia a zarazem niby zapomnienie, że obowiązkiem jego jest zrobić coś, co zaniedbuje. Było to tak pilne, że Ramian, ledwo się zbudził, wstał natychmiast i prawie nieprzytomnie zaczął chodzić z kąta w kąt, szukając czegoś. Grzebał w kufrach, w walizkach, szukał w portfelu, między książkami na stole, w szufladach. Tak był tą myślą opanowany, że idąc się kąpać, zamknął swój pokój na klucz, który wziął ze sobą — rzecz zbyteczna zresztą, bo nikt tu nie kradł. Dopiero w wannie, w gorącej wodzie, popadłszy znowu w senne, rozkoszne odurzenie, uświadomił sobie nakaz wewnętrzny.

Zrobić coś! Ale co?

W nocy wiedział. Teraz pierzchno mu z pamięci.

Jednakże — nie mógł już dłużej znieść tej bezczynności.

Natychmiast po śniadaniu wyszedł z hotelu a zwoławszy szofera, kazał mu jechać.

— Dokąd?

— Wszystko jedno. Naprzód. Jak najdalej przed siebie.

Spokojny, uśmiechnięty Malaj w śnieżno białym ubraniu otworzył lśniące czarnym lakierem drzwiczki karetki samochodowej. Trzymając podniesiony kaszkiot tuż nad głową, czekał. Gdy Ramian usadowił się wygodnie, zatrzasnął drzwiczki i siadł przy kierownicy. Parę eksplozji motoru — wóz cicho a szybko ruszył naprzód.

Jak wstęgi kinematografu przesunęły się po obu stronach samochodu arkady ulicy, połyskujące ciemnym blaskiem osłoniętych, wielkich szyb wystawowych magazynów europejskich, gromadka rikszów na przystanku, rynek, grube mury gmachów rządowych, wieża, wreszcie „srebrne morze“, tańczące i śpiewające po prawej stronie esplanady — na niej wózek rikszów, dzieci w jasnych sukienkach zbierające muszle nad morzem, kilka pań w białych strojach, garść Malajów w „sarongach“ — na widok kręgu czarny na tle morza i nieba malajski „katomoran“ z wydętym, czarnym żaglem, ciężko walczący z rozkołysanym morzem. Potem ławka wśród pogiętych palm o wyłamanych członkach. Potem — niby wielki park. Betonowa szosa, biegnąca wśród pięknie strzyżonych trawników, wśród nich grupy drzew, palm wszelkiego rodzaju, poczawszy od pierzastych, rozczapierzonych, do olbrzymich paproci podobnych, skończywszy na smukłych, pysznych palmach kokosowych. W tych klombach bujnej, pod-



zwrotnikowej zieleni białe, różnych kształtów, „bungalowy“ angielskie, to orjentalnej struktury, to znów naśladowane wzory starej Anglii, a wszystkie czyste i świecące zwierciadlanymi szybami okien, wszystkie obrzucone festonami zielonych pnączów i kwiatów.

A potem szosa zmieniła się w gościniec czerwono-cynobrowy z różowawym czy fioletowym odcieniem — gościniec czasami prawie krwawy, wstęga ceglasto-czerwona, podkreślająca świeży ton zielonych traw. Zaś dalej przyszły wioski malajskie — chaty kryte śpiczastemi a wygiętymi strzechami, zbudowane na palach i z gankami-werandami, na które prowadziły prymitywne schodki-drabinki o kilku szczeblach czy stopniach. Siedzieli na nich mężczyźni z zakasanyimi „sarongami“, z pod których sterczały ich nagie, chude, brązowe łydki i smukłe stopy, to znów barwną gromadką obsiadły schodki pół-nagie, śmiejące się dzieci, czasem widać było dziewczęta w obcisniętych na drobnych, śpiczastych piersiach, białych kaftanikach na jeden guzik zapiętych i z czerwonymi kwiatkami w gładko zaczesanych włosach, czarnych i lśniących. Schły rozwieszzone na poręczach ganków przeprane szmaty, suszyły się na kołkach garnki i naczynia.

— Zupełnie jak u nas! Zupełnie jak u nas! — powtarzał w myśli Ramian.

Tylko, że nad śpiczastymi strzechami tych chat kołysały się wysoko czuby palm, pod któremi dojrzewały w słońcu brunatne, włochate orzechy kokosowe i pęki zielonych bananów, podobne do wielkich strączków fasoli lub bobu, i tylko, że zamiast zamysłonych błękitnych oczu, patrzących z twarzy jasnych i z pod czupryn płowych, tuż za samochodem szły spojrzenia żrenic mocnych, prawie rozplywających się w ogromnem oku czarnem, o wielkiem i lśniącym

białku. Ale taksamo, wrzeszcząc głośno i wywijając patykami, leciały za samochodem czarne urwisze i tak samo...

— Ach psiakrew — zgrzytnął zębami Ramian.

Oczywiście, taksamo jak tam tak i tu, kura! idjotyczna, głupia, bezmyślna kura! Ile razy zobaczy samochód, zawsze musi mu pod samemi kołami przelecieć na drugą stronę gościńca.

— Bodaj-że cię, wiedźmo!

Taksamo, jak i tam — stara haba, widząc w niebezpieczeństwie swą fabrykę jaj, chciała jej skoczyć na pomoc. Na szczęście było już zapóźno, samochód minął wiedźmę, wykrzykującą coś przerażonym piskliwym głosem.

Szofer spojrział pytająco na Ramiana.

Ramian rzucił okiem w okienko w tyle karety.

— Nie, nie została! — odpowiedział szoferowi po polsku.

Jechali dalej czerwono-cynobrowym gościńcem.

Co to? Młody jakiś las — gaj właściwie — czyżby leszczynowy, grabowy czy co... — ziemia pokryta krótkim, popielatym mchem, tysiące drzewek o gładkiej popielatej korze, o koronach niezbyt gęstych, z cienkimi gałązkami, pokrytymi liśćmi jasno-zielonymi.

Plantacja drzew gumowych! Ale na pierwszy rzut oka zwykły sobie nasz młody las, dość rzadki, o jasnym, słonecznością napuszczonym cieniu, gorącym i dusznym.

Znowu wioska malajska. O, fryzjer! Siedzi na werandzie swego sklepu półnagi. Naprzeciw niego również z nogami skrzyżowanymi, siedzi na macie klient z pochyloną pokornie naprzód głową, namydloną już i którą mu zawzięcie mięsi chudymi palcami ociekający potem majster. Znów sklepik — z pułapu

zwisają na sznurkach pięć bananów, zakurzonych i brudnych, na ladzie jakie słodycze, dalej „betel“, po prawej stronie szerokie wachlarze mioteł z ryżowej słomy, w mrocznej głębi na sznurkach kołyszają się suszone srebrno-złote ryby...

I palmy, palmy, palmy!

Teraz już po obu stronach czerwonego gościńca ciągną się dwa rzędy ogromnych, zielonych lecz sztywnych wachlarzów, czasem czerwono kwitnących... Za nimi ukryte tu i ówdzie brunatne, poczerniałe chaty, nad strzechami, pod długimi, pierzastymi liśćmi, grona włochate, brunatne, okrągłe, lub strączki bananów. Są chaty, o których możnaby myśleć, iż w nich tylko schronić się mogło szczęście, tak zawzięcie przesładowane na świecie. Bo oto sadyby te mają wygląd wesoły i przyjazny jak gdyby w braterstwie żyły z kwiatami i z rozkołysanymi swawolnie palmami, z szumiącym, białym strumieniem a nawet z promieniami słonecznymi, kłującymi swawolnie strzechę, zarzuconą girlandami ljanów. Są inne, o których możnaby powiedzieć, iż mieszkańcy ich, wędrując od wieków, jeszcze nie doszli do swego celu. Są w lesie palmowym czasem linje, niemal głośno wołające przechodnia ku sobie.

— Istotnie! Pocóż ja tak jadę, jakby mi na pośpiechu zależało! — spostrzegł się Ramian.

Zatrzymał szofera, wysiadł, kazał mu jechać naprzód i tam gdzieś poczekać, sam zaś poszedł pieszo.

Po chwili czarna, lśniąca karetka zginęła za zakrętem wśród lasu a Ramian szedł sam.

Ogarnęła go słoneczna, wygrzana cisza.

Po obu stronach drogi ciągnął się las palmowy, u dołu wyścielony popielatym mchem, pręgowanym jasno słońcem, które przedzierało się z łatwością

przez luźne sklepienie zielonych koron osadzonych na cienkich, wysokich pniach. Z lasu i z ziemi szedł mocny, gorący, korzenny zapach, uderzający do głowy jak odurzająca, narkotyczna perfuma. Cisza była zupełna, bo robiło się coraz upalniej i owady przypadły do miejsc cienistych, chłodniejszych.

Ramian raz i drugi oglądał się, jak gdyby nie chcąc, żeby go ktoś podglądał. A potem gwizdnął wesoło, przeskoczył rów przy gościńcu, znowu skoczył na gościniec, machnął laską, że aż powietrze zawyło i uśmiechnął się do siebie.

Było mu zupełnie dobrze. Było mu bosko!

Oczywiście, rozumiał, pamiętał, wiedział, że to malajskie wsi, że to są palmy kokosowe i jeszcze tam inne, że to plantacje drzew gumowych... Ale mniejsza z tem, mniejsza o te rzeczy zewnętrzne!... Atmosfera była taka, jak wówczas, w dzieciństwie, nad Wisłą, w upalne gorące lato, kiedy wikle nadbrzeżne aż się sprężyły w spiekocie, a zboża sztywniały w lasy złotych prętów... Beztroska, jasność, słoneczność, prostota życia, uśmiech dnia błękitnego, promiennosc myśli lekkich, nieobowiązujących, nie narzucających się, pogoda dzieciństwa — oto czem dyszał ten kraj, oto co budził w nim, czem go darzył. Zapewne, zapewne, to nie Polska! Ale to jest to odnalezione a porwane i uniesione kiedyś prądem dni szarych i smutnych, a co się odnalazło i co teraz przykuwa duszę do siebie. Tak, logicznie łatwo to wytłomaczyć. Malajska wieś przypomina dzieciństwo, a dzieciństwo było szczęśliwe. Potem nie było już szczęścia i nie było pogody ani spokoju sumienia. Zniknął gdzieś jasny, promienny Kraków, zalały go mgły, które zatarły blask uśmiechu na jego starych murach. Zaś tu wszędzie dokoła jest to szczęśliwe wspomnienie

11  
chwil jasnych a zatem dalej, poza temi wsiami malajskimi są właśnie cudne mury Krakowa z owych lat. Dokoła wyspy, brzegiem morza idą widma dawnych procesyj — idą bractwa w białych komzach z czerwonymi lub niebieskimi pelerynkami, na których naszyto różne obrazki, niosą dwie wielkie jasne klingi, w pęki wstążek owite, starsi cechu rzeźnickiego, świecą stare, złote feretrony ze świętymi figurami, kołyszającemi się uroczyście na ramionach niosących, łopocą różnobarwne chorągwie kościelne, w dymie kadzideł jak klejnoty przebłyskują swym żarem wiecznym stare, a przecie wciąż rozkwitające i wonne słowa litanji-girland, zwitych przez serca rozmodlone a gorejące zachwytem... I chylą nabożne palmy swe głowy zielone ku ziemi, a morze, srebrne morze, w sto dzwonów bije i wydzwania pieśń triumfalną, hymn błogosławieństwa.

— Trzymaj! Trzymaj! Na prawo! Żeby cię djabli!

Rozległy się krzyki, zaświszczały w powietrzu zrozumiałe i niezrozumiałe przekleństwa.

Za zakrętem drogi ujrzał Ramian pocieszny widok.

Z lewej strony wjechała na gościniec z leśnej drogi zaprzężona w muły baterja Sikchów. Z prawej strony wplątały się w sznur mułów dwa ogromne, ciemnosiwie słonie, między które werznął się znów łańcuch krytych matami wozów malajskich zaprzężonych w bawoły — a muły zniecierpliwione, kopały i gryzły się między sobą, oficerowie przyskakiwali na koniach do pentli i krzyczeli coś, czerwoni na twarzach ze złości Sikchowie w „khaki“ mundurach i zawojach, łypiąc straszliwie białkami oczu, klęli po swojemu, Malajowie pokrzykiwali na bawoły, a w tym chaosie i gąszczu zwierząt i ludzi utopiony samochód

porykiwał swe irytujące: — HUUU — huhuhu — huhu! Aż wreszcie któryś słoń podniósł swą długą trąbę do góry, wygiął ją i gwizdnał przeraźliwie, jak syrena fabryczna. Szarpnęły się bawoły, zleciał w rów jakiś wóz chłopski, krzyknęli okropnymi głosami brodaci Sikchowie o posepnych, brązowych twarzach — i węzeł rozplątał się a słonie, poważnie przestępując z nogi na nogę, ruszyły zwolna przed siebie, do dwóch ciemnych gór wędrujących podobne.

— God dam you, rascal! — krzyczał na kogoś młody oficer angielski.

— Sabar! Sabar!\*)

— Ahi! Ahi! Ahi! Ambui! O Ma! — chlpał mały chłopak, którego muł kopnął w kolano.

Ramian stał, uśmiechając się wesoło.

Owionął go ten gwar czynnym podnieceniem, weselem życia, ruchem gościńców, niespodziewanem pogmatwaniem się dróg ludzkich...

— Huhu! Huhu! — wołał go basem szofer.

Samochód dygotał z niecierpliwości.

\*) Cierpliwości! Cierpliwości!

## XX.

Kiedy zniknęła świeżość i energja poranka a dzień, przechodząc w skwar południa, zaczął wędnać, Ramian znów stracił humor, stał się ociężały, znużony i zniechęcony. Składał to na denerwujące działanie upału, w głębi duszy jednak czuł, że jestto wymówka, zapomocą której sam przed sobą tłómaczy i usprawiedliwia niemęską słabość duchową i prawie hysteryczne rozdrażnienie.

Bo ostatecznie na dnie tego wszystkiego była najniewątплиwiej kobieta, czy też — sen o kobiecie, co wychodziło na jedno. Sen, może nazbyt dekoratywny, nazbyt pieszczony, niezdrowy a dlatego męczący. Bezustanne obcowanie z tym snem nie prowadziło do niczego dobrego, przeciwnie, nadmiernie obciążało wyobraźnię i zwracało ją w kierunku fałszywym.

Ramian, który fizycznie czuł się doskonale, nie mógł się oprzeć pewnemu oburzeniu na te dziwne stany, narzucane mu przez obcą i jakby wrogą siłę. Wraz ze świadomością zdrowia fizycznego odzyskał pragnienie radości życia, pogody i lekkomyślnego niezajmowania się sobą, nie dłużania w swem wnętrzu, nie podsłuchiwanie jakichś tam wewnętrznych skarg, szeptów i jęków. Rozumiał, że gdyby mógł się pozbyć tego złotego cienia, który mu tańczył po duszy, stałby się znowu młodym, pogodnym i pełnym życia mężczyzną.

— Nie można się poddawać! — rzekł sobie. —  
Trzeba stanąć do walki!

Z czem? Ze snami?

Z bladym uśmiechem na ustach musiał przyznać — że tak. Oto był, jak człowiek opętany przez upiory, które z żył jego wypijały wszelką krew. Niech to będą upiory zlociste, widma w mgłę złotej a dźwięczącej muzyką, zjawiska nadziemskiego piękna i uroczego niepospolicie, pełne nieopisanej poezji — w rzeczywistości były to wampiry, upiory, które kradły mu sen i spokój nocny, ledwo pozwalając ochłonąć i przyjść do siebie w napół sennej bezczynności dnia.

— Jak się bronić? Najlepiej byłoby wziąć te widma za kark i wyrzucić brutalnie za drzwi. Ale upiory nie przyjmują walki wręcz, nie przyjmują wyzwania a drążą duszę, jak mogą czaszkę siłacza rozbić padające z wolna krople wody.

Pewnego dnia zawezwano go do telefonu. Ucieszył się, poznawszy głos pani Bell. Prosiła go na popołudnie na herbatę. Wymiana zdań i grzeczności przy telefonie była zupełnie konwencjonalna i banalna, lecz mimo to Ramianowi zdawało się, iż to woła go życzliwy głos, zapowiadający bliską odsiecz, niezawodny ratunek. Człowieka w męce duchowej może uratować tylko człowiek. Stała mu w myślach pani Bell, rosła, śmiała, może zwierzęca trochę ale zasłaniająca go tą swą brutalną zwierzęcością przed postępnymi, subtelnymi knowaniami nieuchwytnych, bezcielesnych widziadel. Zapomniał jej twarzy, zapomniał, że jestto pospolita, znudzona dama garnizonowa, niezbyt może czysto używająca życia i swobody, zapomniał o wszystkim, co w niej było powszedniem, niskiem, pospolitem. Widział ją teraz jako białą, promienną zjawę cielesną, człowieka z krwi

i ciała, jak i on, bojowniczkę światła i wiecznie przesładowanej Ziemi, przeciwstawiającą się knowaniom ciemności, sprowadzającą do rozwiązań niezmiernie prostych zagadnienia niepokojące podstępnie a chytrze zwikłane, rzucone z cieniów nocy jako zagadki jadowite, pozbawiające spokoju, snu i sił. Pani Bell stała mu się naraz niezmiernie bliską, swoją i jasną.

Po południu pojechał do jej bungalowu.

Było jeszcze gorąco, martwo. Nad ziemią leżała świetlista, migotliwa mgielka, podobna do drgającego, przezroczyściego oparu. Otoczone nieruchomemi palmami białe dworki Europejczyków stały jakby skostniałe czy zmartwiałe z gorąca. W rozżarzonej atmosferze podzwrotnikowego upału nawet te domy europejskie bladły, więdły i mdlały, zupełnie jak ludzie, którzy je budowali, podczas gdy chaty malajskie, dostosowane do warunków klimatycznych, podobne były do krajowców, siedzących spokojnie w kuczki w cieniu drzew i w sennem, pogodnem zamysleniu oczekujących nastania pory chłodniejszej.

Samochód gnał pustą, szeroką, czerwoną szosą, wreszcie zwolnił biegu, skręcił na prawo i wjechał w ogród, otoczony ze wszystkich stron wysokim, gęstym żywopłotem.

W bramie ogrodowej spostrzegł Ramian dzieci pani Bell, idące pod opieką guwernantki.

— Proszę! — pomyślał. — Wyprawiła dzieci z domu! Bardzo słusznie!

Uśmiechnął się.

Ale w tej chwili przewinęła mu się przez głowę myśl nieprzyjemna i niesmaczna. Przecie on jechał do tej pani z zamiarami, o których sam przed sobą niby nie wspomniał, które jednak stały się nieledwie postanowieniem. Zaproszenia pani Bell spodziewał

się, czekał na nie a im dłużej czekał, tem bardziej pewny był, iż ono przyjść musi i tem lepiej rozumiał, dlaczego pani Bell zwleka. Prawda, nie mówili o tem lecz — zrozumieli się i oto teraz, kiedy on jedzie do niej, ona wysłała dzieci z domu.

Grzech!

Tak jest! Czerwony grzech miłości, czerwony grzech ust obrzmiałych tęsknotą i pragnieniem pocałunków, czerwony grzech krwi i jej nigdy nieugaszzonego ognia, grzech życia!

Niech będzie! Oto najświętszy grzech człowieka, jedyny, który oczyszcza go z jego przyziemnej nędzy!

Samochód stanął.

Bungalow państwa Bell był, jak wszystkie inne dworki Europejczyków, pretensjonalnie ozdobny, czysty, schludny, banalnie zaciszny, z białemi kolumnkami, stojącemi na straży przed przedsionkiem otwartym i pozbawionym drzwi. Przed domem, otoczony czerwoną ścieżką, leżał lekko wypukły, szmaragdowy gazon, z którego wystrzelały czarno-czerwone dziwaczne rośliny o liściach sztywnych, powycinanych w zęby, kolczastych, metalicznym połyskiem przypominających sztuczne ornamenty kwiatowe z lanego żelaza. Rzadko rozrzucone sterczały ogromne, zielone, wachlarzowate palmy z rozczapierzonemi, ostremi liśćmi, najeżonemi, jak długie zielone klingi szpad. Dalej ciągnął się szeroki, czerwony plac tenisowy z napiętą, srebrzystą siatką. Niedaleko siatki leżały na purpurowej ziemi dwie białe piłki, porzucone snąc przez dzieci. W żywopłocie płynęły ogniście drobne kwiatuszki.

Ramian zwrócił się do szofera.

— Czekajcie na mnie na szosie.

Szofer uniół w górę kaszkiet, zatrzasnął drzwiczki ruszył bez hałasu i okrążywszy gazon, zniknął za żywopłotem.

Z „bungalowu“ wyszedł biało ubrany służący malajski, któremu Ramian wręczył swój bilet.

Przez krótką chwilę czekał w wychodzącym na ogród przedsiionku-salonie, mrocznym, zastawionym wygodnemi, trzciniowemi krzesłami i pełnym różnych wschodnich osobliwości. Były one niewątpliwie ciekawe i godne uwagi, jednakże Ramian, przyglądając się im, doznał wrażenia jakiegoś nieuchwytnego fałszu czy dysonansu. Fałsz ten wyglądał tak z banalnego, urzędowo-sumiennego rozstawienia tych rzeczy, jak też i z ich smętnej, znudzonej czy zaniedbanej miny. Ramian mimowoli pomyślał, że pan Bell nie zebrał ich, lecz kupił, może nawet z trzeciej ręki, hurtem wraz z domem od kogoś kto rad był, że się ich wreszcie wyzbyć może.

Przypadkowo odgadł najważniejszy problem życia Europejczyków w kolonjach.

— W pierwszych czasach wszystko bawi, — rozważał — wszystko musi być charakterystyczne, indyjskie. Potem — sprzykrzy się, znudzi, zaczyna działać na nerwy, dokucza. Formy obce, niezrozumiałe i nieodgadnione, dla kogoś, kto nie wnikł ani w nie, ani w duszę kraju, jaki je zrodził, zmieniają się w maski ohydnie natrzęsające się i wykrzywione, w potwory haniebne i poczarne, w barwy przywidzeń, w pstre, barbarzyńskie bohomazy.

Służący poprowadził Ramiana po schodach na górę, gdzie, wyciągnięta na otomanie, stojącej na środku salonu, oczekiwała gościa pani Bell.

Była to scena jakby z starego romansu francuskiego czy angielskiego, bardzo popularnego lecz

niezbyt wysokiego poziomu. Salon niby elegancki, oryginalny; dywany i makaty wschodnie, o barwach względnie harmonijnie dobranych, tłumiące kroki, tu i ówdzie rzadki a w każdym razie ciekawy okaz sztuki indyjskiej czy malajskiej, pokracczne lecz wygodne meble klubowe, okna, przysłonięte wysuniętymi na zewnątrz zasłonami z wiśniowego jedwabiu, między ramą okienną a zasłoną fragment pejzażu podzwrotnikowego — wielki, biały dom w gąszczu palm i eukaliptusów — zaś na środku salonu otomana z huryszą, czy sułtaną — z damą, uśmiechającą się rozkosznie, w wolnej szacie, przypochlebnie a wdzięcznie otulającej bogactwo jej kształtów, a zazdrośnie i wesoło wyciągającą białe i krągłe ramiona do upragnionego, widać, gościa.

Ramian ucałował obie ręce pani Bell i pożałował w tej chwili, że nie złożył pocałunku na jej nadstawiających się, pełnych, jędrnych ramionach.

— Kawa czy herbata? — spytała go natychmiast uprzejma gospodyni.

— Nic. Ale jeśli już koniecznie — to kawa.

— Dobrze. Dostanie pan kawy porządnej, jakiej nigdy nie pijają ludzie właśnie tam, gdzie się kawę uprawia. Mógł się pan o tem przekonać swego czasu. Mówiono mi, że pan miał tu dawniej plantacje kawy. Cóż? Namyślił się pan wreszcie? Jest pan Stanley czy Ramian?

— A wie pani? Im dalej tem więcej zaczynam się nad tem zagadnieniem zastanawiać...

— Jakto?

— Cóżby szkodziło wyskoczyć raz z własnej skóry i wleźć w skórę drugiego człowieka?

Pani Bell przymknęła oczy.

— Zapewne, zapewne... Mogłoby to mieć czasem i swe dobre strony... Jako Stanley ma pan tu swe wspomnienia i prawa...

— O, prawa!

— O, nawet prawdopodobnie bardzo słodkie i ponętne a wcale liczne... Ale też i obowiązki, no i — całe dziedzictwo... Jako Ramian rozpoczyna pan wszystko na nowo — poprzedzony sensacyjnym rozgłosem nadzwyczajnego zbiegu podobieństwa...

— Można-by też w jedną całość spoić, złączyć nieswoją przeszłość ze swoją terażniejszością. Nie dobrze żyć człowiekowi bez przeszłości, bez tła...

— Ale to nie pańskie tło...

— Jeszcze nie moje. Lecz czy to nie wszystko jedno? Oto widzi mnie pani na tle swego pięknego chińskiego parawanu... Czy to moje tło? Pani nawet wyobrazić sobie mego tła nie może, ale ten parawan chiński pani wystarcza.

— Więc jakże się pan decyduje?

Ramian roześmiał się.

— Z zaufaniem i szczerością, którą nie wiem czem mógłbym uzasadnić, odpowiem pani, że jeszcze się nie zdecydowałem. Mówiąc językiem spirytystycznym, jestem obecnie w przedwstępnym stadium materjalizacji...

— To znaczy?

— Nie wiem, czy jestem człowiekiem z krwi i kości...

Siedział tuż przy niej w głębokim fotelu klubowym, pochylony trochę naprzód. Pani Bell, leżąc na wznak, z głową nabok przechyłoną i śmiejąc się, patrzyła mu w oczy.

— Więc pan nie wie, czy pan żyje?

— Bless my soul...

Roześmiała się cichutkim, dźwięcznym śmiechem, dźwignęła się trochę i naraz zarzuciła mu białe, chłodne ramiona na szyję. Uczuł na wargach gryzące, piekące sparzenie. Odurzony, zamknął oczy — ale w tej chwili uścisk ramion zwolnił i odezwał się cichy, pusty śmiech.

Otworzył oczy.

— O, to nic, mój tajemniczy panie! Chciałam się tylko przekonać, czy pan jesteś człowiekiem żywym, czy duchem...

— No?

— Mam wrażenie, że jeszcze można pana uważać za człowieka.

— Wbrew rozdzieleniu? — śmiał się Ramian.

— Na jakiej podstawie nazywa to pan rozdzieleniem? — odpowiedziała ze śmiechem Angielka. — A może to zdwojenie? Jak widzę, może pan tu żyć za dwóch!

W jej tonie i w jej sposobie mówienia była brutalna szczerłość, może trochę drastyczna, ale wesoła i nie cyniczna.

— Gdyby tak było — ciągnęła dalej — miałby pan istotnie warunki jedyne do życia w tym obrzydliwym, nędznym kraju...

— Obrzydliwym, nędznym kraju? — zdziwił się Ramian.

Służący przyniósł kawę, którą postawił na niskim stoliku między fotelem Ramiana a otomaną pani Bell. Angielka rzuciła mu rozkazującym tonem kilka słów w języku malajskim. Służący bez słowa wyszedł.

— Napijmy się! — rzekła pani Bell, ujmując w swe palce wysoki, cienki kieliszek z przezroczystym likierem bananowym.

— Niedobrze pić likier na takie gorąco! — zauważył Ramian.

— Ach, co wy o tem wiecie! — zachnęła się pani Bell, jednym haustem wypiwszy swój kieliszek i pomlaskując delikatnie łakomo językiem. — Jedyńcem naszym szczęściem jest to, że mimo wszystko, możemy gwizdać na prawa, jakie nam ta ziemia dyktuje... No!

Wzięła jego kieliszek, i umaczawszy usta w likierze, podała go Ramianowi.

Uczuł na swoich wargach słodki, zmysłowy smak, połączony z delikatnym lecz upajającym zapachem.

Pani Bell, wyciągnięta na otomanie w wolnym, pstrym szlafroku z przecudnego jedwabiu chińskiego, opuściła ku ziemi bezwładne ramiona i przechyliwszy w tył głowę, mówiła, jakby do siebie:

— Byłoby skończoną niedorzecznością, gdybyśmy twierdzili, że jesteśmy czemś w rodzaju białych, doskonalszych Malajów, że tę ziemię kochamy i że w niej mieszkać pragniemy.

— Ziemia z „Tysiąca i jednej nocy“.

— Hahaha! — roześmiała się Angielka. — Z „Tysiąca i jednej nocy“! Przy odrobinie inteligencji zrozumie każdy, że ani ja nie będę nigdy Malajką, ani też Malajem nie będzie nigdy Mr. Bell. Żyjemy tu, bo musimy i staramy się znosić to jaknajcierpliwiej. Robimy wszystko, co jest potrzebne dla zdrowia ciała i duszy — przez jakiś czas. A potem...

— Potem?

— Trzeba iść wypadkową. Pan jest człowiekiem inteligentnym, panie Ramian, czy nie jest pan? Pan zrozumie. Otacza nas świat obcy zupełnie, a który

możnaby zdobyć tylko przez pokorę, przez zupełne unicestwienie dawnego swego „ja“ i przez poddanie się prawom nowego rozwoju... Nikt z nas tego nie robi — bo panujemy. Konsekwentnie rozpoczyna się walka — między mną a mojem otoczeniem. W tej walce wygram tylko wtedy, kiedy znienawidzę ten pański świat z „Tysiąca i jednej nocy“... Wszystkie te palmy, czerwone drogi, upiory starych świątyń i starych, dawnych bogów, których pan jeszcze nie zna, te podziemne zakamarki wiecznie spiskującej przeszłości, te niewypowiedziane, czarowne fantasmagorie nocne, haszysze, jady i truciki Wschodu, należy przełamać, zniszczyć, przewyciężyć...

— Czemże? Czem?

— Tem swoim „ja“, europejskiem: bezwzględnie, chciwem bogactwa i użycia, chciwem życia... Zostawmy na boku filozofję i poezję Wschodu, bośmy tu przecie nie po to przyszli. Przodkowie nasi lądowali na tych wyspach z gołemi mieczami w rękach, wśród huku dział, na co ci tu odpowiadali kamieniami z wybrzeża, zaś orangutany kokosami z palm... Po wiekach panowania mamy się poddawać cieniem małym dawno wystrzelanych i wpływom klimatu?

Podniosła w górę ramiona i splotła wysoko nad sobą dłonie tak silnie, że palce w stawach trzasnęły. Leniwie a zmysłowo przegięło się pod cienkim, delikatnym jedwabiem jej silne ciało.

— Przekorność otaczającej nas przyrody podnieca nas! — mówiła dalej pani Bell. — Całą swą istotą na każdym kroku sprzeciwia się temu, co my za swą istotę uważamy. Wcale się nie dziwię, że dawni zdobywcy, dawni piraci i marynarze odpowiadali na to wyzwanie zupełnem rozpętaniem i rozpasaniem. Gorzej zaopatrzeni od nas, z bronią tylko w ręku wcho-



dzili w świat obcy, nieprzejednany, kradnący im ich indywidualność na każdym kroku — uśmiechem kobiety, wonią nieznanego kwiatu, obcym smakiem owocu, czy niepokojącym brzmieniem niezrozumiałego przekleństwa... Cóż dziwnego, że wrębywali się mieczem w ten obcy świat...

— Ciekawie to pani pojmuję!

— Och, niema w tem nic ciekawego! — odpowiedziała pani Bell, wzruszając lekceważąco ramionami. — Cała dusza tych awanturników była w szabli, więc ile razy czuli, że ich „ja“ jest atakowane, wywijali rapierami... Co innego my — my musimy czerpać z własnych zasobów wewnętrznych...

Mimo, że pani Bell w tem miejscu urwała, Ramian milczał. Nie przeczył jej, ani nie pomagał, lecz czekał, co dalej powie.

— Sam pan pojmie, że zasoby te nie mogą się przedstawiać zbyt imponująco. Życie zredukowane do obowiązku, do pewnych wzajemnych świadczeń, poza któremi człowiek jest wolny, a właściwie samotny... Czasami ręce opadają. W tej walce tak trudno o pomoc... Ludzi mało... Zdaje się czasem, że ten podziemny nurt życia wysycha... Żadnych dopływów, żadnego podniecenia...

— Rozumiem, rozumiem...

Pani Bell dźwignęła się, oparła się na wezglowiu otomany i patrząc z dziwnym uśmiechem w oczy Ramianowi, mówiła dalej:

— Tylko tu może pan zrozumieć, do jakiego stopnia to, co się w Europie nazywa wychowaniem, jest obcinaniem i kaleczeniem indywidualności. Rodzimy się z mnóstwem namiętności, porywów, zachcianek, a nigdy nie można przewidzieć, która z nich w danym razie da szczęście, lub czy nie będzie

ostatniem źródłem ratunku... Są to wszystko popędy rasowe, dzięki którym istniejemy i dzięki którym właśnie naród jest tem, czem jest... Nie jego cnoty dały mu wielkość, o, nie! A tymczasem te różne prądy, jakie z nas biją, chce się skierować w jedno łożysko, strasząc nas okropnem słowem — „grzech“! Narobiono niesłychaną ilość grzechów i w ten sposób zubożono, osłabiono człowieka. To zaś tu właśnie, to potworny kraj grzechu. Grzesznym jest nawet klimat tego kraju, grzesznymi są kwiaty nieskromne, grzesznymi są owoce, grzesznym jest przepych światła, grzesznym jest to wyniesienie na wysokości kosmatych kul orzechów kokosowych, napół przysłoniętych liśćmi palm... To kraj potworny, kraj wiecznie czających się namiętności, kraj nieczysty i szatańskiej przewrotności...

Pani Bell wymówiła te słowa z tak wzniosłą pogardą i purytańską nienawiścią, że Ramian omal się nie skrzywił. Miał przytem wrażenie, iż oczerniają mu istotę, dla której on właśnie żywi szczególniejszą cześć i miłość i że postępuje niegodnie, nie broniąc jej.

— Niech będzie! Niech będzie! — myślał z dziwnie przykrem uczuciem, jak gdyby poświęcał coś, ofiarował w pokorze i poniżeniu. Bo równocześnie tak się jakoś złożyło, iż ciemny jedwab szeroko rozchylił się na piersiach Angielki, odsłaniając bujne, pełne, jędrne grona, w przeźroczyście muślin tylko ujęte.

— Kto chce tu żyć i nie zginąć, musi cały być sobą, cały, rozumie pan, panie Ramian?

Jednym jedynym szybkim ruchem znalazła się tuż przy nim i zarzuciwszy mu ramiona na szyję, mówiła, patrząc mu w oczy:

— Tu cały świat, począwszy od tej głupiej, chej palmy, a skończywszy na jakiejś błazeńskiej

masce, malowanej złotem i purpurą na bawolej skórze, potępia nas i drwi z nas za to, że jesteśmy biali... Zaś my — bądźmy właśnie dlatego sobą... Niech się święcą nasze namiętności, niech się święcą nasze grzechy, zbrodnie nawet... Bądźmy sobą!

Odsunęła jego głowę od siebie i przez chwilę wpatrywała mu się w oczy żrenicami zamglonemi i nieruchomemi.

— Wąż! wąż! — zląkł się w duchu.

Jednakże, prawie machinalnie, objął ją wpół.

Przymknęła oczy, w tył odrzuciła głowę i giętka, gibka, z cichym, tłumionym jękiem, wiła się w jego ramionach. Opadły z niej cienkie osłonki, zmiały się, zniknęły i oto na wzorzystej makacie pojawiło się naraz cudne, nagie, białe ciało rosnącej kobiety, zapamiętałej w pożądaniu, niepamiętnej już na nic i prężącej się w oczekiwaniu rozkoszy.

Przez chwilę coś się w Ramianie buntowało przeciw uściskom tej kobiety, z taką brutalną zmysłowością chwytającej go w ramiona.

W pokoju, pełnym różowego światła, nagie jej ciało było prawie sine.

Zwolna jednak chylił głowę, aż przywarł ustami do krągłych, gładkich piersi.

Wówczas — stracił pamięć.

## XXI.

Ramian opuścił bungalow pani Bell z uczuciem niesłychanego wstrętu i pogardy dla siebie samego.

Był niemal zmiądzony, unicestwiony moralnie i fizycznie.

Pani Bell?

Ach, mowy nie było o tem, aby ją winić lub sądzić. Czyż miał do tego prawo? Mimo wszystko — nic o niej przecie nie wiedział, mimo wszystko — nie znał jej!

I to było właśnie potworne.

Spodziewał się stosunku z nią i zdawało mu się, że w tem najintymniejszym zetknięciu się człowieka z człowiekiem odnajdzie siebie. Łudził się! Był to gwałt obrzydliwy i ohydny, stosunek z martwą maską... Tajemnica ciała powierzona bez tajemnicy duszy jest rzeczą potworną, bo oddaje ciało bezduszne... Taka miłość jest hańbieniem trupów, chorych, nieprzytomnych, jest grą szatańską, iluzorycznym wcieleniem nicości, mającem na celu naigrawanie z uczuć najświętszych...

Biała djablica!

Kto? Ta histeryczna czy rozwiązała Angielka? Ta silna i młoda kobieta, żyjąca w dostatkach, a przeważnie zdala od męża, w nienormalnych warunkach i w egzotycznym, gorącym klimacie? Nie, to nie djablica, lecz zwykła, nudząca się, a nie zaspokoiona kobieta, nie gorsza i nie lepsza od drugich...

Jednakże było w niej coś demonicznie nieczy-  
stego, coś niezwykłego, coś, co jak roztopiony olów  
wlewało się w żyły, zatrutowało krew i paliło nawet  
we wspomnieniu... Ramiana wciąż jeszcze bolały  
wargi od pocałunków, na szyji swej czuł uścisk białych  
ramion Angielki, przed oczami miał jej nagie ciało.  
Buntem wstrętu odpychał od siebie to wspomnienie,  
ale wizja wracała z taką siłą, że nie mógł się jej  
obronić i aż syczał z bólu i upokorzenia. Istotnie,  
było w tem coś demonicznego!

Co?

Ramian już zdawał sobie z tego sprawę.

Grzechem było to rzucenie ducha pod brudne  
stopy materji, zbrodniczą chęć sponiewierania go,  
chęć otrząśnięcia się z jego więzów, pokłon oddany  
rzeczom i sprawom samym w sobie nieczystym i niskim  
bez uświęcenia miłości, samobójstwo duchowe na  
rzecz złośliwych i niedoskonałych demonów błotnych.  
Jeśli w twarzy i w pieszczotach Angielki było coś  
z wyrachowania zimnej, szatańskiej przewrotności,  
jeśli jej chłodna, a przecie paląca lubieżność miała  
coś z potwornej, głębi trzew sięgającej wnikliwości  
„succubusa“, to szatan miał prawo tu się ucieleścić,  
bo ten grzeszny uścisk był ofiarą jemu złożoną. Czer-  
wone piętna, jakie zostały na ciele po tych zimnych,  
mokrych, oślizgłych pocałunkach, to wypalone przez  
niego stygmaty hańby i grzechu.

Ramian, który, odprawiwszy szofera, szedł pieszo,  
znalazł się naraz w nieznannej sobie dzielnicy miasta.  
Szedł ulicą, po której obu stronach ciągnęły się wy-  
sokie, kilkupiętrowe, obdrapane kamienice, pełne  
portyków i balkonów, źle utrzymanych, obwieszonych  
schnącemi na powietrzu szmatami, zastawionych  
koszami z jarzyną lub kojcami z drobiem. W pierwszej

chwili miał wrażenie, że zablądził w krakowską dziel-  
nicę żydowską, na Kaźmierz lub na ulicę Dietlowską.  
Takisam nieporządek, brak zmysłu estetycznego, taka-  
sama we wszystkim dorywczość i tymczasowość, taki-  
sam na ulicy gardłowy szwargot i krzyk dzieci, te same  
nędzne, brudne kramy, nieraz pod ziemią, i kupcy, Bóg  
wie, co sprzedający. Była to jednakże dzielnica nie ży-  
dowska, lecz chińska, niemniej handlowa, niemniej pełna  
przeróżnej nędzy i niemniej żyjąca swem własnem, od-  
rębnem życiem i swemi prawami. Nawet złote charak-  
tery na pionowo stojących sztydach, dziwaczne i nie-  
europejskiego kształtu, podobne były do liter hebraj-  
skich, nie mówiąc o długich, czarnych, lśniących cha-  
łatach kupców, stojących w progach swych sklepów  
i szwargoczących z ożywieniem.

Niemile dotknięty hałaśliwością dzielnicy, Ramian  
skręcił w boczną uliczkę. Po kilkunastu krokach był  
już w zupełnie innym świecie, w uliczkach krętych,  
wijących się między niskimi domami o zamkniętych  
wrotach i zakratowanych oknach. Było tu cicho, spo-  
kojnie i rzadka tylko spotykało się poważnych, mil-  
czących ludzi w turbanach na głowach. Zato życie  
wrzało w domach, z których przez okna dolatywał  
śmiech i krzyk dzieci i kłótniwe wyszczekiwanie swa-  
rzących się kobiet.

Nie potrącany przez nikogo i nie ścigany zgieł-  
kliwą ulicą, mógł się tu Ramian skupić, a tedy szedł  
powoli, nie patrząc przed siebie, cały pochłonięty za-  
gadnieniem, które go zajmowało. Myślał o tem, że  
Europa, choć obstawiała się świątyniami i muzeami,  
ducha w rzeczywistości boi się i ucieka przed nim, jak  
dziecko, przekonane, iż nic mu się nie stanie, gdy złapie  
się ciepłej ręki kogoś starszego. Zaczął budować  
teorię, że wojny, bezustanne wrzenia i zamieszki, od

których tyle cierpią narody europejskie, pochodzą właśnie z ich ubóstwiania materji i zapamiętałego bronienia się przeciw wstąpieniu w nią ducha — a stąd te konwulsje, szamotania się i krwawe poty...

Uderzył go naraz rytmiczny, zmieszany gwar głosów, coś niby śpiew, niby deklamacja wesoła, radosna i triumfująca. Skierował się w stronę tych głosów, dziwnych, niemęskich, a przecie nie kobiecych. Jedne z nich były śpiczaste, jak szklane, inne brzmiały szeroko i dźwięcznie — ale śpiewaków nigdzie nie było widać — i właśnie, gdy Ramian przekonany był, że ich już odkryje — śpiew umilkł i tylko czyjś starszy głos brzęczał monotannie. Oglądał się niezdecydowany, nie wiedząc, w którą stronę się obrócić. Wtem znów trysnął jasny, dyskantowy pół-śpiew:

— Bihak-illah, rizal-l'Allah!

Śpiew rozlegał się tuż za nim.

Ramian odwrócił się i ujrzał przez drewnianą kratę w oknie niską izbę, w której przed małymi stolikami siedziało w kuczki na matach, rozciągniętych na ziemi, ze dwudziestu brązowych urwiszów w fezach, w myczkach malajskich, a nawet w turbanach. Odblask słońca rozświetlał izbę tak, że widać było dobrze zgromadzone w niej „towarzystwo“, chude, brązowe ciała w różnobarwnych strzępach, dłonie nabożnie przyłożone do piersi i wielkie, czarne, lśniące oczy, jakby w ekstazie podniesione w górę. Dzieci śpiewały za starym, siwym nauczycielem werset z Koranu:

— A'ain nu-na, bi-sun illach!

Jeszcze nie przebrzmiały ich głosy, gdy rozległ się dźwięczny, donośny śpiew muezzina:

— Alla-hu akbar! Alla-hu akbar! Aszad-du Allah, illach-ha il-Allah!

Zdumiony Ramian podniósł głowę.

Nad gęstwą dachów ujrzał smukłą wieżyczkę minaretu, na niej złoty sierp półksiężyca, wbity w ciemniejący błękit nieba. Z niego to płynął, jak ton trąbki, przejmujący, rzewny śpiew kapłana. Zdała odpowiedział mu drugi.

Ramian zamknął oczy i stał chwilę bez ruchu, w cichem, głębokim zapamiętaniu. Ten dźwięczny hejnał głosu ludzkiego duszę z niego wywlekał, przenosząc ją w tajemniczą, jakby zapomnianą krainę uczuć i myśli. Wszystko stało się naraz błękitne i złoto-różowe, rozświetlone blaskiem półksiężyca, dokoła którego owinęła się, jak płomienisto-kwitnący powój, jasna, tremolująca pieśń. Rozpierzchnione boleśnie myśli zaczęły się znów łączyć i skupiać, poćwiertowane, drgające uczucia zrastały się, świadomość upokorzona znowu podniosła głowę, człowiek, dotknięty strzelistym wybuchem nabożnego uniesienia, dzwignął się, jak chory, uleczony dotknięciem różdżki czarodziejskiej, wyrzuty sumienia umilkły. W sercu Ramiana rozpostarła się głęboka, pokorna cisza, nadsłuchująca i gotowa do przyjęcia rozkazu.

Prawie machinalnie szedł dalej labiryntem krótkich, krętych uliczek, które wkońcu wyprowadziły go na maleńki, nieregularny plac, otoczony z trzech stron starymi, niskimi domkami o żółtych, odrapanych murach, z małutkiami, zakratowanymi oknami. Przypominało to polskie zabudowania stajenne lub obory dworskie. W jeden kąt placu wciśnięty był niewielki meczet ze smukłą, fantastycznie pociętą wieżyczką; do meczetu prowadziły trzy szerokie, kamienne stopnie, stopami wiernych wydeptane. Plac był zupełnie bezludny i cichy, jakby zarzucony w kąt, zapomniany i nikomu niedostępny.

Ramian, zmęczony fizycznie i duchowo, przysiadł

na stopniach meczetu, aby odpocząć i w ciszy zebrać myśli. Z miejsca, na którym usiadł, widział małą, wąską uliczkę, podobną raczej do korytarza bez sklepienia, niż do ulicy. Było w niej wszystkiego parę domków, cichych i martwych z zewnątrz, grubą skorupą murów osłaniających wszelkie życie. W jednym miejscu z poza muru wychylała ciekawie swą zieloną czuprynę palma, smukła, ale tak jakoś dziwnie przegięta, że przypominała Ramianowi owe księżniczki średniowieczne, do pasa wychylone z niziutkich wież i z tęsknem przegięciem się wypatrujące gdzieś na dole kochanka.

Siedząc tak, zapatrzony w uliczkę, rozmyślał o swym upadku. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, iż zdradził sam siebie, a równocześnie komuś niezmiernie drogiemu odpłacił niewdzięcznością i wyrządził ogromną krzywdę. Grzech nie dał mu nic, prócz niesmaku, osłabienia i gorzkich wyrzutów sumienia, zato odsunął od niego to dziwne, słodkie uczucie wiary w nadzwyczajne jakieś przywiązanie, pozbawił go pewności, iż w tym niezmiernie wielkim a nieznanym świecie przecie jest ktoś, kto na niego czeka, kto wie, czy nie od początku czasu, i do kogo on wciąż idzie i dąży, niby broniąc się i ociągając, niby zbaczając z drogi, ale z uśmiechem szczęścia w duszy i ze świadomością, że z dniem każdym już bliższy jest celu.

Szybki zmierzch podwzrostnikowy gęstniał wśród niskich domów tak, iż minaret jeszcze tylko promieniował jak różowa świeca.

— Zgrzeszyłem przeciw własnemu życiu i własnej miłości — wyznał pokornie i naiwnie Ramian. — Cóż mi teraz pozostaje? I kogóż to odpędziłem od siebie?

Zaiste — kogo?

Istotę utkaną z odblasków najcudniejszych snów i najczystszych pragnień, cień złoty, wiecznie budzący

z uśpienia i przynoszący z zaświatów uśmiech rzeczy niezmiernych a niezniszczalnych, myśl, pełną miłości tkliwej i błogosławiącej, słodki uśmiech życia, wyzwolonego z ciężkich praw ziemi, ucieleśniony promień marzenia, świeży a wonny jak wieczorna rosa na kwiatach, czyste westchnienie, tańczące jak motyl dokoła jego duszy. Czegoż to się bał i co odganiał od siebie tym grzechem krwi, tem pokalaniem się rozmyślnem, które miało być policzkiem brutalnym?

Zrobiło mu się tak smutno, jakgdyby skrzywdził najbardziej oddanego sobie człowieka. Uczuł się niezmiernie opuszczonym i samotnym.

— Lintang! Lintang! — szeptał w duchu błagalnie i z żalem.

W głębi uliczki ujrzał niewyraźny cień.

Oparta jedną ręką o wrota, stała tam bez ruchu smukła kobieta. Zdała, zwłaszcza o zmierzchu, nie było jej widać, ale z postawy jej mogło się być zdawać, że czeka na kogoś, tęsknie przed siebie zapatrzona.

Ramian zerwał się i szybko ruszył ku niej, ale kiedy wszedł w uliczkę, kobieta zniknęła mu z oczu — znać przerażona tym nagłym ruchem obcego.

— Ona czy nie ona? — myślał Ramian, wciąż jeszcze pogrążony w swych dumaniach.

Uliczka była pusta. Z domu, przed którym stanął, dolatywało senne gaworzenie dziecka i cicha, smętna nuta melancholijnej kołysanki malajskiej.

## XXII.

Ramian zerwał się, zbudzony głośnym hałasem.  
Co to mogło być?

Wiatr rzucił oknem — ale prócz tego słychać  
było coś w rodzaju upadku ciężkiego przedmiotu.

Wiatr!

Rozumie się — wiatr! Ale co to upadło?

Był tak zmęczony, że nie chciało mu się wstawać.  
Więc leżał chwilę w ciemnościach. I — jak zwykle —  
zadzwoił smętnie „carrol“ z ratuszowej wieży, a potem  
powoli, dzwicznie, stanowczo, zegar wydzwoił dwu-  
nastą.

— Trudno! Takie już są formy tego dziwnego  
obcowania! — powiedział sobie Ramian, dźwigając  
się z łóżka i zapalając światło.

Potem rozejrzył się po pokoju, chcąc widzieć co  
upadło.

Całe biurko zavalone miał książkami które na-  
miętnie skupywał. Niektóre z nich przeglądał już,  
innych nie tykał nawet, ale wiedział, że są to rzeczy  
cenne, które w danym momencie bardzo mu się  
przydadzą. Pod tym względem miał jakby szósty  
zmysł. W wielkich księgarniach zagranicznych, w dzia-  
łach mało znanych, orjentował się prawie wyłącznie  
nieraz uczuciem palców. Dotknął książki, trzymał  
ją przez krótką chwilę w rękach, a potem brał lub  
odkładał. Nie wiedział, jaką wartość miały książki  
odłożone, jednakże te, które tym sposobem wybrał,

były bardzo wartościowe, pierwszorzędne a często  
rzadkie. Zaś po nabyciu nie śpieszyło mu się bynaj-  
mniej do ich przeczytania — musiał je tylko stale  
mieć pod ręką. I nagle przychodziła chwila, w któ-  
rej mimowoli prawie sięgał po jakiś tom — i znajdy-  
wał właśnie to, czego mu było potrzeba.

Otóż, pchnięty ramą okienną, zsunął się na ziemię  
cały stos książek. Leżały na ziemi różnobarne tomiki,  
jedne oprawne w czerwony safian, inne w ciemną  
skórę, jeszcze inne wydane po japońsku, napół wy-  
suniete z tekturowych futerałów, zaś prawie na  
środku pokoju leżał duży tom w żółtej, płóciennej  
oprawie z wielkimi białymi kwiatami. Ten tom był  
otwarty.

Ramian schylił się, podjął książkę tak, jak leżała  
i nie patrząc na nazwisko autora, zaczął czytać od  
tego wiersza, na który padły jego oczy: —

— Czy wróci Ci kiedy wspomnienie takiego  
wieczoru lub też, może być, próbujesz przyzwyczać  
się do szarzysty i neutralnych barw życia zrezygno-  
wanego? Ach! Właśnie wschodzi księżyc! Widok  
jest czarujący i muszę spróbować opisać Ci dokład-  
nie, co widzę.

Rzeka szeroka jest na paręset stóp. Na obraz  
składają się ledwie trzy elementy: Niebo, drzewa  
i woda. Pas zarośli nadbrzeżnych oddziela niebo  
od wody. Ten nieprzerwany pas drzew, różnej wy-  
sokości, wyrastający z wybrzeża tuż nad rzeką, two-  
rzy intensywnie głęboką linię roślinności. Jest nie-  
przerwany, ale miejscami, gdzie wyższe palmy lub  
olbrzymie drzewa piętrzą się nad zaroślami, najeżony  
jest jakby pióropuszcami i kitami a jego kształty i liście  
odbijają jak miedzioryt od szarobłękitnego tła. Tu  
i ówdzie ten pas roślinności cofa się w głąb tak,

iz niebo wybija w nim jakby łuki, w których drzewa maleją. Tuż nad wierzchołkami drzew niebo jest ciemno-szare, ale ten szary ton, w miarę, jak oko posuwa się wyżej, przechodzi w niebieski, aż wreszcie nad zenitem zmienia się w szafir bez chmur, usiany gwiazdami. Rzeka jest jak lśniący strumień roztopionego spżżu, zaś od brzegu sięga ku środkowi rzeki pas cienia, tak czarny i szeroki, jak pas nadbrzeżnej roślinności. Księżyc, idealne koło świetnego światła, ani srebrny ani złoty, właśnie wszedł i płynie w niewielkiej wysokości nad drzewami. W najgłębszych ciemnościach, właśnie tam, gdzie brzeg styka się z wodą, lśni wąskie pasmo oślepiającego jasnego światła.

Następuje czarna przestrzeń cienia, padającego na wodę od drzew, a potem prawdziwa kolumna złota, szerokości średnicy księżyca, a długości jego oddalenia od drzew. Kolumna ta nie jest nieruchoma. Drga w miarę ruchu fal i blaskiem swym oślepia. Zachwycający jest widok tej świetności płynnego złota i tej kolumny światła, o migocących lecz wyraźnych konturach, odbijających się jakby w połyskującym ciemno stalowem zwierciadle. A potem ten czarowny blask żółtego płomienia, to rozpalającego się, to znów gasnącego w najczarniejszych głębiach cienia i nad tem wszystkim księżyc, płynący przez niebiosą w pysznej świadomości swego własnego piękna, jakby rozumiejący, iż szafirowy firmament i całe światy gwiazd stanowią tylko tło dla jego olśniewającej świetności.

W miarę jak księżyc podnosi się wyżej, słup światłości w rzece staje się dłuższy, rozszerza się, nabiera barwy bursztynu i rozruca dokoła siebie strzały bledszego światła. Wkrótce powstaje szeroka ścieżka

małych lśniących fal, rozszerzająca się dalej w szeroki, a srebrzysty gościniec, gdy wznoszący się coraz wyżej księżyc rozprasza mgły, rozpostarte nad pasem dżungli i srebrzy parę lotnych chmurek, podkreślających błękit jego tła. A naraz czarna zasłona stopniowo rozszerza się na niebie, zciemnia światło księżyca, przesłania gwiazdy i gasząc światłość srebrnego gościńca na rzece, rzuca na nią mrok i rozprzestrzenia się nad nią, wypełniając jej zwierciadło własnym, posępnym obrazem.

Ramian podniósł głowę z nad książki i spojrzął w niebo.

Właśnie tak, jak to opisywał ten autor, płynął po niem księżyc w pełni.

Był to księżyc malajski, ten, który wschodzi nad palmami a zachodzi w morzu, srebrnem, szafirowem, turkusowem lub miedzianem, i autor, którego książki parę stron Ramian przeczytał, opisywał też świetność nocy tych samych wschodnich wysp i tegosamego klimatu — a mimo to Ramianowi przyszły na myśl przedziwne srebrne polskie noce księżycowe, na szafirowem niebie brylantowa pentla Mlecznej Drogi z przywiązaniem do niej jak srebrny medal księżycem, skrzeczenie żab i niespokojne po wioskach białych dalekie ujadanie psów. Przypomniała mu się też poświata stalowa a na jej tle równe, czarne cienie nieruchomych sosen, głębia czarna przy brzegu rzeki i tenże sam srebrno-złoty gościniec na rzece, gonący niby za płynąciami nieśpiesznie falami, a przecie nieruchomy i w samej rzeczy podobny do żarzącej się płynno-złotem światłem kolumny cichej jasności...

— I co ma znaczyć ta dziwna, niezrozumiała przenośnia? — zastanawiał się Ramian, uświadomiwszy sobie, iż podsunięty mu w książce opis malajskiej

nocy księżycowej znów budzi w nim wspomnienia z czasów dzieciństwa. — Do czego to zmierza? Co mi dyktuje? Jakie mi przynosi rozkazy?

Spojrzał w księżyc i myśl jego uciekła daleko w przeszłość.

Czy istotnie tak było w tym małym, białym dworku nad Wisłą? Bóg raczy wiedzieć, ale szczęśliwszego miejsca on na świecie nie widział. Nie zapomni nigdy tej sali zwierciadlanej, zwanej tak dlatego, że strop podtrzymywało w niej kilka drewnianych, kwadratowych słupów, obitych zwierciadłami. Pamięta tak jasny, księżycowy wieczór — swoją drogą przedziwnie jasne i promienne były księżycowe noce jego dzieciństwa! — szerokie oszklone drzwi sali zwierciadlanej wychodziły na niewielką terasę, przed którą stało kilka starych, czarnych modrzewi, zaś dalej widać było ogród. I raz jako mały chłopak, w taką noc księżycową wbiegł do tej sali i stanął oniemiały... Ze wszystkich słupów biła prawie błękitna światłość, jak z owych żywych kolumn opalowych, w których, nie ruszając z miejsca, można było widzieć, co się dzieje w promieniu stu mil dookoła... Zaś kiedy tak stał w ognisku tych snopów błękitnego światła, z ledwo dostłyszonym szelestem drobnych stóp zaczęły z za słupów wybiegać, to znów się chować za nie, zjawiska dziwne, nie nagie i nie ubrane, odziane światłością czy mgłą, mieniając się srebrnymi, zielonemi i niebieskiemi iskrami, z cichym trzaskiem biegającemi po ich przeźroczystych, świecących ciałach. Czemu uciekł przed niemi, czemu, słysząc, jak cichemi i chyżemi krokami biegną za nim, kopał w drzwi i bił w nie drobnemi piąstkami, póki mu ich z dobrotliwym uśmiechem nie otworzyła staruszka-babcia.

— O, jakby dobrze było wrócić...

Dokąd?

W te jasne, przejasne księżycowe, noce dzieciństwa, czy tak?

Ktoś powiedział:

— A wówczas wyszła dusza ze mnie i nie wiedziałem dokąd, zaś wróciła orzeźwiona i uśmiechnięta, skąpana w rosie księżycowych ogrodów.



### XXIII.

Ramian zasnął późno, mimo to jednak wstał wcześniej, zdrów, wypoczęty i pełen energii. W nocy powziął pewne postanowienie a zbudziwszy się czuł, że od wykonania tego zamiaru zależy wszystko. Miał wrażenie, jak gdyby teraz dopiero wszedł na właściwą drogę. Późno może, ale przecie jeszcze nie za późno. Dość rozmyślań, dość wahania i niepewności. Teraz już wie, co ma robić.

W biurze hotelowem kupił mapę, którą starannie zbadał podczas śniadania. Następnie udał się do jednego z pobliskich sklepów i kupił rower. Gdy go pytano, dokąd rower odesłać, nie podał adresu, lecz, skontrolowawszy jeszcze, czy ma przy sobie mapę i „browning“, wyprowadził rower na ulicę, wsiadł i pojechał.

Na stację kolejową przybył w samą porę, na parę minut przed odejściem pociągu. Kupił bilet, umieścił swój rower i z ulgą odetchnął, kiedy się znalazł sam w przedziale pociągu, jadącego w głąb wyspy. Było mu tu wszystko tak jakoś znane, że nawet nie wyglądał przez okno. Siedział i palił papierosa z miłym uczuciem wygody, bezpieczeństwa i spokoju. Było mu, jak gdyby spełnił dobry uczynek, o którym dawno myślał, a który coś spełnić mu przeszkadzało.

W godzinę później wysiadł na małej pustej stacji wśród palm. Wydostawszy swój rower i rzu-

czył złością gęsty fiolet, gwiazdy srebrzyły się na nim coraz intensywniej, aż nagle zapadł niepokojący, cichymi a chyżymi krokami tajemniczo lecący przed się, podzwrotnikowy zmierzch.

Ramian zeskoczył z roweru przed małym domkiem wartowniczym.

Wyszedł z niego malajski sierżant.

— „Tuan“ zapewne z daleka! „Tuan“ niewątpliwie przerwie swą podróż i zechce odpocząć. Wiadomo wszystkim, iż zmierzch jest najgorszą, najmniej bezpieczną porą dnia.

— Dlaczego? — spytał Ramian, który istotnie czuł w sobie jakiś niepokonany, niewytłomaczony niepokój.

— Prawdopodobnie, z powodu osłabienia całodzienną pracą, człowiek o tej porze najslabszy, najmniej też odporny jest na choroby, zwłaszcza na febrę. Taka jest nauka „tuana“ — odpowiedział sierżant. — Lud prosty tłumaczy to sobie inaczej i twierdzi, że o zmierzchu wieczornym i rannym złe duchy mają do człowieka najłatwiejszy dostęp. O zmierzchu, gdy człowiek jest najbardziej zmęczony i nad ranem, gdy najmocniej śpi... „Tuan“ zechce tu przenocować?

Ramian obrzucił wzrokiem mały domek strażniczy, skrzywił się niechętnie, a potem spojrzął przed siebie. Po lewej stronie drogi widać tam było ciemną, prawie już czarną masę roślinności.

— To Kuala Kubu? — zapytał.

— Tak — odpowiedział sierżant — Kuala Kubu. Czyżby „tuan“ chciał nocować we wsi?

— Jak długo jesteś na posterunku?

— Od pół roku dopiero.

— Ah, dobrze. Jesteś tu nowy...

— Nigdy nie widziałem „tuana“ w tych stronach...

— Bo jesteś nowy...  
— „Tuan“ przybywa z daleka?  
— Nie. Ja z daleka... wracam...  
— A! A! Teraz rozumiem! Mówiono tu coś o panu, który nagle wyjechał... „Tuan“ powraca z daleka... Ja Allah, Muhammed! Więc nie kłamali ludzie z Kuala Kubu! „Tuan“ szedł śladem palca Allacha, Boga jedyne go i wszechmiłosiernego! Dużo się tu musiało zmienić przez ten czas, nie wiadomo, co „tuan“ zastanie — ale serca dawnych przyjaciół są po staremu wierne...

— Skąd to wiesz?

— Niema dnia, aby nie wspominali — i czekają wciąż. Plantacje nie mają już pana — powiadają, że nikt się na nich utrzymać nie potrafi... Czy żona moja ma przygotować wiesz? —

Ramian poruszył przecząco głową, a potem oddał sierżantowi swój rower.

— Weź to i przechowaj, jutro się zgłoszę. Zresztą nie potrzebuję niczego.

I wsadziwszy ręce w kieszenie białej kurtki, ruszył przed siebie.

Było zupełnie cicho. Najmniejszy wietrzyk nie poruszał liśćmi palm, ani szept nigdzie się nie odezwał — a robiło się na ziemi coraz ciemniej i czarniej tam, gdzie światło wsiąkało w gąszcz roślinności. Tylko droga była widoczna wyraźnie — zaś na horyzoncie oświetlone już wschodzącym księżycem nieodcyfrowane grzbiety gór.

— Zbłądzi pan w ciemnościach! — usłyszał za sobą po chwili głos sierżanta.

— Bądź bez obawy! — odpowiedział mu Ramian chępliwie — Ja tu znam każdy zakątek!

— POCO kłamał?

Może dlatego, iż rozmyślnie wchodził w rolę „tego drugiego“, aby przez to uwolnić się od pytań natrętnych i istotnie nawet nieprzyjemnych a kłopotliwych w jego dziwnej sytuacji, a może dlatego, iż wierzył w swój instynkt i pewny był, że wieś bez trudności odnajdzie. Wreszcie — sam siebie przestał już pytać, dlaczego co robi... Robił tak, jak mu się podobało, jak myślał, że postępować powinien i musi... I nie dbał o to, co z tego wyniknie, wyzwolony i gotów na wszystko.

Szedł jakiś czas gościńcem, potem skrzył na lewo i zanurzył się w czarną, cichą dżunglę, przez którą prowadziła wąska ścieżka. Ciemności nie dezorientowały go ani nie niepokoiły, zaś każdy zakręt ścieżki zdawał się być znanym oddawna. W pewnej chwili uderzyła go w oczy przedzierająca się przez szerokie, czarne liście palm niemal oślepiająca jasność księżyca. Palmowe liście rysowały się na tle tej światłości czarno, jak powyginane, powykręcane czarne skrzydła tajemniczych ptaków, czy też olbrzymich gacków...

— Takie zawsze były! — mruknął do siebie Ramian. — Motyw malajskiej nocy, zły, tajemniczy, nieodgadniony... Liście — czy skrzydła?

Jego słuch uderzył cichutki, ledwie dosłyszalny szmer wody.

Obejrzał się.

Po lewej ręce, jakby z podziemia, ogień srebrny się żarzył.

— Ach, strumień... No, to tu zaraz będzie...

Wyciągnął przed siebie ręce i, rozgarniając niemi ciepłe ciemności, dotknął gładkiej, wypolerowanej niezliczonymi dłońmi okrągłej, elastycznej poręczy kładki. Bez wahania wszedł na huśtający się mostek z kilku związanych łykiem palmowych pni. Szedł śmiało po

tańczącym moście, a gdzie najwięcej było na wodzie błękitnych iskier księżycowych, tam stanął, oparł się o poręcz i chwilę słuchał, wnikając w ciszę i wnikając głęboko w swą duszę.

Nozdrza jego rozszerzyły się i zaczęły drgać, chwytając ciepłe wypary i wonie egzotycznej nocy. Miał wrażenie, że każdy odcień woni jest niby osobny wiersz wielkiego poematu. Oto chłodny zapach strumienia, nasycony mdłą, nieco zgniłą wonią porostów wodnych, owadów, ryb, rybek i żabek... Wypar ciepłej trawy w dżungli, aromat dojrzewających bananów i sprośnie-kósmatych, pęczniejących na słońcu orzechów kokosowych, malaryczny, przejmujący chłodem błotnistym powiew, ciągnący od mokrych pól ryżowych, suchy zagar z dymu wyschłych na słońcu polan palmowych, ciepłe tchnienie przewiewnych stajen garbatych, spracowanych i potem oblanых bawołów i charakterystyczny, lecz bynajmniej nie przykry odór ostrej woni nieuniknionych w tych krajach pikantnych przypraw korzennych... Każdy odcień tych zapachów, miły lub przykry, nasuwał mu na myśl osobny obraz i w ten sposób, niby w kinematografie, przesuwało się przed jego oczami całym cyklem obrazów życie wsi...

— Ale gdzie ona jest, ta wieś? — pomyślał.

O, nie mogła być daleko, inaczej nie czułby jej tak wyraźnie.

Więc oderwawszy myśl od drgającego na wodzie srebrzyście ekranu, poszedł dalej.

Wieś skryta była za wąskiem ale gęstem pasmem dżungli — dosłownie: za cichym, zielonym murem.

Prawdopodobnie mieszkańcy wsi, chodzący zawsze boso, musieli usłyszeć głośne kroki obutego Europejczyka, zwłaszcza gdy przechodził przez kładkę, bo

kiedy Ramian wyszedł z dżungli, ujrzał biegnących ku sobie kilku Malajów.

W pierwszej chwili stanął, jakby obawiając się ich. Ale i oni stanęli nagle, jak wryci, i stali tak w milczeniu, nieruchomi, przyglądając mu się z odległości kilku kroków.

W półcieniu widać było dalej niewyraźne zarysy śpiczastych strzech chat malajskich, palm i jakichś wielkich, starych drzew o rozłożystych ramionach.

Ramian stał wciąż w milczeniu, nieruchomy, jakby zaskoczony przez coś.

Stojący naprzeciw niego Malajowie również milczeli. Ramianowi zdawało się, że czekają na coś, na jakieś słowo, które koniecznie wymówić powinien.

Przypomniawszy sobie z trudem.

— Salam aleikum — rzekł niepewnym głosem.

— Aleikum salam! — odpowiedziało mu kilka głosów z półmroku.

A teraz co?

— Co dalej tym ludziom powiedzieć? — myślał. — Poco ja do nich przyszedłem?

Ale oto tuż przed nim stanął nagle jakiś człowiek. Stary już był, bardzo stary! Groteskowo niemal wyglądała jego łysa czaszka, okręcona zwiniętym ręcznikiem, a biała, capia broda poruszała się za każdym ruchem jego ust. Było to niby dziwaczne widmo w półmroku, lecz głos tego starca, choć przytłumiony, był jeszcze pewny i wyraźny, a mądre oczy jasno patrzyły przed siebie.

Coś mówił.

Ramian zrozumiał słowa powitania, ale później dźwięki pomieszały mu się, straciły swą jasność.

Tak czasem we śnie widywał stronicę otwartej książki, przykuwającej wzrok jego jakimiś tajemni-

czemi literami. Kiedy je chciał odczytać — litery gasły.

Starzec mówił po malajsku.

— Nie rozumiem cię! — rzekł wreszcie Ramian, opanowawszy się. — Czy nie umiesz po angielsku?

Starzec umilkł i spojrzał na niego zdumionym wzrokiem.

— Czy tu nikt nie rozumie po angielsku? — zwrócił się Ramian do stojących opodal Malajów.

Jeden z nich zbliżył się wówczas do niego.

— Ya Allah, ya Tuhan-ku! — wykrzyknął ze zdumieniem, a potem zaczął mówić po angielsku: — Czy „tuan“ mnie nie poznaje? Jestem Meng, miałem zaszczyt być służącym „tuana“, „tuan“ mnie po angielsku nauczył... Czy „tuan“ nie chce mówić naszym językiem? Nie byliśmy przecie nigdy nieżyczliwi, ani zli...

Cichy głos Malaja brzmiał miękko, łagodnie, prawie rzewnie. Miał drobne nuty pieśczętliwe, aksamitne, ujmujące.

Ramian szeroko otwartymi oczami patrzył w twarz drobną, subtelną, prawie czarną w półmroku, połykującą białkami oczu z pod turbana.

Starzec, mówiąc coś szybko, ciągnął Menga niecierpliwie za rękę.

— Kto jest ten starzec? — spytał Ramian.

— Naczelnik gminy, stary Allah Taela Muda... „Tuan“ nie poznaje go? Zestarzał się bardzo w ostatnich czasach, ale też nic dziwnego — ma najmniej sto lat... Pamięta bardzo odległe lata...

— Allah Taela Muda! — mimowoli powtórzył Ramian.

Potał ręką czoło, myśląc, jakby wybrnąć z tej dziwnej sytuacji.

Malajowie wzięli ten ruch za gest przypominania sobie.

— „Tuan“ zapomniał? — mówił dalej Meng.  
— „Tuan“ wraca zapewne z bardzo daleka.

— O, tak, z bardzo daleka! — potwierdził Ramian.

Meng zwrócił się do starca, który przez chwilę żywo z nim rozmawiał. Jego biała broda chwiała się przytem na wszystkie strony.

— Co on mówi? — zapytał Menga Ramian.

Malaj zawahał się

— Co mówi? Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć?

— On twierdzi — odpowiedział Malaj, namyślając się nad każdym słowem — że „tuan“ musiał być ciężko chory... W chorobie, w złym śnie, duch jakiś wykradł „tuanowi“ znajomość mowy naszej i pamięć naszego życia... Ale Allah Najmiłosierniejszy przywiódł tu „tuana“ i postawił na skraju tej dżungli i wsi naszej dlatego, iż okres choroby, okres próby skończył się już... Oto, co mówi Allah Taela Muda, „tuanie“, człowiek stary i który pamięta wiele dziwnych rzeczy.

Przez ten czas nadchodziło coraz więcej Malajów, aż wreszcie Ramian znalazł się otoczony szerokim półkregiem wysmukłych postaci w białych kaftanach i długich, ciemnych „sarongach“.

Stali tak, wpatrzeni w niego, milczący. Nie było widać w zmierzchu ich ciemnych twarzy, a i „sarongi“ zlewały się z ziemią. Z każdą chwilą robiło się coraz ciemniej i czarniej. Księżyc przesłoniły czarne chmury.

I znowu zabrzmiał cichy lecz wyraźny głos starca, znowu z ust jego posypały się dziwne, dźwięczne słowa, brzmieniem swem przypominające śpiewność najczystszego dialektu tokańskiego.

— Allah Taela Muda — tłumaczył Meng — twierdzi, iż „tuan“, zmęczony długą podróżą, potrzebuje wypoczynku, kąpieli i jada...

— Nie mam ze sobą rzeczy. Wszystko zostawiłem w mieście...

— „Tuan“ jest tu u siebie, wśród swych przyjaciół. Co mamy, wszystko należy do „tuana“. Pójdźmy.

Powiedli go naprzód, przed siebie i siedł tylko za cichym tupotem bosych stóp i ciepłem ciał.

Aż naraz w czyichś rękach zapłonęły pochodnie i blaskich czerwony oświetlił brązowe twarze Malajów.

Twarze te były życzliwe, ale spokojne, skupione w sobie, jakby przejęte ważnością chwili.

— Zapewne, jeśli sądzą, że ja jestem tym dawnym ich panem, który tak nagle zniknął, — rozmyślał Ramian — a którego oni teraz tak niespodziewanie znajdują na skraju lasu, głodnego, zmęczonego, to jużci musi im się ta cała historia wydawać co najmniej dziwną, jeśli nie nadzwyczajną. Żaden z nich nie zapytał, gdzie byłem, skąd się tu wziąłem, jak przyjechałem. .

Zaprowadzono go na brzeg strumienia, gdzie się rozebrał i wykąpał, zaś przez cały czas kilku Malajów przyświecało mu pochodniami. Meng wziął jego ubranie i odniósł, a po chwili zjawił się z nowiutkim „sarongiem“ i białym kaftanem i, stojąc na brzegu, wysoki i wyprostowany, ciemno-brunatny od światła pochodni na tle czarnej nocy, w milczeniu śledził głowę „swego pana“, to nurzającą się w czarnej wodzie, to znów wychylającą się i lśniąca w bryzgach złoto-czerwonych iskier.

Orzeźwiwszy się kąpielą, Ramian włożył na siebie to, co mu dano, i ruszył posłusznie za swymi przewodnikami.

Poprowadzili go ku domowi, przed którym, siedząc na schodkach werandy, oczekiwał już stary Allah Taela Muda. Ujrawszy Ramiana, powstał, a w mądrych jego, starych oczach błysnęło coś naksztalt uśmiechu zadowolenia.

Usadzono gości na pięknej macie, rozciągniętej na gładkiej, wypolerowanej bosemi stopami podłodze i postawiono niski stolik, na którym po chwili pojawiła się wieczerza, biały ryż i korzennie pachnące mięso w sosie.

Była to zwykła, piekielnie pikantna potrawka malajska.

Sos tak palił podniebienie i szczypał w nos, że Ramianowi aż łzy ciekły z oczu, ale jadł mimo to z niezmiernym apetytem, wygłodzony i wyczerpany całodzienną fatygą i ruchem na wolnem powietrzu. Zaś dokoła niego, ściśnięci w półkole, w grobowem milczeniu siedzieli w kuczki na werandzie Malaje w turbanach lub płaskich czapkach.

Światłość księżycy, przełamująca się zwolna przez chmury, oświetlała tę dziwną scenę.

Zaś za swemi plecami czuł Ramian cienką ścianę, która ogrzewała go ciepłem życiem domu, pełnego kobiet, dzieci i kotów.

Kiedy zjadł, podano mu czarną kawę.

I wówczas dopiero zabrał głos Allah Taela Muda, którego słowa prawie równocześnie powtarzał w języku angielskim młody Meng. Meng mówił cicho, niemal szeptem, zaś starzec intonował swą przemowę śpiewnie, patetycznie, uroczyście, i Ramian miał wrażenie, że to nie Meng jego słowa tłumaczy, lecz on sam je rozumie.

— Salem aleikum! — brzmiało pozdrowienie w ciszy nocnej. — „Tuan“ wrócił do nas, „tuan“ wró-

cił do swych przyjaciół, snąć, łaskawą ręką Boga Najmiłosierniejszego wiedziony. Znaleźliśmy go nad wieczorem, głodnego i utrudzonego podróżą, na skraju lasu, pod wsią, jak sierotę bez matki i ojca. Skąd przyszedł do nas, jak trafił, zapomniawszy nawet języka, nawet imion przyjaciół swych, nie odgadniemy. Snąć całą tarczę ziemi obszedł dokoła, bo oto powrócił tam, skąd wyszedł, co znaczy, że wędrówka jego dopełniła się. Teraz niechaj odpocznie wśród nas, a niebawem Bóg Najłaskawszy powróci mu pamięć mowy, ludzi i rzeczy. Na razie zaś prosimy, aby powiedział, po co przyszedł i czem mu służyć będziemy.

Ramian milczał, wpatrując się tylko w poważne twarze otaczających go Malajów. Słuchał, najmniejszym nawet drgnieniem starając się nie zdradzić swych uczuć. Sam jeden biały człowiek wśród tych brązowych ludzi, rozegzaltowanych w tej chwili czemś, co uważali za cud, opanował się i całą siłą trzymał się na wodzy. Nie chciał zdradzić się z niczem, nie chciał, aby choć jeden z nich mógł odgadnąć „drogi białego człowieka“.

Serdeczne przyjęcie, jakiego doznał, wzruszyło go, nadzwyczajność sceny była zdumiewająca, jednakże trzeba się było trzymać w rezerwie, bo trudno byłoby odgadnąć, do czego to wszystko może prowadzić. Należało sobie na wszelki wypadek zachować swobodę działania. Przecie to tylko nadzwyczajna przygoda, bajeczny zbieg okoliczności, nieprawdopodobna, dziwna sytuacja, nic więcej!

Czy istotnie nic więcej?

Siedział i słuchał najgłębszych głębi swego ducha, zaś te głębie mówiły — że nie. Że w tej chwili całe życie jego postawione jest na kartę i że właściwie gra — jest już skończona.

Mimo to milczał.

Otaczający go Malajowie milczeli też.

Wtedy Ramian pomyślał, że teraz dopiero nasuwa mu się sposobność wybadania, co właściwie poprzedziło jego przyjazd tutaj, czem się mu jego nieznany sobowtór przysłużył. Ci ludzie z pewnością powiedzą wszystko.

Więc zaczął mówić, wpatrzony w siedzącego naprzeciw starca, zaś Meng tłumaczył.

— Historja moja jest bardzo dziwna — zaczął — i nie wiem, czy mnie zrozumiecie, przyjaciele. Albowiem widzę, że jesteście mymi przyjaciółmi i w sercach swych żywicie dla mnie miłość. Oczy moje, zaślepione, wciąż jeszcze nie poznają was, jednakże serce nie myli się. Jeśli tak jest, a wierzę, że jest istotnie, proszę was, odpowiedzcie mi na jedno pytanie.

Wpiło się w niego kilkadziesiąt uważnych oczu, połyskujących gałkami wielkich białek.

Ramian opuścił głowę i przez chwilę namyślał się.

Oto tym obcym ludziom miał zadać pytanie, które od wieków nadaremnie zadawali sobie najwięksi mędrcy świata. Co za niedorzeczność!

Pełne skupienia milczenie trwało wciąż.

A wówczas Ramian podniósł głowę i, powiódłszy wzrokiem po twarzach otaczających go Malajów, jak kamieniem rzucił nagle w ten krąg ludzki pytaniem:

— Przyjaciele moi! Powiedzcie mi: Kto ja jestem?

Meng spojrział na niego niespokojnie i milczał.

Z koła padło kilka podnieconych okrzyków. Niektórzy, zrozumiawszy coś niecoś, szeptali.

Ramian zwrócił się do Menga.

— Powtórz, co powiedziałem! — rzekł mu rozkazująco.

Meng zwrócił się do tłumu i przyciszonym głosem wymówił nieśmiało kilka słów.

Chór drgnął, zakolysał się, coś przez chwilę żywo radził i umilkł.

Zapadła głucha cisza.

Wtedy Ramian rzekł:

— Wszakże mnie znacie, nieprawdaż?

W odpowiedzi rozległ się głos starca:

— Znamy cię tu wszyscy. Nieletnie dzieci nawet pamiętają cię.

— Więc widzicie! Nawet dzieci mnie znają, a tylko ja sam siebie nie znam. Nie znam! — powtórzył z naciskiem. — Dla was wszystkich jestem żywym człowiekiem z ciała, krwi i kości, gdy sam sobie wydaję się duchem, błakającym się wśród żywych. Nie wiem, jakim się to stało sposobem.

Starzec przerwał mu skinieniem ręki.

— Ukradziono „tuanowi“ duszę w czasie choroby i zamieniono ją — zabrzmiał szept dwujęzyczny.

Ramian zdumiał się.

Gdzieś to już raz słyszał...

Ach, ten stary Rosjanin na statku... On coś o takiej zmianie dusz opowiadał... Lecz skądże tu ta dziwna wiara...

Coś się w nim zerwało, coś go podniosło.

— Więc wy, którzy mnie znacie, nazwijcie mnie! — rzekł ciepło i szczerze. — Dajcie mi napowrót me imię, zwróćcie mi życie, którego mnie pozbawiono, które mi ukradziono, które kościsty palec śmierci wytarł z pamięci mojej... Otwórzcie mi oczy na blask dni tych, złą ręką śmierci pogaszonych — o, przyjaciele moi... Powiedzcie mi, czem wśród was byłem, co robiłem, co ukochałem...

Był podniecony. Czuł, że mówi jak w gorączce, ale nie mógł się powstrzymać. Rozgrzała się w nim naraz dusza i pędem leciała ku tym ludziom nieznanym,

ku tej chwili dziwnej, niepojętej, ku aksamitowi nocy, muskanej delikatnie skrzydłami wielkich nietoperzy, ku palmom czarnym w księżycu... Mówił — jak szaleniec, z głębi duszy i słuchał sam siebie przeżony, bo chwilami zdawało mu się, że z niego mówi ktoś drugi, co tylko posługuje się jego ciałem, krtanią, językiem, zębami.

Nareszcie go zrozumiano.

A wówczas głos zabrał Allah Taela Muda.

Mówił — niby recytował — śpiewnie, melodyjnie, głosem niezbyt silnym ale dźwięcznym jeszcze, choć o skali krótkiej. Prawie równocześnie z nim, poddając się wzruszeniu i uczuciom starca i wraz z jego głosem zniżając lub podwyższając swój głos, szeptał z cicha Meng. W ciszy nocnej, głosy ich, oparte o ścianę drewnianego domu niby o pudło rezonacyjne, brzmiały jak śpiew dwóch strun skrzypcowych, dźwięcznymi, chromatycznymi interwałami. Meng tłumaczył tak dobrze, że Ramian zupełnie dokładnie widział to, o czym Allah Taela Muda opowiada z przejściem się, właściwym rapsodóm, recytującym stare przypowieści wschodnie.

Opowieść była tak dziwna, że Ramiana jak klezczami chwyciła za serce.

Oto były dzieje jego własnego życia i jego własnych cierpień. Historia dwojga ludzi obcych sobie i dalekich, a skutych jednym łańcuchem życia, ludzi zbuntowanych wreszcie, którzy postanowili łańcuch ten rozerwać. Szarpali go rozpaczliwie, niby dwoje dzikich zwierząt, rwących się do wolności choćby za cenę okaleczających członków — i tem tylko różniła się męka ich od cierpienia Ramiana. Pod tem niebem gorącym, na tle podzwrotnikowej przyrody, w otoczeniu ludzi ciemnych, których serca były jak kryszce,

co jeśli wyskoczą z pochwy, to nigdy nadarmo, namiętności dwojga walczących ze sobą istot wybuchały znacznie gwałtowniej, jaskrawiej. Ją widywano w otoczeniu młodych marynarzy, przyjeżdżających z dalekich stron, to świetną i czarującą na pokładach wojennych statków, rozbrzmiewających w dni uroczyste muzyką i ozdobionych girlandami różnobarwnych kwiatów i świateł, to znów w objęciach przystojnych riksów, rozpustną, niczem dziewczyna z portowej oberży. On zaś, niepamiętny na nic, nie zważający na opinię ludzi białych, całą namiętność i miłość serca swego zwrócił do jawajskiej tancerki, dziewicy pięknej i ze starej, dostojnej rodziny, a której wzajemność wreszcie udało mu się zdobyć. Wówczas zapamiętali się w sobie. On wybudował dla niej i jej ojca we włości swej, niedaleko swego bungalowu piękny „kampong“, gdzie spędzał z nią wszystkie swe wolne chwile, szczęśliwy, jak zakochany słowik, wiecznie w jej oczy wpatrzony...

— Imię jej, przyjaciele! — przerwał Ramian. Jak się nazywała?

— Lintang! Lintang! — dzwięcznie zaśpiewała ciemność, złoto-czerwonemi ogniami promieniująca.

Była to jedna z najpiękniejszych tancerek, młodziutka jak zorza wschodzącego słońca, gibka jak wąż a strojna jak kwiat. On, wpatrzony w nią wiecznie, rozkochał się w poezji i czarze jej nieźrównanego tańca, w którym wyglądała niby wirujący słup złotego blasku. Oprócz tego śpiewała mu miłosne pieśni malajskie, pełne blasku rozgorzałego serca, pełne woni rozkwitłych jaśminów, a smętne, jak wspomnienie szczęśliwych nocy księżycowych. Nieraz woził ją ze sobą do miasta i chełpiąc się jej krasą, sadzał ją zawsze koło siebie, a wówczas

wyglądało to, jak gdyby wioził bukiet najpiękniejszych i najrzadszych kwiatów, z których śmiała się twarz słodka z dwojgiem czarnych promiennych oczu. Było to wbrew zwyczajom miasta i dlatego ludzie odwracali się na ich widok, ale on, dumny i nie wybaczący urazy, nie chciał ich potem znać. Zaś najczęściej wioził ją nad Srebrne Morze i tam siadali na wybrzeżu, na ławce, pod wygiętymi przez wicher palmami i zasłuchani w baśń swych kochających serc, przyglądali się tańcowi dzwięcznie rozpryskujących się fal... I stało się wreszcie, że miłość ich wydała plon... Ałlach dał im syna. —

— Kiedy? — wykrzyknął Ramian. — Kiedy się to stało?

Głosy umilkły na chwilę — poczem zerwała się burza sporów. Pokazywano sobie na palcach liczby, rzucono dzwięczne nazwy mahometańskich miesięcy. Trwało to przez jakiś czas — wreszcie siedzący tuż u stóp Ramiana Meng podał dokładnie rok, miesiąc i dzień...

Ramian drgnął, opuścił głowę na piersi i zasłonił twarz dłońmi. Była to najdokładniej data śmierci jego syna.

— A ona? A ona co? — zawołał po jakimś czasie. — Czemu nie mówicie mi o niej, o mej białej żonie?

— Zapomnieliśmy! I tyś zapomniął, panie, i myśmy zapomnieli. Odeszła. Odjechała statkiem z jakimś obcym, białym człowiekiem w dalekie kraje zamorskie... Nikt o nią nawet nie pytał. Takie było jej przeznaczenie...

— Takie było moje przeznaczenie! — rzekł Ramian. — A teraz powiedzcie mi: czemu porzuciłem was, czemu odszedłem?

Zapadła cisza.



— Nikt z nas nie wie! — odezwał się podwójny szept.  
— W jaki sposób odszedłem? Jak się to stało?  
— Odejdźcie „tuana“ osłonięte jest chmurą tajemnicy...

— Kiedy widzieliście mnie ostatni raz?

— Nie pamiętamy... Już, po zniknięciu widział „tuana“ ktoś nad brzegiem srebrnego morza w noc księżycową. Mówiono, że „tuana“ zamordowali kulisi chińscy, którzy zwłoki wrzucili w morze... Inni twierdzili, iż „tuan“ uciekł potajemnie, chcąc uniknąć kłopotów z Lintang, ale my nie wierzyliśmy temu, bo widzieliśmy twoją miłość dla niej... Jeszcze inni opowiadali, iż w ziemi białych, za morzem, wybuchła wielka, święta wojna i że „tuan“ poszedł szukać śmierci sławnej a błogosławionej. Lecz czemużby się miał kryć z tem przed przyjaciółmi? Pochodzimy wszyscy z ludu wojennego, a ojcowie nasi nie nosili kryszów nadarmo... Ogłoszono śmierć „tuana“ — my nie wierzyliśmy w nią... Na twoim dawnym majątku obcy osiedzić się nie mogli, a my pewni byliśmy stąd, iż „tuan“ powróci. Wszystko pozostało, jak było. Po dawnemu dbamy o plantację, choć nie doglądało pracy naszej oko właściciela, lecz oko płatnego i obojętnego dozorca... Po dawnemu w czystości utrzymujemy ścieżki w ogrodzie i ulubione kwiaty, a „kampong“ Lintang, choć niezamieszkały, stoi jak dawniej i każdej chwili można się do niego sprowadzić.

— Gdzie Lintang?

— Po zniknięciu „tuana“ odeszła w góry wraz z dzieckiem do domu swego ojca...

— Gdzie jest ten dom?

— Nie pytaliśmy pogrążonych w smutku... Szli swoją drogą. Bóg z nimi! Takie było ich przeznaczenie!

— To było moje przeznaczenie! — napół szeptem powtórzył Ramian.

A potem rzekł:

— Możecie mi pokazać ten „kampong“?

— Każdej chwili. Stoi teraz cichy i ślepy. A dawniej, ile razy „tuan“ nocą przybywał, jak duch wędrowała po nim Lintang z różowym światłem. To nadół schodziła dopilnować wieczery, kwiaty w dzbankach poprawić, to znów pojawiała się w oknie sypialni na piętrze, niecierpliwa, spragniona, tęskniąca...

Ramian pociągnął za sobą cały chór.

Poszli, zapomniawszy nawet o pochodniach.

Poszli w ciemność.

Po jakimś czasie Ramian odwrócił się.

Poprzez gąszcz drzew widać było za nim werandę, słabymi ogniami błyskającą i już jakby bardzo oddaloną.

— Dokądże idziemy? — zaputał.

— Ku rzece! Ku rzece! Ku rzece! — odpowiedziało kilka głosów.

Bliskość jej odgadnąć można było tylko po wilgotnem, chłodnem jej tchnieniu, bo dżungla stawała się tu coraz gęstsza i czarniejsza.

Odezwały się odgłosy nagich stóp, biegających i drepcących po dnach drewnianych „sampanów“.

— Tuan! Tu! Tutaj! Tu! Tędy!

Kilka ramion chwyciło go pod ręce i wsadziło do łodzi, która odbiła od brzegu.

Słychać było plusk wiosel i Ramian czuł, że łódź posuwa się naprzód, ale w żaden sposób nie mógł zdać sobie sprawy z tego, gdzie jest. Otaczała go czarna, nieprzenikniona ciemność, w której tylko po prawej stronie u dołu żarzyło się niewyraźne, srebrnozielonawe światło.

Wtem łódź skręciła na prawo i wówczas Ramian spostrzegł, że dotychczas jechał jakby korytarzem przybrzeżnym, osłoniętym najzupełniej zwisającymi z wysoka konarami drzew, gęstemi, splecionymi ze sobą i powiązanymi pnączami. W korytarzu tym otwierały się szerokie wrota, prowadzące na rzekę, zupełnie srebrną od światła księżycowego.

W tę powódź światła wjechały teraz trzy „sampany“, pełne ludzi w „sarongach“ białych kaftanach i w fanastycznych turbanach.

Łodzie jechały cicho, bryzgając tylko wokół srebrnymi kroplami, kapiącymi z wiosł, które budziły w sennych falach rzeki błękitne ognie. Gromady Malajów siedziały lub stały na „sampanach“ w milczeniu. Jedni trzymali się rękami krawędzi kołyszących się łodzi, drudzy podpierali się wzajemnie, ale wszyscy zapatrzeni byli przed siebie.

Ramian jechał na pierwszym „sampanie“ wraz z Allachem Taelą Mudą i młodym Mengiem. Zupełnie jasno zdawał sobie sprawę z tego, iż istotnie jedzie ku swemu przeznaczeniu. Uczucie, jakie zbudziło się w nim na widok przeksiężycowej, czarodziejskiej nocy tego egzotycznego świata, było tak potężne, iż nie marzył nawet o bronieniu się mu i pokonywaniu go tem, co dotychczas uważał za swoją rzeczywistość. Czyż to, co go teraz otaczało, to nie rzeczywistość? Czyż nie jest rzeczywistością jazda po cichej, lśniącej rzece w promienną księżycową, w ten złotawo-modry rzut, kręgiem jasności mieniący się na wodzie? Czyż nie jest rzeczywistością czarny wał przybrzeżnych drzew i wybujałe nad niemi a nieruchome palmy, tak wdzięcznie a melancholijnie przeięte? A może nie są rzeczywistością subtelnie cyzelowane, ciemne twarze Malajów i oczy ich, oczy

ludzi wierzących w to, co czują i mówią, oczy dzieciennie roziskrzone i na wszystko gotowe?

Czyżby istotnie rzeczywistość musiała być zawsze szara, bez wiary, bez miłości, bez żadnego cudu?

— Tu wysiadamy! — odezwał się Meng.

Łódź przybiła do urwistego brzegu.

Malajowie rozsunęli się, robiąc miejsce Ramianowi, który wysiadł pierwszy i pierwszy zaczął iść na ukos w górę po spadzistym brzegu.

Za sobą słyszał ciche stapania bosych nóg.

Wtem stanął, otwarł szeroko oczy — a potem zamknął je.

I znów ciężko, powoli otwarł powieki, ze strachem, jak ślepiec, który, przewidziawszy niespodzianie, własnym swoim oczom nie wierzy.

Rozciągała się przed nim szeroka kotlina, cała w blasku księżyca; w najrozkoszniejszy sposób wysadzana buketami i klombami drzew i roślinności, to znów ozdobiona lśnięciami ornamentami wijących się kręto strumyczków lub też lyskająca szerokimi płaszczyznami wód. Tu i ówdzie tylko jakiś załom czy jakiś klomb gęstszy podkreślał cień, bo zresztą cały ten cudny ogród lśnił nadziemską bielą podczas gdy krzaki i drzewa były srebrno-popielate. Nad doliną rozciągała się pogodna, jasna cisza, przesycona od dołu promienistą świetlistością wód, drgających, zda się, w rozkochanych objęciach księżyca. W głębi widać było góry, wykładane białą światłością, jak połyskującym marmurem.

— Oto ziemia „tuana“ — rzekł Meng przyciszonym głosem.

Ramian zerwał się, aby iść dalej, ale nogi zaplątały mu się w wysokiej trawie i padł na ziemię. Obsypały go rześście wielkie, ciężkie krople obfitej,

zimnej rosy. Ta świeża wilgoć zmyła mu twarz, dłonie, skropiła głowę, w mgnieniu oka przesiąkła lekką tkaninę „sarongu“.

Wstał i zaczął sobie obcierać twarz.

— Tuan płacze! — uśmiechnął się Meng — A może to ziemia jego wita go łzami radości?

Lecz oto w tym jakby rajskim ogrodzie pokazały się domy — jeden, zwykły, choć nie brzydki, biały bungalow europejski, z kitami i pióropuszcami palm na dachu, opodal niego mały, jednopiętrowy domek we wschodnim stylu, ocieniony dwoma olbrzymiami, starymi drzewami.

— Kampong Lintang! — odezwały się głosy

Ale jeszcze dalej, jak przecudowny klejnot, świeciło coś dziwacznym kształtów a czego Ramian odgadnąć nie umiał... Coś niby biały, okrągły hełm z wysokim ostrym grotem... dalej woda i prowadzący przez nią most bieluški, jak z kości słoniowej — i za wodą przerozkosne, jasne majaczenie budynku niby filigranowego, wzniesionego z samych promieni księżycowych — a wszystko to wydzielało z siebie białą światłość, zacierającą tajemniczo kształty i każącą się ich tylko domyślać, wciąż je na nowo, z jasnowidzącego ducha własnego odtwarzać...

— Co to? Co to? — jąkał Ramian.

— Świątynia Buddy! — odpowiedziano nabożnie.

— Czy ona w powietrzu zbudowana? Ziemi nie tyka...

— Stoi nad wodą.

W tem ruch zrobił się między Malajami. Coś sobie szeptem mówili, coś pokazywali palcami...

— Lintang! Lintang! — zabrzmiało kilkokrotnie wymówione imię.

Ramian rzucił wzrokiem w stronę, którą wskazywały wyciągnięte ręce Malajów i ujrzał „kampong“ Lintang a w nim:

Błądzące różowe światelko.

Jak gdyby lampka, w dalekiej ziemi polskiej wieszana przed obrazami świętych, wędrowała po tym domu, lub też jak gdyby biegało po nim roziskrzone, różowe serce ludzkie... Płomyk różowy ukazywał się to w oknach świecących księżycem na dole, to znów wspinał się na pierwsze piętro a w końcu zniknął, aby pojawić się na płaskim dachu, który obchodził jakby obnoszony przez tęskniącą i naprzóżno wyczekującą istotę..

— Lintang! — szepnął Ramian.

Porwał się naprzód.

Smukłe, wężowe ramiona Malajów oplątały natychmiast jego ciało.

— Puśćcie mnie! — szarpnął się Ramian. — Czemu nie pozwalacie mi iść do niej?

— Panie! — błagał go Meng — Pozostań! Nie chodź!

— Nie! Ja chcę iść do niej! Chcę ją zobaczyć! Dość już tej męki! Puśćcie mnie do niej!

— Panie, czy nie widzisz, że światło samo błądzi po domu i że przy tem świetle — niema nikogo?

Ramian stanął.

A potem zagryzł palce aż do krwi.

#### XXIV.

Pierwszy raz Ramian, zamiast siedzieć w mrocznym „hallu“, w swej zielonej łoży, wszedł do baru hotelowego, gdzie było jasno, głupio, trywialnie, ale po prostu, po ludzku i nie tajemniczo. I pierwszy raz usiadł przy stoliku z wesołem i szczęśliwym uczuciem, że bodaj na tej wyspie jest przecie czemś, że wreszcie, mówiąc poprostu, pozwolił sobie w życiu na to, co mu się podobało. Miał majątek byłego Stanleya w kieszeni.

— Niezbyt się znam na tych interesach! — myślał, przypominając sobie fantastyczną, jak dla rolnika polskiego, mapę plantacji herbaty, drzewa gumowego, ryżowych pól i innych dziwnych „zagonów“, nie mówiąc o różnych „sadach palmowych“. — Takiej wsi ani takiej gospodarki jeszcze nie widziałem. Ale ostatecznie, o ile się można w tem zorjentować, to jest bądź co bądź pewna wartość, a choć drogo, zupełnie mnie to jeszcze nie wyczerpało. W każdym razie na tej wyspie już coś mam...

Kazał sobie podać swój ulubiony „cocktail“. Wysoki Singalez z długimi włosami, w które wplecione były białe muszelki, w białym ubraniu i z bransoletami na cienkich kostkach nóg, podał mu na tacy paszteciki z mózdzkiem.

— Please, sir! — namawiał go słodko a dostojnie zarazem.

Ramian omal nie wybuchnął śmiechem na widok tej „białej wieży gościnnej uprzejmości“. Ale zjadł z gustem parę pasztecików, bo mu przypominały Kraków i cukiernę Maurizia w niedzielne przedpołudnia.

— A pod Krzysztoforami, jak zawsze, stoją na rogu tłumy oficerów! — uśmiechnął się.

Stoją — i zawsze stać będą. Dlaczego nie miałyby stać? Cóż jest złego lub nienormalnego w tem, że człowiek żyje najmniejszym swoim wysiłkiem duchowym lub intelektualnym.

— Tacy ludzie z pewnością nie robią głupstw, czują się wszędzie dobrze i nie kupują, tak jak ja, księżycowych widoków...

Zastanowiła go ta myśl.

Księżycowe widoki!

Niema człowieka, któryby nie miał w życiu swem bodaj jednej wymarzonej, księżycowej nocy, jakiegoś srebrnego parku, z którego marzeniem wyszłaby dusza, lub do którego wracałaby w swych podświadomych marzeniach. Dlaczegożby się nie ośmielić i nie kupić sobie marzenia?

Na ścianach baru wisiały podobizny aż nadto przezroczkosznie banalnych piękności amerykańskich z usteczkami karminowemi, rozchylonemi jakby tylko wyłącznie poto, aby pokazać białe, drobne ząbki.

Ramian krytycznie wpatrzył się w te gładkie podobizny.

— Są poniekąd przesadzone! — myślał — ale ani chwili nie można wątpić o tem, że tak pięknie banalne damy w Ameryce znaleźć można. Niema w nich nic, oprócz uśmiechu w wargach i tego szalonego, śkrzącego uśmiechu w oczach. Mogą do szaleństwa doprowadzić najprzystwoitszego lecz wrażliwego czło-

wieka właśnie tą swą pustotą, opartą w rzeczywistości na tym złudnym blasku zewnętrznym. Lalki — są uosobieniem marzenia.\* Dlaczegożby kto inny nie miał prawa oszaleć dla marzenia nieuosobionego? I dlaczego zaraz oszaleć? Czemuzby się to miało nazywać szaleństwem?

Wyszedł, złapał jakiegoś „rikszę“ i kazał się wieźć.

— Dokąd? — spytał „riksza“.

— Wszystko jedno! Gdzieś naprzód, gdzie chcesz...

— Botanical Garden?

— Niech ci będzie „Botanical Garden“...

Zgiął się brunatny, kościsty grzbiet, zaczęły po asfalcie bosa stopy.

Jak się nazywa to widmo, za którym gonię? — pytał się Ramian. — Mieni się wszystkimi barwami tęczy. Jest jak jawański, dwunastobarwny szal. Gra morzem i lazurem nieba, płomienną czerwienią kwiatów i jasną, błękitno-pręgowaną stałą ostrych „kryszów“, bawi ludźmi, w różnobarwnych turbanach podobnych do pstrych tulipanów z holenderskiej grzędę, wiedzie przez pręgowate dżungle palmowe, świeci oczami ludzkimi, podobnymi do drogich kamieni, jak z kadzielnicy rzuca suche, silne wonie, porywa duszę i niesie ją na szlaki księżycowe lub też kusi złotem, roztańczonem zjawiskiem... Niech mi to widmo nazwą Chimera, niech mi powiedzą, że wybawienia z jego sideł niema, że to jest upiór, który ssie mą krew — ja za tą wizją pójdę, bo to jedyna moja wizja, bo to jedyne moje przeznaczenie...

— Czy mają sens te patetyczne tyrady? — zagrzętał któryś z wewnętrznych głosów. — Każdy człowiek broni swego głupstwa...

— A cóż to wy nazywacie głupstwem? — polemizował Ramian. — Co nazywacie mądrością? Mą-

drością waszą żyłem do przesytu, do znudzenia ostatecznego... W cieniu jej wzrosłem, w cieniu jej pracowałem, myślą całą nie oddalałem się od niej ani na krok — i istotnie, całe swe życie spędziłem w cieniu... W cieniu czego? Nie wiem, jak to nazwać, ale poza tym cieniem są ziemie ciepłe, słoneczne i szczęśliwe, są narody wolne, o oczach iskrzących zapalem a wierzących, są światy całe kwitnące życiem bujnem, jak życie dżungli...

— Da się to wszystko aż nazbyt łatwo zdefiniować, kochaneczku! — zrzędził głos mądry. — Uciekasz! Uciekasz od siebie samego, od swych obowiązków, od swego świata, kultury... To — upadek, to — dekadencja...

— Nareszcie jakaś prawda! Tak jest, uciekam, ale to nie upadek! Idę za własnym głosem wewnętrznym, którego nie znacie wy, słuchający rozkazów dzwonów, trąb i ośleń skóry... Występuję z szeregu dla swego snu, — do czego wam brak odwagi. Idę za mrzonką, którą ukochałem, a ci inni niech pozostaną przy swych żelaznych prawidłach i niech sądzą, że one nie są niedorzeczne mrzonkami. Niech wierzą w swe blade sny papierowe i niech im to do życia i szczęścia wystarcza... Będziecie, jak owe małpy w dżungli, ustawione w jeden szereg, a hipnotyzowane przez pytona... Żadna małpa z szeregu się nie wydrze...

— Uciekasz!

— Uciekam? Zdobywam sobie życie! Kto nie ma odwagi, niech zostaje...

Riksza zatrzymał się, opuścił na ziemię drążki swego wózka i pomógł Ramianowi wysiąść.

Ramian wszedł do Ogrodu Botanicznego.

Był to olbrzymi park, pełen przedziwnych, nieznanych, ogromnych drzew i palm. Prawie każde drzewo przypominało jakiś obrazek ze szkolnego podręcznika botaniki, ale Ramian, choć czasami przypominał sobie nawet łacińskie nazwy drzew, niewiele o nich wiedział, a przeto krążył pięknymi ścieżkami, jak wśród obcych ludzi. Zarazem nie mógł się oprzeć wrażeniu, iż dla drzew tych jest również istotą obcą i mało rozumiałą.

— Typowa menażerja! — myślał, przyglądając się roślinom, egzotycznym krzakom i kwiatom.

Ogarnęło go zniechęcenie. Męczyły go długie, równe aleje starych, olbrzymich palm, eukaliptusów, piętrzących swe korony pod niebo, drzew, których korzenie, grube jak pałki, wypuszczane z góry przez konary, wrastały w ziemię, podpierając w ten sposób pnie ociążałe. To wszystko rosło gdzieś w puszczy, w dżungli czy w głębi kraju, na wolności — zaś tu stało uszykowane na europejską modłę, podzielone na grupy, stosownie do któregoś zuczonych szablonów i skazane na cywilizację, z którą nie miało nic do czynienia.

— Byle wszystko ugrupować i sklasyfikować! — uśmiechał się złośliwie.

Szedł tak długi czas, samotny w olbrzymim i cichym ogrodzie, póki nie wyszedł nad ogromny staw, cały pokryty zieloną łuską szerokich liści lotosu. Staw ten obramowany był ze wszystkich stron pasem roślinności, której — prawdopodobnie rozmyślnie — pozostawiono charakter dżungli. Wszystkie rodzaje drzew były tu pomieszane, splątane, skudłaczone i obciążone kajdanami pnączów, ljan i bluszczu. Szeroka, gęsta, potężna rama dżungli grała wszystkimi odcieniami zieleni, począwszy od smug subtelności iście gobelinowej, a skończywszy na pasach ciemnych, nieledwie metalowego, żalobnego połysku.

Widok był przepiękny i Ramian przez długą chwilę stał nad brzegiem stawu, rozkoszując się harmonijną gamą kolorów, pięknem odbiciem nadbrzeżnej roślinności w wodzie, widokiem gęstwy lotosów, podobnych do kry zielonej, wreszcie ciszą, może trochę duszną i parną, lecz kojącą.

Wtem wzrok jego uderzyła ruchoma plama na drugim brzegu stawu.

— Człowiek! — pomyślał. — Ktoby to mógł być?

W gruncie rzeczy nic mu na tem nie zależało, mimo to jednak po krótkim wahaniu skrzył na prawo i zaczął staw obchodzić.

Ruchoma plama szła w jego stronę.

Było dość daleko i było dość czasu napatrzeć się cudownościom cichego stawu w przedpołudniowej godzinie, gdy wielkie, okrągłe liście lotosu, podobne do krągłych tac zielonych, a może szpizowych, lecz patyną okrytych, drząc zlekka na powierzchni wody, rzucały w powietrze całe pęki białych, lśniących refleksów. I było dość czasu nadziwić się skołtunionej dżungli nadbrzeżnej, jak zwolna zasypiała i omdlewała, porażona skwarem przedpołudniowej godziny. Zarazem jednak coraz wyraźniejszym stawał się kształt człowieka, podążający naprzeciw Ramiana. Była to kobieta, dama, w lekkim, mieniącym się, zielonym płaszczu, prawdopodobnie jedwabnym, bo zdala można było zauważyć jego połysk, piękny i głęboki, wpadający w ton szafirowy, jak skrzydła świtezianek. A po jakimś czasie Ramian dostrzegł, iż głowa owej damy jest niby w ciemno-złotej glorii i domyślił się, iż ma przed sobą słodką i piękną Ciss, przyjaciółkę pani Bell. Najwidoczniej zauważyła go i poznała, bo sterowała wprost na niego.

— Jakże się panu wiedzie na naszej wyspie? —  
przywitała go, ściskając mu silnie dłoń.

— Jak na wyspie zaczarowanej!

— To znaczy?

— Ani rusz wyrwać się z koła najpiękniejszych  
zaklęć...

— Czyżby istotnie? A długo jeszcze zamierza pan  
bawić się w zaklętego rycerza?

— Nie wiem. Kupiłem majątek...

— Gdzie?

— W krainie mych marzeń...

— Ładny musi być grunt...

O, moja droga pani! Grunt — to marzenie!

— Dziwnym językiem pan przemawia!

— Ludzkim!

— My tego języka nie znamy.

— Czyżby istotnie, Ciss?

Dwa zielone gromy strzeliły w jego twarz z pod  
długich, ciemno-złotych rzęs.

— O, Stanley! — zadzwonił spiszowo głęboki,  
śpiewny głos.

— Skończmy raz tę komedię omyłek! — uśmiech-  
nął się Ramian łagodnie. — Nie chcę być niczym cie-  
niem. Jestem sobą. Przypuszczam, że jeśli kto tu był  
cieniem, to raczej mój poprzednik...

— Poprzednik! — prawie z przerażeniem wy-  
krzyknęła Ciss.

— Poprzednik czy sobowtór, wszystko jedno —  
ten, który nazywał się Stanley, rozwiął się w mgłach,  
a pozostawił po sobie jedynie niepewność. Jego to  
posądzać mogę, iż był cieniem moim, zapowiadającym  
me przybycie na tę wyspę... On szukał dla mnie, a gdy  
znalazł — odszedł...

— Cóż za szalone rzeczy pan opowiada!

— Szalone! Rozumie się — szalone! Więc niech  
mi pani choć jeden punkt z tej historii wytłomaczy...  
Niech mi pani dopomoże do tego, aby szaleństwo  
ich zgasić... Niech mi pani powie, co cień mój miał  
do czynienia z panią?...

— O, nie, nie, nie! — wykrzyknęła Amerykanka. —  
To pana nie obchodzi!

— A więc — czy ja jestem Stanley, czy Ramian?

Piękna Ciss zmieszała się i zawahała. Potem nie-  
śmiało podeszła do Ramiana, blisko, jeszcze bliżej,  
wreszcie oparła mu na ramieniu dłoń, niemal przy-  
tuliła się do niego i, podniósłszy głowę, spojrzała mu  
w twarz.

Świeciło przed nim dwoje precudnych, jasnych  
oczu, przesłoniętych łzami i błagających pytaniem.  
Zaś koralowe, drżące wargi wyszeptaly:

— Powiedz: Czy ty jesteś Stanley czy Ramian?

Patrzył przez chwilę w te dwa lśniące łzami, na-  
dzieją i niepokojem światy jasne. Patrzył w nie tak  
długo, tkliwie i z takim ludzkim zrozumieniem, że  
mu samemu oczy łzami nabiegły. Już pochylił się nad  
nią, skuszony rozchylonym, koralowym kwiatem jej  
drżących warg, ale powstrzymał się i, odsunawszy ją  
łagodnie od siebie, choć wzroku od jej oczu nie od-  
rywał, rzekł cicho:

— Nie, pani! Nie jestem Stanley! Przybywam  
z dalekich stron i nikogo tu nie znam!

— Więc czego szukasz?

— Widma złotego! Widma, które zaklęciami swemi  
ściągnęło mnie tutaj i które w rękach swych trzyma  
me serce.

— O czym pan mówi? O kim?

— Pani zapewne słyszała to imię?

— Imię? Jakie imię?

— Lintang!

Piękna Ciss osłupiała.

— Być przecie nie może, abys znał ją, a mnie nie znał!

— Jej także nie znam...

— A więc?

— Poszukam... I znajdę...

— Skąd wiesz o niej?

— Mówiła mi o niej noc. Mówili mi o niej ludzie, spotykani po drodze... Śpiewało mi o niej morze... Szeptalo mi o niej serce...

— Obłędne żarty, obłędne! Panie, odejdz pan, proszę...

Ramian skłonił się, odwrócił i odszedł...

— Stanley! — usłyszał wołanie za sobą. — Stanley! Wróć!

Przystanął.

— Nigdy nie wróć! — odpowiedział łagodnie, prawie pokornie. — Idę za własnym losem.

## XXV.

Prawie całe pół dnia przesiedział Ramian nad brzegiem Morza Srebrnego. Naprzód na samotnej ławeczce pod pociętymi, wykręconymi palmami, zaparty w morze nieskończone, zasłuchany w potężny rytm rozkołysanego życia, do głębi duszy przejęty jego tragicznym osamotnieniem. Nie oglądał się poza siebie, nie chciał widzieć ani miasta, ani tonących w zieleni bungalowów, ani ogrodów, ani bogatych plantacji palm kokosowych, nie chciał widzieć ludzi ani białych, ani brązowych, ani żółtych. Nawet od piasku pod swymi stopami odwracał oczy, całą duszą obcując wyłącznie z morzem, samotnym, jak i on. Nie bronił się jego smętkowi, oddał mu, powierzył myśl swoją duszę i serce. Na brzegu, na ławeczce, pod pociętymi, wylamanymi palmami o rozwichrzonych, zielonych czuprynach, pozostało tylko nikłe, nic nie znaczące, słabe ciało, we śnie czy w majaczeniu pogrążone. Dusza człowieka unosiła się nad samotnością i pustkowiem morza, jak ono nieobjęta, niezmierną i zeniąca osamotnienie swe z pustynną nieskończonością Oceanów. Było to uczucie nad wyraz bolesne, prawie druzgocące, równocześnie jednak dawało coś w rodzaju posmaku wieczności. Świadomość rozplywała się i wsiąkała w szum srebrnego przestworza, myśli zrywały się i odlatywały, niby ptaki, za krzyczącymi mewami, wspomnienia gasły i niknęły, jak światła dalekich latarni morskich na oceanach już na wieki wieków prze-



bytych i ku którym nie wiedzie żaden szlak powrotny w duszy robiło się coraz ciszej, spokojniej, nieledwie martwo. Niczego się już nie chciało, niczego nie było żal. Ot, gniewało tylko, że czasem pojawiła się na falach łódź malajska z czarnym, wydętym żaglem. Poco te cienie? Czyż nie śmieszne?

Gdy słońce zniżyło się ku zachodowi i rozpalilo w morzu uroczysty wielobarwny akord majestatycznej pieśni wieczornej, Ramian ocknął się z zadumy. Drażniło go to nabożeństwo wieczorne, ta jakaś „suma“ słoneczna, zbanalizowana tyłowiekowymi zachwykami. Pragnął swojej modlitwy dla siebie, nie chciał klepać pacierza za panią-matką. Zniecierpliwiony, spojrzął na zegarek. Koło siódmej. Pora wstać, wracać do hotelu, przebrać się i zejść na obiad... Między ludzi. Między plantatorów, bankierów, kupców, znudzonych urzędników i przypadkowych gości z obcych statków. Nie. Lepiej zostać tu.

Ale postanowienie to nie uspokoiło go. Czuł, że na tem nie koniec, że to nie jest odpowiedź na pytanie, które się w nim zbudziło, które się tak naraz odezwało. Nie potrzeba było przecie wyciągać zegarka na to, aby się przekonać, iż pora obiadowa nadeszła. Zawsze podawano obiad po zachodzie słońca, z nastaniem wieczoru...

— Ach, jeśli o to tylko idzie, to tem lepiej! — uspokoił się Ramian. — Jeszcze czas, jeszcze bardzo dużo czasu!

I znowu w nim ucichło.

Patrzył na różnobarwne pręgi, świecące na morzu, patrzył na niebo, mieniące się i świetne. Zapomniał o wszystkim, siedział prawie bezmyślnie, w tępem odrętwieniu, jak człowiek, który wie, że coś bardzo ważnego za kilka godzin nieodwołalnie

stać się musi i wszystkie siły w sobie do tego czynu zbiera, przez tych kilka godzin jednakże nie ma zupełnie nic do roboty. Wszystko jedno, czy czeka tu czy tam, czy robi co, czy nie — niczego nie przyspieszy i niczego nie powstrzyma. Niewątpliwie nastąpi zmiana — ale w tej chwili człowiek wisi między przeszłością, która już umarła, a przyszłością, która się jeszcze nie narodziła. Więc nie ma życia.

Słońce zaczęło z wolna przygasać i tem barwniejsze wykwitwały z nieba akordy, tem cudniejsze rozwieszały się w powietrzu tęcze, zlewające się stopniowo w jedną wielką zorzę, świecącą wszystkimi odcieniami złota. Po pewnym czasie zorza ta przygasła, pożerana z góry przez noc, wreszcie pozostał nad morzem tylko wąski, złocisto-cytrynowy pas gorejący. Tragedja słoneczna rozegrała się w przeciągu kilkunastu minut. Było to jakby ktoś na zachodzie rozpalil olbrzymi stos ze wszystkich ogni całego świata. Stos spłonął, runął, zawałił się, po przepychu ofiarnego ognia pozostało tylko blade, nikłe lśnienie, bezsilne i nie mogące powstrzymać naporu ciemności.

Nareszcie zapadł zmrok, krótki, zsuwający się na ziemię szybko, niby spadająca z niebios gęsta, czarna kurtyna.

Natychmiast wzburzyło się i zakotłowało morze. Ciemne teraz, białemi, zimnemi blaskami chłodnie pływające. Zerwał się szum zgiełkliwy, niezgodny, buntowniczo szczękający rytmami, łamiącymi się w gniewem, groźnem poruszeniu. Fale warczały, jak złe psy, Świsnęły w ciemnościach wicher. Zrobiło się chłodno, ciemno, ponuro.

— Jesień! Jesień! — westchnął Ramian w duszy.

Tensam posępny smutek obumierania, tensam dławiący ciężar na duszy, takie same drogi ledwo biele-

jące w ciemnościach, takiesamo zawrozczenie wicher  
i tosamoboleśnie tłumione łkanie w duszy. A morze  
szumi nie inaczej, niż targany wichurą las.

Długa, spieniona, cicha fala, podobna do olbrzymiej łapy kosmatej, z nieopisaną szybkością wprawdzie wyciszając, na ląd. Powiało od niej zimno, zerwał się chłodnej, mokrej, słonej mgiełki. Fala mlaśnie język, i uciekła, ale przez dłuższy czas słychać na piasku syk ściekającej wody.

Ramian wstał. Nieswojo było mu w tem miejscu i zbyt dziko, zbyt ponuro.

Spojrzał na zegarek.

— Jeszcze czas! Jeszcze nie pora!

Szedł biegiem morza ku miastu.

Szum fal ukołysał go, wprawił w napół przytomny stan rozpamiętywania i wspomnienia. Nie mógł obronić myśli, że oto wieczorem jesiennym na brzegiem lasu. Jest ciemno, jak teraz, bardzo smutnie o zasnućte chmurami, nigdzie ani gwiazdki, ciemna pustka obumierania, konająca cisza pół... A las tragażnym, głębokim tonem, wielkie, czarne kłody drzew chwieją się na wszystkie strony, z ciemności lasu coś woła, coś wzywa... Gdzie światelko w ciemności oświetlone okno chaty ciepłej, bezpiecznej od wicheru, zimna i nocy, gdzie przystań?

Mimowoli myśl ucieka w przeszłość. Przed oczami przeczają znowu lata minione. O, niema się poco przy nich długo zatrzymywać. Idą szybko długim, szarym szeregiem, zmęczone, smutne, pełne rezygnacji. Szukają między nimi choć jednej twarzy swojej — niema. Niema nikogo. Wieczna samotność. Nie wezmą się lata za ręce. Każdy rok idzie sam, nie dbając o poprzednika, nie oglądając się za siebie. Trzysta sześćdziesiąt pięć kroków — każdy w inną stronę, jeden naprzód, drugi

stecz, wędrówka w kółko lub pijanym zygza-  
kiem...

— Domyśl się, o morze, ogromu mojej samotności, domyśl się! — woła Ramian w duchu.

Nie! Ono się nie domyśli. Ono było, jest i będzie samotnie, Ramian sobie, od początku istnienia...  
Pomysł obito się jakoś jaśniejszy. W jednym miejscu czarne nabrzmiało bladym światłem, pod którego działaniem chmury zaczęły się zwolna kruszyć. Aż uczynił w nich wylom, głęboki, daleki, niby milowy olbrzymi wąwóz o urwistych, spadzistych ścianach oślepiająco białych, niepewnych, zmiennych, wąwóz wychodzący z niezgłębioną otchłań szafirową. Gdzieś, niedaleko otchłani, migotała mała, srebrna gwiazdka. Po jakimś czasie wąwóz obłoczny rozszerzył się, a jedna jego strona rozżarzyła się silnym, złotawym blaskiem. Wask ten potężniał w oczach, rozprzestrzeniał się, niała obie ściany wąwozu, tak że lśniły, jakgdyby z masy perłowej, aż wreszcie w wylomie wśród mur, na ciemno-szafirowej tarczy stanął jasny, wielki słońce. Niby z olbrzymiego reflektora trysnął z góry jasny snop silnych, ukośnych promieni, przełamujących ciemny chmur i prześwieclających je nawskróś, jakby w poszukiwaniu kryjącego się w ich gąszczu zdradliwego wroga. W tej chwili zajaśniało bladym uśmiechem morze, zaświeciła ziemia i widać było palmy kołyszące się, w ziemnych pokłonach ugięte. Światło rozprószyło ciemności.

Trwało to jednak krótko, bo oto znowu ścignęły się brzegi obłocznego wąwozu, kir zasnuł księżyc, jak sieć pajęczka złotą muchę, ciemność padła na świat, morze wrzasnęło, a powietrze aż zawyło od wicheru. Zrobił się w niem dziwny ruch. U dołu skakały blade połyskujące, widmowe fale, nad nimi wyły jakby

chóry, unoszące się w powietrzu. Słysząc było choralną, patetyczną deklamację i rzewne, liryczne skargi poszczególnych głosów, ni to jękliwy krzyk mew, krążących nisko nad wodą. Wicher dął wciąż, grając na powierzchni jak na wielostrunnej harfie. Wyjące ciemności zaludniły się bladymi duchami. Zerwały się widnia dawno zapomnianych Ludzi Morza, brązowych piratów, którzy zginęli w szale walki, podcinani ulewą kuli, krwawi w blaskach pożaru płonącego statku. Zakwiliły duchy włóczęgów morskich, co, porzuciwszy swe milczące wyspy dalekie, wypłynęli na morze, aby szukać nowej ojczyzny i przepadli w przestworzach, porwani przez tajfun lub wytraceni pragnieniem i głodem. Odezwały się dusze tych, co pomarli samotnie, przyczepieni do belki z rozbitego okrętu i nadaremnie wzywając pomocy dalekich milionów bliźnich. Krzyczała w wicherze trwoga, wrzeszczała szła, wyla rozpacz, jęczała męka, szatańsko śmiał się obłęd, gwizdało szderstwo.

Świecąc swem białym ubraniem w ciemnościach siedł Ramian wciąż brzegiem morza, ścigany jego muzyką, płoszony przez fale, groźnie wtaczające się na płaskie wybrzeże, obryzgiwany słońcą, zimną mgłą.

Był już blisko miasta.

— Wracać do hotelu?

Zapewne. Należałoby już wracać. Cóż za sens ma to wałęsanie się nocą, w ciemnościach..

Zapałił benzynową zapalniczkę i spojrzął na zegarek.

— O, jeszcze dużo, dużo czasu!

Wpatrzył się w morze.

— Tak, tak, trzeba iść, trzeba wracać.. Tam czeka suche, ciepłe ubranie, świeża bielizna.. Świecą w białych mankietach złote spinki z małymi szafi-

ami.. Na stole kwiaty, dokoła abażuru i wzorzystego jedwabiu latają ćmy...

Zaś morze rozkołysane gra wciąż, takie patetyczne, takie posępne, takie wielkie...

Osunął się na ławkę i oparł głowę na dłoni.

— Obumieranie — naturalnie. Życie rodzi się ze śmierci. W przeciągu paru godzin widziałem skonów kilka. Zmarł przy mnie dzień, skoła zorza słoneczna, narodził się i znowu umarł księżyc. Ile skoła we mnie? Ile razy umierałem i rodziłem się znowu! Feniks, Feniks odradzający się z własnych popiołów, Feniks, który umiera dobrowolnie, aby uzyskać przemianę! Płonął na zachodzie złoto-szkarlatny stos słoneczny. Widziałem, jak dusza moja w milczeniu wstąpiła nań i zgorzała, spłonęła do cna. Dlatego milczę i czekam za bramami miasta, wśród widm i nocy, w ciemnościach i wicherze. Czekam na nowe nawiedzenie.

Drgnęło w nim serce z niepokoju i lęku.

Rozważał:

— Trupa należy wynieść z domu i oddać ziemi, powietrzu, słońcu, ptakom i zwierzętom, aby nic umarłego nie zatruwało życia. Jeśli w duszy mej zostało co z przeżyć umarłych, nowe moje życie będzie zarażone zgnilizną i śmiercią. Byłoby to męką dla mnie, grzechem wobec życia.

Pochylił się jeszcze bardziej i tak, zgięty prawie w pół siedział dłuższy czas, wsłuchany w siebie, zapatrzony we własną głębię.

Nie było tam nic.

Cmentarz milczący i ciemny, cmentarz tak doskonały, że wykluczał nawet możliwość budzenia się upiórów, trumna, pełna prochów, nad którymi już dawno połamano świece i pokruszono tarcze.

Aż się przeraził tej swojej nicości.

— Wszystko przeżyte, wszystko wyczerpane, wszystko pogrzebane. Nie jestem człowiekiem żywym, lecz chodzącą mumią.

Ale w tej chwili coś się w nim zbuntowało.

Zgłębokich ciemności duszy, jak pantera z mrocznej dżungli, śmiało wybiegła myśl zdobywczą, silna, odważna, nie lękająca się niczego. Jasnemi, złotemi oczami zmierzyła świat. Kto powiedział, że wszystko jest już skończone? Nic się nie skończyło, póki trwa bój — a bój trwa. Kto się poddał? To, co minęło, umarło zwykłym porządkiem życia. Bledną i więdną tak samo szczęśliwie, jak i nieszczęśliwie dni, kwiaty i osty. Śmierć wiecznie drepce tuż za życiem. Ile jest przemian w człowieku — któż to wie i któż odgadnie? Kto może sprawdzić wszystkie jego wcielenia? Zwycięski, uwielbiony wieczorem wódz, nieraz nad ranem budził się żebrakiem pod płótem, podczas gdy nędzarz, tarzający się w prochu gościńca, wywyższony zasiadał w świetności złotych sal. Szczęście, jak kwiat, ginie jesienią, rozkwita na wiosnę. Kto powiedział, że wiosna nie przyjdzie, jeśli są kraje, z których nigdy nie odchodzi? Są też serca wiecznie kwitnące, są dusze wiecznie słoneczne...

Ramian podniósł głowę i uśmiechnął się.

— Oczywiście. Niema nic strasznego — byle w danym razie nie bać się postawić wszystkiego na jedną kartę.

Więc on — postawi!

Dreszcz w nim wstrząsnął.

Czyż już nie postawił — na ślepo? Kości rzucone. Cofnąć się — znaczyłoby — przegrać wszystko. Grać dalej... dalej? O co? O zmorę senną, o przywidzenie, o tajemnicę? Dość szaleństwa, dość obłą-

kania, dość tego poniżenia! On, człowiek rozumny, człowiek „biały“, uganijający się za widmem! Czy mało jeszcze tej choroby, tego wałęsania się po pustkowiach, udawania drugiego człowieka, błędzenia niby w jarmarcznym labiryncie zwierciadlanym, gdzie człowiek cień swój bierze za siebie samego?

Trzeba się zdecydować.

Wstać i odejść. Wrócić między ludzi, w swój świat!

Znowu sięgnął po zegarek.

— Jeszcze nic pilnego! Jeszcze czas, bardzo dużo czasu.

A właściwie — poco i do czego się śpieszyć? Cóż to on ma zrobić tak ważnego, nieodwołalnego, niecofnionego? Powiedział sobie, że dziś pójdzie do dzielnicy krajowców. Setki „białych“ chodzą tam co dzień i nikt nie robi z tego tragedji. Jemu na samą myśl o tem serce zaczyna gwałtownie bić. Dobrze, spodziewa się, że tam właśnie „ona“!... I to dobrze, widać, ile jeszcze ma fantazji, świeżości uczucia, dziecięcej naiwności, ile w nim jeszcze tkwi młodocianego romantyzmu — ale też na tem koniec. Jak można przypuszczać, że oczywiście dziś, na pierwsze zawołanie, w labiryncie uliczek i wśród tysięcy ludzi znajdzie ową Lintang, której nigdy nie widział, której nie zna i nie wie, jak ona wygląda! Lecz gdyby nawet ją znalazł, gdzież powiedziano, że musi się stać i wypełnić to jakieś „niecofnione“, „nieodwołalne“? Przecież to śmieszne!

— Najzupełniej śmieszne! — powtarzał sobie w myśli Ramian.

Ale nie śmiał się.

Przeciwnie. Dławił go lęk i niepokój tak silny,

że naraz ziewnął głęboko i przeciągnął się, aż kości zatrzeszczały.

Bo co będzie, jeśli nikogo nie znajdzie, lub też jeśli znajdzie nie to, czego szukał? Co będzie, jeśli istotnie niema nic? Jeśli ten świat jest pusty, bez kwiatów, bez uśmiechu, bez dobrego słowa? Jeżeli to tylko pogoń za widmem nieistniejącem? Jak się to stało, że on mógł dopuścić do podobnego szaleństwa! Ależ tak, z całą pewnością, ani chwili nawet wątpić nie można — to urojenia, to obłąd, to gorączkowe majaczenie! Tu musi przyjść katastrofa, dusza musi runąć, zawalić się, rozsypać się w drzazgi...

Zawrócić!

Wracać! Wracać do hotelu, między ludzi.

A potem co?

Hume and Phips Limited — czekają!

Tak samo łatwo o partję „bridge“a lub pockera!  
Jest poco żyć na świecie, jest, niema obawy...

— Katastrofa! — rozmyślał Ramian. — A kto wie, czy ta katastrofa nie jest jedyną zbawienną koniecznością... Ale czego się można po niej spodziewać?

Nie umiał znaleźć odpowiedzi na to pytanie; teraz jednak czuł, że dłużej już nie zdoła bronić się tej wewnętrznej sile, która pchała go w jakąś tajemniczą, nieodgadnioną awanturę. Mógł jeszcze wmawiać w siebie, co tylko trzeźwy rozsądek był mu w stanie podsunąć, ale wiedział, iż opór jest daremny. Tam, w głębi duszy, sprawa była już rozstrzygnięta... Wstanie i pójdzie szukać.

Znowu się przeciągnął długo, aż do bólu. Miał chwilami dreszcze — z tremy. Takie same dreszcze jak przed maturą, przed pierwszym pojedynkiem, przed pierwszą dziewczyną...

Zapalił dla uspokojenia się papierosa i spojrzął na morze.

Dokoła niego było ciemno, ale daleko na lewo światło księżycowe przedarło się przez chmury i oświetliło część morza i wybiegający w nie półwysep. W białem świetle widać było pierzaste palmy, kłaniające się wichrowi i wymachujące tajemniczo wielkimi liśćmi. Tuż nad morzem stała chata malajska, zbudowana na palach, z których kilka tkwiło w wodzie. Wyglądała jak wielki, przedpotopowy zwierz, stojący w morzu po kolana. Z za półwyspu wysunęła się długa, czarna barka malajska z wydętym, szerokim żaglem. Kołysząc się gwałtownie, z trudem podążała na pełne morze, które pieniało się i burzyło dokoła, podobne z daleka do kipiącej wody.

Ramian na ten widok zapomniał o wszystkim. Myślał, dokąd płynie ta barka czarna, porzucająca spokojną przystań w noc burzliwą, co wiezie? Jakby widział na pokładzie jej smukłych, wysokich żeglarzy w zniszczonych wodą morską „sarongach“ i w brudnych turbanach, z pod których patrzą oczy migdałowe, niby kobiece, prawie zamglone słodyczą, a przecie dzikie, okrutne i pyszne, jakby słyszał dudniące stąpanie bosych stóp po deskach i pieśń melancholijną, molową, na końcu każdej frazy dziwnie rozciągniętą. Prości, półdzyki żeglarze, półnaczy, ubodzy nomadzi morza, żyjący garścią ryżu i opluwający pokład czerwoną śliną żutego betelu — lecz każdy z nich umie setki korsarskich pieśni, widział wspałość Bombaju i martwą samotność czarnych, mętnych, nieznanych rzek na dalekich wyspach i każdy marzy o tem, aby choć pod koniec życia znaleźć się w Świętym Mieście w tłumie pobożnych pątników...

Barka odrywała się z wolna od lądu i wysuwała się na pełne morze.

Zaś Ramian patrzył i patrzył. Widział kołyszącą się, czarną sylwetkę barki w małym, srebrnym kręgu światła — zupełnie jak na ilustracjach książek dla młodzieży. Gdzieś taką barkę już widział — i nieraz nawet. Tak, to było dawno, bardzo dawno... Miał wówczas swój własny stół z przytwierdzoną do niego ławeczką — jak w szkole. Nie było to bardzo wygodne — siedziało się na tej ławeczce, jak w dybach, nie można się było poruszyć, ale kiedy się dzieciak zaczytał i skostniał, siedział jak obandażowany. Tam na tej ławeczce, odbył swe pierwsze, największe podróże, tam czytał, jak Malajczycy z kryszem w rękach rzucają się na tygrysa, jak żyją w chatkach budowanych w wodzie na palach, jak wciąż wędrują po morzu... Pierwsze, co w życiu zapamiętał, pierwsze, co siłą wzroku swej duszy zobaczył, patrząc poprzez mury miast i łańcuchy gór, to był ten właśnie świat wysp wiecznie tajemniczych, wiecznie kwitnących, wiecznie uśmiechniętych i wieczną poezją owianych.

Ramian siedzi, wpatrzony w rysunek w „Przyjacieliu Dzieci“. Biały krąg, a w nim widać cypel półwyspu zarosły palmami i sylwetkę barki, z trudnością skaczącej z fali na falę. Zmrok zapada, ciemno się robi, zmęczone czytaniem oczy zachodzą łzami. Dokąd jedzie ta barka? W podróż daleką do nieznanych wysp... Ach, jakbym ja chciał!...

Miękka dłoń dotknęła zlekka ramienia dziecka, a znany, słodki głos zaszeptał:

— Już czas, już czas! Trzeba już iść!

To matka!

Ramian ocknął się.

Matka! Ach jak to już dawno!...

Księżyc znowu zgasł. Morze szumiało.  
Ale czyjaż to dłoń spoczywa na jego ramieniu?  
Obejrzał się.  
Przewidzenie! Niema nikogo.  
A zupełnie wyraźnie czuł delikatne dotknięcie  
czyjejś miękkiej dłoni.  
Zerwał się i szybko ruszył ku miastu.

## XXVI.

Zimny, przejmujący wiatr — raczej przeciąg leciał, podobnymi do korytarzy kamiennych, ulica dzielnicy europejskiej, tak, że Ramian szczerkał bami — z zimna, a także i z tremy, z wewnętrznego wzruszenia. Ale, choć ręce miał prawie skostniałe, paliczki paliły go; był jak w gorączce.

Dzielnica europejska była już cicha i pusta. Wielkie lampy łukowe samotnie i cicho żarzyły się białym martwym blaskiem, otulone ciemnym, miękkim akasmitem nocy. Ale zdaleka wciąż dolatywały stłumione, lecz mimo to bujne odgłosy niestrudzonego życia dzielnicy krajowców.

Ku niej kierował się Ramian. Od czasu do czasu oglądał się za siebie niespokojnie, jakby obawiając się, czy go kto nie śledzi. Ale sztywne, twardym asfaltem wyłożone ulice o bezdusznie prostych linjach i twardej kantach, spały swym prozaicznym snem bez marzeń. Nikt za nim nie szedł.

Powoli zniknęły ciężkie, kamienne gmachy, z kolumnado-białymi od lamp łukowych fasadami, z których czarne, wklęsłe portyki patrzyły ponuro, jakby wpadły w jamy oczne. Zato coraz częściej pojawiały się figury, napozór ciemne i obdarte, w rzeczywistości niefrasośliwe i wesoło pomykające bosymi stopami w ciemną noc. Wreszcie w oddali błysnął jasny punkt, migocący ognikami wędrujących światełek.

Była to brama, wiodąca do dzielnicy krajowców, żywna, oryginalna brama-drzewo, utworzona z dwu rozgałęzień ogromnego, rozkraczonego przez całą szerokość ulicy kolosa-pnia, wewnątrz wydrążonego a sklepionego niemal ostrołukowo. Czy wydrążenie to było sztuczne, czy naturalne, Ramian nie wiedział i nie pytał o to, pełen podziwu dla olbrzyma, który nad tą wysoką a szeroką bramą dźwigał niebosiężną wieżę z zielonej i bujnej zieleni, rozrastającą się w potężną kolumnę, ocieniającą kilka sąsiednich domów.

Kiedy się zbliżył do tego drzewa-olbrzyma, widzącego jakgdyby na pograniczu dwóch światów, uderzył go tajemniczy, cichy niby a przecie niemal przerażający swą mocą szum setek tysięcy liści. Ledwie drżały na wietrze, ale było ich tyle, że z drzewa leciał huczący, chaotyczny gwar niezliczonych głosów, mówiących tysiącami niezrozumiałych języków. Żywa wieża zieloności, u dołu popielata i połyskująca białymi, zimnemi refleksami światła lamp łukowych, wyżej czarna, o gąszczu nieprzeniknionym, zlewającym się w jedno ze zwieszającemi się u wierzchołka drzewa chmurami, jęczała skargą, huczała gromem, warczała groźbą, straszyla mnogojęzycznym, złośliwie chichoczącym szumem dygocących liści. Ale brama w jej pniu była jasna i pełna iskier złotych, świateł i barw ciepłych, jakgdyby za nią znajdował się świat pogodny, wesoły i bez troski, świat niby lepszy, ożywiony nowemi nadziejami, kuszący nowemi obietnicami.

— Florjańska brama w malajskim stylu! — uśmiechnął się Ramian.

Nie było tu wprawdzie kapliczki, ale pod ścianami tej oryginalnej bramy siedzieli żebracy, nadzy, brzoźwi, wychudli, z ramionami jak patyki, z wystającymi żebrami i żalospniami, czarnymi oczami, pełnemi

bólu a głębokimi jak studnie. Ramian rzucił im parę małych pieniążków srebrnych, za co obsypali go dziełkami i czynieniami w kilku językach naraz.

Minąwszy bramę, stanął.

Drzewo rosło na małym wzgórcu, z którego widać było cały plac i kipiące na nim życie. Na wszystkich strony uwijali się kupcy z małymi, przenośnymi kramikami, nad którymi płonęły żółte płomyki wyczyszczonych starannie żarówek elektrycznych. Laleczki, półgoły i bosi obdartus, mający za cały strój niebieskie, szerokie majtki i niosący na płaskim koszu kilka zakurzonych bananów i parę pomarańcz, przyświecał sobie żarówką. Taksamo „jasno oświeceni“ byli żółci lub brunatni riksze, których wózeczki, w ciepłym, złocistym półmroku do pajaków podobne, zaglądały przez przechodniom w oczy dwojgiem oślepiająco jasnych, aroganckich oczu elektrycznych. Blade dymy unosiły się nad skwierczącymi od tłuszczu blachami małych, niskich kuchenek przenośnych, przy których w kuczki siedzieli malajscy kucharze. Niby na odpuszcie, krążyły tłumy dokoła straganów, pełnych najróżniejszych owoców, podczas gdy dalej z fantazją rzępolili i hałasowali poważni muzykanci chińscy, strojni w różnobarwne, pięknie haftowane chałaty jedwabne, obojętni i głusi na gwałtowną klótnię, jaka wybuchła o parę miedzaków między młodym Malajem a żółtym, łysym i starym, prawie nagim naprawiaczem sandałów, zbiedzonym szewczyzną, który tuż obok rozłożył na ziemi swój warsztat. Zaś wszystko tonęło w brunatnym, ciepłym zmierzchu, rozświetlonym migotaniem mnóstwa żółtych iskier, których blask przesłaniały snujące się wciąż tam i napowrót czarne cienie.

Ramian uspokajał się zwolna.

Było tu znacznie cieplej, niż w dzielnicy europejskiej.

ośmieliłem się pomyśleć coś podobnego. Ty nie zapomirasz... Salem aleikum, tuan, salem aleikum, Mata ari...

— Aleikum salem! — machinalnie odpowiedział Ramian.

A potem dodał:

— Nie gniewaj się. Pamięć moją zaciemniła choroba. Bóg w duszy mej zgasił światło wielu dni. Nie pamiętam imienia twego.

— Hadzi Jussuf ben Abdulla! — odpowiedział łagodnie głos — Hadzi Jussuf ben Abdulla! — powtórzył jeszcze raz z naciskiem.

— Hadzi Jussuf ben Abdulla! — niepewnym głosem wyrecytował Ramian.

Nie, nic mu to imię nie mówiło.

Krew uderzyła mu do głowy, ogarnęło go gniewne zniecierpliwienie. Wciąż błądzi w ciemnościach, wciąż uderza o coś głową, wszędzie tajemnice, na każdym kroku zagadki... Żachnął się, podparł brodę pięścią i siedział tak w milczeniu, końcem trzewika stukając w stopień, zapatrzony w noc.

— Jednakże — zapomniałeś! — z łagodnym smutkiem mówił dalej głos. — Ciężka musiała cię dręczyć choroba, skoro nawet moje imię zatarała w twojej pamięci. Lintang jest moją córką, Selim wnukiem...

— A! — westchnął Ramian — Więc to ty!...

— Czekamy na ciebie już nie pierwszą noc... Ona tam, w domu, ciotki Fatme, ja tu, na stopniach meczetu... Byliśmy w górach.

— Kto wam powiedział, że ja przyjechałem?...

— Nikt. Byliśmy w górach, dokąd udaliśmy się zaraz po twym zniknięciu, panie. Ha-i! Ha-i! Nie-



odgadnione są drogi białego człowieka! Dlaczego nie zaufałeś mi, dlaczego nie powiedziałeś? Kiedy zrozumiałem, że wyjechałeś, w serce moje jakby piorun uderzył! Nie spodziewałem się tego ciosu, ja, stary człowiek, spragniony spokoju i który tyle mam burz za sobą. Ale Bóg jest miłosierny! Więc — byliśmy w górach, ja zmiażdżony, z oczami przesłoniętymi czarną chmurą bolesnego zawodu. Lintang smutna trochę, lecz ufna i mocna wiarą. Myślałem, że wtajemniczyłeś ją w swe sprawy, że ona wie, jak, czemu i dokąd wyjechałeś. Przekonałem się później, że tak nie było. Codzień mówiliśmy o tobie. Niezbadane są to rzeczy! Nie mogła mi nic bliższego powiedzieć, a jednak wiedziała to najważniejsze.

— Co wiedziała?

— Że zaciężyła na tobie dłoń Allacha i że poszedłeś w świat, sam napół obumarły, na poniewierkę włóczęgi skazany, że jednak nie zapomnisz i wrócisz uzdrowiony.

— Tak w głębi duszy myśli i wierzy każda opuszczona i zdradzona dziewczyna! — rzucił sucho Ramian. — W tem nie widzę nic niezbadanego ani nadzwyczajnego.

— Myśli i uczucia twoje, panie, zatrute są jeszcze ślepą złością i niewiarą twego świata! — ciągnął miękki dźwięczny głos — Świata, który sam znienawidziłeś. Lintang wiarą swą żyła. Dzięki niej nie zgasły rumieńce na jej twarzy, dzięki niej mgła smutku nie zaciemniła blasku jej oczu, dzięki niej nie wygasła w jej sercu miłość ani radość. Twój Selim był sierotą bez ojca przez tyle lat a jednak chodzi jak małe bóstwo, zdrów, uśmiechnięty, mocny i wesoły, opróżniony szczęściem. Nie był sierotą, bo ojciec jego wiecznie żył w sercu matki. Zaś ona wiedziała,

że ty, panie, wrócisz. Od pierwszego dnia mówiła o tem i — nie zawiodła się. A teraz słuchaj:

Głos umilkł na chwilę i było zupełnie cicho. A potem znowu popłynęło opowiadanie, prawie recytowane miękkim, melodyjnym basem, niby ballada, śpiewana przez wiolonczelę.

— Będzie temu więcej niż dwa miesiące... Lintang zaczęła naraz widywać morze... Widziała je w snach, widziała je w biały dzień przed sobą, szum jego fal wciskał się do każdej jej pieśni. Była jakby opętana przez morze i coraz wyraźniej zaczęła wtedy widzieć ciebie. Bo był czas, kiedy zniknąłeś jej z oczu w ogromie świata i dalekich miast. Mówiła mi, że czuje twe serce przy sobie ale nie może się ciebie dowołać, nie może myślać do duszy twej trafić. Widowała cię czasami we śnie, ale to było rzadko. Lecz kiedy w sercu jej zaszumiała pieśń morską, stanąłeś znowu przy niej. A ja — wierzyłem jej słowom, bo my jesteśmy Dziećmi Morza i nawet w głębi wyspy, w górach, skąd morza nie widać, chaty nasze zbudowane są na palach, jak na wybrzeżu morskiem... Czemużby dziecię nie miało zrozumieć tajemnej dla drugich mowy ojca?

— Śmieję się, panie! — mówił dalej niewidzialny Hadzi Jussuf ben Abdulla — Możesz nie wierzyć! Wy, biali ludzie, macie siłę i moc niewiary, dlatego zbrodnia przestała być między wami zbrodnią a jest tylko waszym sposobem panowania nad światem. Śmieję się, panie, ale powiem ci, iż oddawna już obcujesz i przebywasz z nami.

— Nie rozumiem! — bąknął Ramian.

— Gdy błękitny uśmiech morza błysnął w snach i pieśniach mej córki, przyszła do mnie i powiedziała mi: — Mata-ari wschodzi na niebo mego życia...

— Co znaczy „Mata-ari!“? — przerwał Ramian.

— Zapomniałeś? Słońce! Takie imię nadała ci gwiazda twoja, Lintang — Mata-ari! Byliście związani ze sobą jak dzień i noc, słońce i gwiazdy. Więc wówczas ona przyszła do mnie i powiedziała mi, że ty, panie, wracasz. I od tej chwili szczęściem i radością znowu rozkwitły jej oczy, zaś ty — dawałeś wciąż znać o sobie.

— Jak?

— Pojawiałeś się w snach, zapowiadając blizki swój powrót. Pewnej nocy Lintang uradowana zbudziła się i na posłaniu swem znalazła świeżo zerwane kwiaty, obsypane zimną, obfitą rosą... Kiedy indziej, wracając o zmierzchu do chaty i stanąwszy w progu, krzyknęła, bo ujrzała ciebie, panie, pochylonego nad bawiącym się dzieckiem... W nocy widziała cię we snach, schodzącego po pokładzie statku lub też zapatrzonego w morze... Raz zbudziła się przerażona i do rana już zasnąć nie mogła... Mówiła, że między nią a tobą stanęła jakaś olbrzymia wieża, która wynurzyła się z odmętów morskich. Wieża była ogromna, wyniosła, dumna, i lśniąca, jak rycerz w zbroi, zaś na głowie miała wielki hełm, z którego tryskały cztery złote, ostre miecze...

— Skąd wiecie? Kto wam powiedział? — wyjąkał Ramian.

— Nikt. Serce kochające. Ty sam. Aż wreszcie — przyszedłeś. Było to jakie dziesięć dni temu, rano, tuż po wschodzie słońca. Siedziałem przed domem na schodkach, u stóp mych bawił się Selim, Lintang krzątała się około śniadania. Poranek był piękny, słoneczny, gaj palmowy przed naszym domem rozradowany jasnością. Lintang wyszła na ganek i w tej chwili usłyszałem jej napół stłumiony okrzyk, dziwny,

jakby obcym, nie swoim głosem wydany. Mimowoli spojrzałem przed siebie. Selim też odwrócił głowę i patrzył w gaj palmowy — i oto na ścieżce wśród palm pojawiłeś się ty. W białym ubraniu, w hełmie białym, uśmiechnięty i pogodny szedłeś ku nam. Wyszedszy z pomiędzy drzew stanąłeś w słońcu i patrząc ku nam wyrzekłeś po malajsku jedno jedyne słowo: — Przyjechaliśmy. — Powiedziałeś to po malajsku: Suda naik! A potem zniknąłeś, rozplynąłeś się w powietrzu. Widziałem własnymi oczami — ja, Lintang i Selim. Od tej chwili Lintang wiedziała, że powróciłeś. Allah jest wielki!

Tu głos znów umilkł.

— Co dalej? — pytał Ramian.

— Złakłem się! Złakłem się — bo myślałem, że to znak i zapowiedź śmierci twojej, o której sam przyszedłeś nam powiedzieć. Ale Lintang, uradowana, ani chwili nie wątpiła, że ty istotnie wróciłeś. Wówczas udaliśmy się do miasta. Sprzeciwiałem się temu. Byłem zbyt przerażony widzeniem i obawiałem się nieszczęścia. Prócz tego — gdyby nawet sprawdziły się przeczucia córki, czyż można było przewidzieć, jakim wróciłeś? Ale ona powiedziała mi, że szukać cię nie będzie, a tylko pragnie być bliżej ciebie i abyś ty miał ją bliżej siebie. Ustąpiłem jej i oto jesteśmy w gościnie u siostry mej, Fatme, tam, gdzie mieszkaliśmy dawniej, kiedy ty, panie, dłuższy, czas musiałeś bawić w mieście.

— Ta ciasna uliczka tu, przed nami, dom na końcu ulicy, po prawej stronie, z palmą rosnącą przy murze?

— Tak. Więc pamiętasz?

Ramian milczał.

Hadzi Jussuf ben Abdulla skulił się, bo chłód nocy dokuczał już starym jego kościom i milczał też.

— I nie szukaliście mnie? Nie dowiadywaliście się? — odezwał się Ramian po jakimś czasie.

— Nie. Sądziłem, że Lintang zechce cię szukać... Powiedziała mi, że ty przyjdiesz, ale kazała mi oczekiwać cię tu, na tem miejscu, o zwykłej twej dawnej godzinie... I ja czekałem wiernie, choć nie wiedziałem, czy przyjdiesz do mnie jako człowiek, czy też pokazesz mi się — jak wówczas ramkiem, w gaju palmowym... I teraz nie wiem...

Ramian wyjął papierosa i zapalił go benzynową zapalniczką. Żółty płomień zachwiał się zlekka w powietrzu. Ramian rozmyślnie nie gasił go, lecz z uśmiechem w oczach zwrócił się ku swemu towarzyszowi.

Wyjrzała ku niemu starcza, pomarszczona twarz bez zarostu i wielkie, czarne oczy, patrzące pogodnie, spokojne i trochę smutne zarazem. Hadzi Jussuf ben Abdulla miał na sobie żółty kaftan i zielony turban. Siedział na skrzyżowanych nogach, a na kolanach jego leżała czarna laska, którą się widocznie podpierał, gdy chodził.

Patrzyli sobie w oczy, oświetleni żółtym blaskiem, który w niewielkiej odległości od płomienia wsiąkał w czarną ciemność, podobną do niskiego, czarnego sklepienia. Wyglądało to, jakby się znajdowali w piwnicy lub w podziemiu.

Hadzi Jussuf ben Abdulla uśmiechnął się — a uśmiech miał pogodny, naiwny, prawie dziecinny.

— Widzę, o panie, że kwitniesz zdrowiem i siłą. Bóg jest miłosierny!

— Przyjrzyj się mi dobrze, Hadzi Jussufie! — mówił Ramian, patrząc starcowi mocno w oczy i nie gasząc płomienia, z którego szybko leciała w górę

ciemna nić czarnego dymu. — Przyjrzyj się mi! Czy tak wyglądał Mata-ari, ojciec Selima, mąż twej córki?

Starzec patrzył mu w oczy bacznie, w milczącym skupieniu.

— Przyjrzyj się mojej twarzy, postaci...

Powstał, potem znowu usiadł. Oczy starca objęły jego twarz badawczym, ostrem spojrzeniem, tak ostrem, że Ramian czuł, jakgdyby mu maskę z twarzy zdierano.

— Tasama dusza w oczach! — rzekł Hadzi Jussuf ben Abdula. — Może starsza o parę ciężkich lat, ale tasama.

Ramian zgasił płomień zapalniczki.

Zapadły nieprzeniknione ciemności.

Jak gdyby powiedzieli sobie już wszystko, milczeli przez długą chwilę.

Ramian zastanawiał się, czy wyznać starcowi, że nie jest tym, za kogo go biorą, czy też załatwić tę sprawę z osobą najbardziej zainteresowaną — to jest: z jego córką. Jussuf najwidoczniej nie miał żadnych wątpliwości co do niego. Zatem podobieństwo musiało być zupełne. Jednakże kobieta — zwłaszcza kobieta kochająca — podobieństwem powierzchownym, zewnętrznym, w błąd się wprowadzić nie da. Jest mnóstwo drobnych szczegółów jej tylko znanych. Odcień zabarwienia oczu, ich wyraz, rysunek brwi, dłonie, ręce, rysunek ust, wreszcie choćby zapach męczyzny, jakieś minimalne, jej tylko znane szczególne znaki, intonacja głosu... Nie, to się wyjaśni, to się musi wyjaśnić i skończyć...

— Lintang śpi? — spytał Ramian.

— Nie. Czeka na ciebie. Od tyłu nocy już...

Ramian wstał nagle.

— A więc chodźmy do niej.

Jussuf wstał również. Słysząc było, jak laską szukał drogi.

Szary cień zanurzył się w ciemnościach.

— Chodźmy!

— Zaraz! — rzekł Ramian, przeciągając się, aż aż kości w stawach zatrzeszczały.

## XXVII.

Kiedy szedł za swym przewodnikiem, niewyraźnie majaczącym przed nim w ciemnościach, uderzyła go przykra myśl.

Oto za chwilę wszystko się skończy, bo Lintang niezawodnie od pierwszego wejrzenia pozna, że nie jest tym, kogo ona oczekuje, za kogo może pragnęłaby uchodzić. Rozwieją się wszystkie tęsknoty i nadzieje...

— I będzie to, co było! — westchnął w duchu.

O, nie, już nie to! Wszakże on, dziwną siłą gnany, zakłębiami jakimiś trzymany na wodzy, ku niej, Nieznanej, dążył wciąż, wierząc i wiedząc, że ona ma w swych rękach tajemnicę jego życia i szczęścia... Utwierdzały go w tej wierze znaki, liczne, cudowne, zdumiewające swą siłą rzadko spotykaną, ale w gruncie rzeczy nie inne od tych znaków, jakie wszystkich ludzi zwykle prowadzą ku duszom, sobie przeznaczonym... Czyż nie równie cudowną jest, tak często zresztą potwierdzona życiem wiara młodego człowieka, iż tam, gdzieś, wśród mrowia ludzi, na świecie jest ktoś nieznany, a jedynie blizki i wszystko wiedzący... Czy najzwyczajniejszy człowiek nie widzi w snach swego przeznaczenia? Najbanalniejsze spotkanie się dwojga młodych kochanków w „rondzie“ na krakowskich plantach lub pod pomnikiem Litawora i Grażyny, nie jest niczem innym, jak tylko cudownym potwierdzeniem tej prawdy... Na czym polega ten dobór? Na tem, że odtrąca się dusze obce, niezna-

jome, a idzie się ku duszom swoim, blizkim, znajomym, oczami duszy widzianym i znanym od wieków. Tak on szedł do niej, a to że znalazł ją za morzami, nie jest ani mniejszym ani większym cudem, niż gdyby ją był znalazł w tłumie gości na raucie lub w teatrze... I pokazuje się, że wszystko napróżno... Zapatrzony w swą gwiazdę, szedł i szedł, zmagając się po drodze z upiorami, które jedynie nie odstępowały go ani na krok, podrywały mu nogi, chciały sprowadzić go na manowce, doprowadzały nawet do upadku... A po tylu trudach stanie na pustkowiu, gdzie już nie będzie nic, prócz drwiącego śmiechu z tak okrutnej a wydarzonej komedji.

Zrobiło mu się bardzo smutno.

— A więc to koniec! — powtarzał. — Posępny, żaloszny, haniebny koniec... w zapadłym kącie, w dusznej izdebce starego, odrapanego domu w dzielnicy krajowców na dalekiej wyspie... Tam obca dziewczyna w obcym prawdopodobnie języku ma wyrzec nademną sąd... Niezbadane wyroki...

Tak, tasama ciasna, ślepa uliczka, tensam na jej końcu mały, niski dom. Coś zaszumiło, zaszeleściło nad głową... Ach, to palma, ta tęsknie wychylająca się na ulicę palma za murem... Skrzypnęła furtka drewniana... Czarne, ciemne podwórze i różowy ledwo dostrzegalny brzask, proszący przez okno... To tam, tam.

Hadzi Jussuf ben Abdulla stanął i zwróciwszy się do Ramiana, rzekł półgłosem:

— Czuwa! Tyle już nocy... Wejdzmy!

— Czeka! — szepnął Ramian.

W cichem, ciemnem podwórku, okolonem zewsząd wysokimi murami, stał jak na dnie studni. Coraz miłośniej, coraz tkliwiej obejmowała go noc. Cisza

drzemiących po służbie dziennej budynków, jakby zgarbionych teraz i przykucniętych, zaspana, gęsta ciemność czarnych kątów, śpiących mocno i twardo, ledwo dosłyszalne pod dachem cichutkie poświstywanie przez sen gołębi, senne ciepło ludzkiego obejścia i spokój, zrzadka tylko przerywany westchnieniami, niby szelestem miękkich skrzydeł odlatujących marzeń a napęczniały tajemniczem, niesamowitem życiem dusz, napół wyzwolonych lub wyzwalających się z pod przemocy ciała.

Rozległo się kilka głośno wybelkotanych przez sen słów, po nich podrażniony, mocny krzyk dziecka i smętna melodia kołysanki.

Ramian chwycił starca za rękę.

— Kto krzyczy? — szepnął.

— Selim, syn twój. Pewnie gniewa się we śnie na którego z nieposłusznych rówieśników swoich. A może dokuczają mu przykre sny?

— Mocny ma głos! — rzekł Ramian miękko. — Duży to już chłopak?

— Silny jak lwiatko, a podobny do ciebie... Twoje ma jasne oczy...

— Moje oczy! — powtórzył w zamyśleniu Ramian.

— Ale nie stój tak, panie... Raczej wejdz do domu... Gdyby cię który z sąsiadów ujrzał, bielejącego w tem ubraniu w środku podwórza, wśród nocy, mógłby myśleć, że dom nasz duch jaki nawiedza... Mnie samemu straszno... Jawa! Jak gdyby siła jakaś z ciebie wychodziła niesamowita... Allach bismillah! Noc nie zawsze jest przyjaciółką człowieka... Wejdz w dom, panie...

— Jeszcze chwilę, jeszcze chwilę...

Ze wszystkich stron ogarniało go coś w rodzaju miękkiego, ciepłego prądu. Miał wrażenie, że słyszy

szept łagodny, tkliwy, kojący jak słowa przebaczenia, że rąk jego i twarzy dotykają pieśczośliwie dłonie delikatnie a gładkie, niby płatki kwiatów. Czuł koło siebie oddech gorący, uwodzącą i czarującą bliskość ciała niemal ocierającego się o niego. Wrażenie było tak silne, iż Ramianowi krew uderzyła do głowy, jakby go nagle fala gorąca oblała. Podniecony tem odnalazł swą odwagę i pewność siebie.

— Więc chodźmy! — rzekł półgłosem.

Szedł wprost przed siebie, jak w jasnowidzeniu. Nie potknął się, niczego nie potrącił, od razu trafił do drzwi. Wszedł do ciemnej sionki a potem, ledwie rękę przed siebie wyciągnął już drzwi trącone otwarły się zwolna, zaśpiewawszy cichutko i melodyjnie.

W pierwszej chwili nie widział prawie nic. Stał na progu niewielkiej pustej izdebki, tonącej w nieledwie słabem, różowym świetle lampy czy lampki, którą otwarte drzwi przysłoniły. Przed sobą miał jakieś kształty czy kształt niewyraźny i nieokreślony. To pierwsze wrażenie trwało może ćwierć sekundy — poczem nastął dziwny ruch. Cienie jakieś, nieuchwytnie i nieodgadnione, rozskoczyły się szybko, rozbiegły i poznikały w kątach lub wsiąkły w ściany, odsłaniając kształt, który otaczały. Nie był to kształt w ścisłym znaczeniu słowa, lecz właśnie rzecz bezkształtna i bezwładna, coś niby wór czy toból, gdy cienie pierzchające były niby przychwyceni na gorącym uczynku złoczyńcy. Ale teraz pojaśniało w izbie trochę. Czy cień jaki odstąpił i usunął się na bok z przed lampy? Ramian odniósł takie wrażenie, bo teraz już widział. Wprost naprzeciw niego ktoś siedział na czemś rozesłanem na ziemi, oparty plecami z głową w tył przechyloną; złote, czerwone i zielone ogniki pełzały po tej figurze, w nieruchomości swej podobnej do

posągu bóstwa o zarysach jednak niepewnych, wciąż jeszcze rozplywających się czy otulonych ciemną, falującą mgielką.

Lecz tajemniczy różowy blask stawał się z każdą chwilą silniejszy, a nieruchome wciąż jeszcze zjawisko przybrało znów inną postać. Oto na ziemi rozkwitła nigdy nie widziana, wielka róża wielobarwna, zaś z kielicha jej, obsypanego wiaź biegającymi iskierkami, wytrysnął precudny kształt kobiety, od pasa wynurzonej z kwiatu, złoto-brunatnej a przystrojonej tylko w klejnoty — lśniące od kamieni napierśniki złote, naszyjnik, jakby z węgla rozżarzonych i mnóstwo naramienników i bransolet z różnych metalów i różne rzucających błyski. Na głowie miała to zjawisko niby hełm czarny, którego skrzydła cień rzucały na twarz, ale z pomiędzy zmrużonych rzęs przebłyskiwały zamglone oczy a na czarnym hełmie lśniły czerwone krople krwi.

Ramian stał w drzwiach, tłumiąc oddech.

Głos cichy lecz wyraźny a słodki rzekł:

— Ja nie śpię, o najukochańszy!

Skąd ten głos?

Pierś zjawiska nie poruszyła się, wargi nie drgnęły.

Ale wówczas Ramian ujrzał, jak mgielka, wciąż osnuwająca postać, siedzącą na ziemi, rozplynęła w powietrzu. I równocześnie wróciła mu świadomy wzrok.

Na jedwabnych, kraśnych chustach siedziała przed nim, skrzyżowawszy nogi, młoda, piękna zbudowana Malajka, jak w pianie tęczowej tonąca do pasa w rozrzuconych dokoła siebie różnobarwnych fałdach sukni czy też szerokich szarawarów. Od pasa naga, w klejnotach, które na złocistej jej skórze wyglądały niby kosztowne hafty, włosy niezmiernie bujne, czarne,

drobnymi, czerwonymi kwiatuškami przetykane, u-  
pięła w kształt helmu, którego nisko opuszczone  
skrzydła osłaniały policzki. Między jej zmrużonymi  
oczami połyskiwał na czole złościście jakiś świecący  
punkt, zaś z uszu jej, sięgając ramion, zwisały dwa  
długie nauszki w kształcie srebrnych grotów, zakoń-  
czonych kamieniami księżycowemi. Tylko usta czer-  
wone, o precudnie zarysowanym łuku a podkreślone  
ledwo dostrzegalnym połyskiem białych zębów, wy-  
chylały się z cienia żywe, ciepłe, w kącikach warg  
uśmiechem drgające.

Głos znów zaśpiewał cicho;

— Wejdz, o najdroższy! Noc ciemna i późna!  
Duchy nieżyczliwe gromadzą się w ciemnościach.  
Śmiejesz się z głupoty mojej, o, niewierzący! Nie lęka  
się ślepiec tygrysa, bo go nie widział!... Ale duchy  
bywają zawistne, zazdroszczą szczęścia ludziom, i chętnie  
piją ciepłą krew dzieci, zaś Selim nasz jeszcze słaby  
i bezbronny... Patrz, jak spokojnie śpi...

Pełnym wdzięku ruchem pochyliła głowę nad  
dzieckiem, w które wpatrywała się przez chwilę,  
łasciwie był to lśniący, w makatę spowity węzełek,  
złożoną na udzie kobiety kędzierzawą główką.  
Matka zasłaniała ją od światła drobną dłonią o dłu-  
gie, cienkich palcach, zdobnych w lśniące, srebrne  
pierścienie. Ubarwione, czerwone paznokcie połys-  
kiwały jak rubiny.

— Teraz śpi i będzie spał mocno. Ale w dzień  
ani chwili spokoju mi nie daje, taki jest żywy ten  
mój tyran... Zaś ty, panie mój, nie stój tak w progu...  
Uspokój się. Oto osłoniony jesteś tarczami serc, ko-  
chających cię nadewszystko a oddanych ci szczerze  
i wiernie. Niech w tobie zcichną już burze, niech

znikną męczące wątpliwości. Nie lękaj się. Ja wiem  
wszystko.

— Co wiesz? — zmieształ się Ramian.

— Wiem wszystko! — powtórzyła młoda kobieta  
z nieznacznym naciskiem. Czy sądzisz, że można co  
zataić przed okiem miłości? Jednakże wejdz i zam-  
knij drzwi.

Posłusznie i skwapliwie zamknął za sobą drzwi,  
rad, że może zrobić coś codziennego, co zupełnie  
rozumie i umie. Ale kiedy to uczynił, znowu stanął  
bezzadnie, nie wiedząc, co ze sobą począć. Zaś ko-  
bieta, przechyliwszy w tył głowę i oparłszy ją o ścianę,  
mówiła:

— Czekałam cię. Wiedziałam, że dziś przyjdiesz,  
życie moje. Czuwałam, abys nie odszedł od mych  
drzwi, abys nie potrzebował pukać do okna, abys  
zastał mnie przygotowaną i chętną. Widzisz tę lampkę,  
różowe światło miłości naszej? Hai, hai, płomień jej  
świeci żarem pocałunków, które już nie wrócą! We  
flakonie masz wino czarne, mocne, grzejące, a światło  
lampki budzi w niem wspomnienia krwi bogów za-  
pomnianych. Na srebrnej misie ułożyłam owoce, so-  
czyste pomarańcze, słodkie mandarynki... Nie czujesz  
ich woni orzeźwiającej? Najpiękniejsze kwiaty rzuciłam  
ci pod nogi...

Wyraźnie teraz widać już było jej twarz i niepo-  
spolita, precudna piękność jej rysów oszołomiła Ra-  
miana. Na dwóch idealnie równych, cienkich łukach  
czarnych brwi zbudowane było czoło, gładkie, po-  
godne, czyste i jasne, jak fronton świątyni. Słodki,  
niepokalanie czysty owal twarzy przypominał oblicza  
bogów. Opuszczone powieki wielkich oczu drgały  
tajemniczo a lekko, jak skrzydła motyli, zaś od dłu-  
gich, jedwabistych, czarnych rzęs cień padał na po-

liczki. Między brwiami widniał złoty punkt kasty, zaś nos niewielki, niemal wycyzelowany, świadczył o wysokiej rasie. Dziewicza czystość, połączona z łagodną, macierzyńską tkliwością, składały się na duszę tej twarzy, promieniającej dobrocią i świętym blaskiem pokornego oddania się.

Naraz powieki zadrgały silniej, dźwignęły się czarne zasłony długich rzęs, z wielkich, podłużnych, migdałowych oczu strzeliły dwie ciemno-niebieskie błyskawice i Ramian uczuł, że wstrząsnął nim prąd, który wszystko w nim wzburzył, skruszył całą jego oporność i zupełnie pozbawił panowania nad sobą.

Wówczas ciemne błyskawice w czarnych oczach zgasły, powoli opadły powieki, zemknęły się znowu jedwabiste rzęsy.

Nieraz zdarzało się Ramianowi podziwiać niezwykłą siłę i promienną mowę oczu ludzkich, nieraz patrzył w oczy kobiet bardzo pięknych, w oczy niezrównane, kuszące, żywe, mówiące częstokroć znacznie piękniej, wymowniej i mądrzej niż usta, napróżno przebijające w lamusie słów wyszarzałych, wytartych i nic nie znaczących. Jednakże to, co te oczy mówiły, nie było bynajmniej nieodgadnione ani tajemnicze, bywało co najwyżej niecodziennie szersze niż słowa, czystsze niż słowa, sprzeczne z pozorami, wyższe nad powszedniość. Ale ta krótka i potężna jak grom czarno-niebieska błyskawica, która niespodziewanie rozświetliła przepastną głęb ciemnych oczu Malajki jak gdyby oświetliła nowy, zupełnie nieznan, nikomu niedostępny świat z własnym swym odrębnym życiem, odrębnym światłem, z odrębnymi nowymi zagadnieniami. To była błyskawicowa Pieśń Nowego Życia, w jednym czarodziejskim słowie, jak zaklęcie potężne, zamknięta Pieśń Ziemi Nieznanej, pełne

obietnic może złudnych, zwodniczych lecz niepokojących a sięgających w głąb duszy.

Ramian w jednej chwili uczuł, że te znaki daje mu to Nieznane, o którym marzył całe życie a może i przed życiem jeszcze. Któżby się temu wołaniu oparł? Poszedłby za nim żeglarz, pod pozorem, że chce szukać nowych dróg, poszedłby za nim żołnierz pod pozorem, iż idzie ubiedz podstępного wroga, uległby mu misjonarz, zasłaniając się swym świętem powołaniem szerszenia wiary prawdziwej i nie odstraszyłaby ich ani śmierć w głębinach morza, ani na polu bitwy, ani u pala męczeństwa.

— Spocznij! — zapraszał głos cichy i serdeczny. — Widzę, że serce twe przepełnione jest słowy gorzkimi a paląciami, jak łyż. Oto zgęszczona w nich treść dni minionych, z których rozpamiętywanie wycisnęło cały sok. Nie lękam się jego goryczy. Usiądź i mów, co ci serce każe...

Podsunała mu poduszkę, na którą się osunął, a usadowiwszy się, jak mógł, zaczął mówić, napół kłęcząc przed nią, niby przed bóstwem. Zaś ona słuchała, nieruchoma, z głową przechyloną w tył i z przymkniętymi oczami.

— Niema co tać! — mówił nerwowo, prawie gorączkowo. — Sama czujesz... Zresztą — nie miałem zamiaru oszukiwać cię... Rzecz jest istotnie dziwna, niezwykła i prócz nas dwojga niktby nie uwierzył, nikt! Prócz nas dwojga, którzy wiemy.

— Którzy wiemy! — powtórzyła kobieta.

Ramianowi zdawało się, że pierś jej podniosła się jakby z westchnieniem ulgi.

— Nie wytłumaczysz mi tego i nie chcę, abys mi tłumaczyła! — mówił dalej. — Wiem, że mnie wołałaś. Słyszałem cię za tyłu morzami! W nocy słyszałem



szept twój u mego ucha, w dzień twarz twoja spoglądała ku mnie z twarzy drugich ludzi, w snach mych widziałem cię tańczącą dokoła mnie, w ciszy nocnej zdaleka dolatywał do mnie krzyk twej tęsknoty...

— I wiesz, że to był krzyk mój?

— Tak. Może nie wołałaś mnie, ale ja, ja ten krzyk twój słyszałem i — poszedłem za nim, oprzeć się mu nie mogąc. Żyłem w kraju, w którym ludzie uważają szczęście nie za potrzebę dnia powszedniego, lecz za zbytek, gorzej — za owoc zakazany. Żyłem jak oni, nigdy o szczęściu nie zamarzyłem, a naraz — zbladło i poszarzało wszystko dokoła mnie i poznałem, że bez szczęścia żyć nie potrafię i że szczęście moje jest... Szczęście moje jest...

— Gdzie?

— Gdzie? Czy sądzisz, że wiedziałem? Nie wiedziałem nic, prócz tego, że gdzieś bardzo daleko, w ziemi nieznanej, tańczy gorejący złością płomień mego prawdziwego życia... Wszystko dokoła mnie okwitło, zwiędło, zginęło...

Tu głos zadrgał mu boleśnie.

— O, Lintang, powiedz mi, kto wziął mi syna mego, dziecko moje jedyne? Dlaczego ta jedna jedyna moja dusza na świecie, spojrzawszy mi w twarz, odeszła znowu, wróciła w nicość.

— Nikt nigdy nie odbierał ci dziecka! — z mocą dostojną wyrzekła Lintang. — Oto syn twój po wszystkie czasy, dziecię krwi i miłości twojej i sługa twój wierny, który życie da za ciebie.

— Ach, niczyjego życia ja nie chcę! — uśmiechnął się gorzko.

— Co straciłeś tam, stokrotnie odnajdziesz tu.

— Więc — zostałem samotny jak żebrak... Wtedy

zerwałem wszystkie pęta i ruszyłem w świat... szukać ciebie...

— Mnie szukałeś?

— Ciebie. Szukałem — nie wiedząc — i znalazłem. Szedłem za krzykiem twego serca, za wołaniem twojej miłości. Jakże inaczej trafiłbym na tę wyspę, jedną z tylu wysp, rozsypanych, rozsianych w licznych archipelagach, rozrzuconych po morzu...

— Gdybym była na gwieździe, ukrytej w tłumie gwiazd na niebiosach, znalazłbyś mnie, albowiem jestem twojem przeznaczeniem. Ty wiesz...

— Wiem. Jednakże zrozumiej, o, Lintang! Ja nie jestem tym, za kogo mnie bierzesz...

— Przyjdiesz do siebie w mych ramionach, patrząc, jak rośnie twój syn...

— Nie. Słuchaj, zrozumiej! Ojciec twego dziecka, twego syna, ten, którego kochałaś, a który potem nagle zniknął, nazywał się Allan Joe Stanley.

— Tak nazywał go jego lud. Dla mnie on był „Mata-ari“ — słońce.

— Ja zaś nazywam się Stanley Ramian...

— Tak może nazywa cię teraz twój lud. Cóż ja wiem o drogach ludzi białych? Dla mnie zawsze jesteś „Mata-ari“ — słońce moje...

— O, Lintang, chciej mnie zrozumieć! Nie ja jestem ojcem syna twego, nie ja jestem twem „Mata-ari“! Jest to żart złośliwy bogów albo demonów, którzy dwóch zupełnie obcych ludzi uczynili tak podobnymi do siebie...

Lintang spojrzała nań szeroko otwartymi oczami.

— Poco to mówisz? — spytała.

— Ponieważ to prawda.

— Skąd wiesz? — pytała dalej niemal ironicznie. Ramian wyjął swój paszport.

— Umiesz czytać po angielsku? Umiesz. Otóż moje papiery. Sama możesz się z nich przekonać.

Lintang uśmiechnęła się i odsunęła wyciągniętą rękę z pasportem.

— O, Mata-ari! — rzekła z jasnym, pobłażliwym uśmiechem. — Zawsze jesteś tensam, zawsze tosamo dziecko! Każesz mi czytać z książeczki, gdy ja mam cię przed sobą i mogę czytać w twych oczach, w twojem i mojem sercu... Ha-i! Myślisz, że miłość wie mniej od tego urzędnika, który pisał w twej książeczce?...

— Czy sądzisz, że chcę cię oszukiwać?

— Mata-ari! Ja nie znam dróg białego człowieka, ja nie wiem, do czego mądrość twa zmierza. Wiem, że jesteś mojem Mata-ari, że cię kocham i że jestem sługą twoją. Jeśli chcesz czego odemnie, rozkaż mi zrozumiale, abym to uczyniła — a uczynię, choćbyś mi kazał zabić własnego syna.

Tu pochyliła się nad dzieckiem.

— Jak twardo on śpi! Jest prześliczny... i mądry. Już dziś wszyscy są mu posłuszni... Będzie wielkim człowiekiem! Pójdzie w świat za ojcem. Biada mi! Opuscicie mnie obaj i osierocieję podwójnie!

Wtem chłopak poruszył się i nagle usiadł. Ujrawszy Ramiana, przyglądał mu się przez chwilę zdziwionymi, jasnymi oczami, a potem uśmiechnął się do niego i pocałował go w rękę. Snać jednak sen go morzył, bo już w chwilę później zamknął oczy i, oparłszy twarzyczkę o dłoń Ramiana, spał dalej...

— Jaki mądry! — ucieszyła się matka. — Skąd ta mądrość? Maleńki był, kiedy odszedłeś od nas, a przecie poznał cię. Krew czuje ojca.

Ramian umilkł i przez dłuższy czas siedział bez słowa, zamyślony, prawie przygnębiony. W ręce swej

czuł drobną, ciepłą rączkę śpiącego dziecka. I ta rączka zaciskała się czasem, mimowoli chwytając go za palce i w tajemniczy, rozkoszny sposób wstrząsając rytmem swej krwi całem jego jestestwem.

Podawała mu odrobinę wina w srebrnym kubku.

Wypił spragniony, z gardłem wyschłym od wzruszenia, a potem rzekł:

— Jest to wprost straszne. Widzę, że będę musiał odejść sam...

Spojrzała na niego zdziwiona.

— Dlaczego? Szczęście masz u swych nóg i chcesz odejść? Boisz się szczęścia? Nie śmiesz mu w twarz spojrzeć — Mata-ari?! Ja nigdy cię nie zatrzymywałam, nie chciałam wiązać skrzydeł twojej duszy, ale czy sądzisz, że Selim pozwoli ci odejść, że cię puści?

Ramian poruszył przecząco głową.

— Lintang! Ja tu nigdy jeszcze nie byłem. Ojciec twego syna był tu przed kilku laty. Tak. Potem zniknął. Co się z nim stało, nie wiem, bo ja mieszkałem wtedy gdzieindziej, gdzie miałem żonę i dziecko. A potem przyjechałem tu. Pierwszy raz. Tu wszyscy mówią... nie, mniejsza z tem... Dziś przyszedłem do ciebie — pierwszy raz i pierwszy raz cię widzę...

— Skąd wiesz? — uśmiechnęła się, podając mu znów kubek z winem. — Skąd wiesz? I czy możesz to wiedzieć lepiej odemnie? Jedna z moich przyjaciółek chodziła w czasie pełni księżyca po morzu... Do piersi zanurzona w wodzie, nie tonęła jednakże, lecz szła wciąż przed siebie. Ja widziałam. Ale ona nie wiedziała nic o tem, nie widziała morza, ani niebezpieczeństwa, ani ludzi, a tylko niewymownie piękne kwiaty na księżycu, kwiaty, ku którym szła przez głębokości i fale morskie, silniejsza nawet od śmierci...

— Nie jestem we śnie...

— O, Mata-ari, czy człowiek wie to kiedy?

— Lecz jeśli wróci prawdziwy ojciec Selima?

Pótrząsnęła głową z pobłażliwym uśmiechem, a potem, zwróciwszy nań poważne spojrzenie otchłannych, aksamitno-czarnych oczu, rzekła:

— Jak Bóg jest jeden, tak jeden jest tylko ojciec syna mego, Selima, kochanek mój najdroższy, mąż i pan aż do śmierci...

I pochyliła się naprzód tak, że głowa jej dotknęła ziemi.

## XXVIII.

Ramian mówił:

— Daliście mi miesiąc czasu do namysłu. Od dnia naszego przybycia tutaj nie upłynęły jeszcze nawet dwa tygodnie.

— A wy już zdążyliście nabyć piękną plantację! — wtrącił Phips.

— Mogłem ich był kupić nawet dziesięć, gdyby mi się podobało! — rzekł Ramian. — Nie jestem obojętny nikomu się tłumaczyć, raz dlatego, że żadna umowa dotychczas mnie nie wiąże, powtóre dlatego, że, być może, właśnie gotów jestem przystąpić do spółki z wami.

— Nie rozumiem! — bąknął Phips.

— Wcale też nie pragnę, aby każdy rozumiał wszystko, co ja robię.

Tu odezwał się Hume:

— Phips, zostawcie to! Przecie on ma prawo kupić sobie, co się mu podoba. To jest istotnie wasze prawo, Ramian. Wszystko w porządku...

— Wiem, że wszystko w porządku, ale chcę, abyście i wy wiedzieli. Majątek w Kuala Kubu — to moja fantazja...

— Doskonała fantazja! — dodał Phips. — Nadzwyczaj rentowna i tanio kupiona. O to mi właśnie idzie, bo pokazuje się z tego, że wam ktoś bardzo doświadczony i mądry pomaga w orjentowaniu się.

...u taksamo nowi, jak i wy i taksamo  
...rupić...

...nie — nie doradzał mi nikt. Że na  
...łtku nie straciłem, to przypadek. Ku-  
...ret ze stratą... Nie kupowałem go dla

— W każdym razie — pogratulować!

— Dziękuję.

Anglicy przyglądali mu się bacznie i z z cieka-  
wieniem, jakby go pierwszy raz widzieli.

— Doskonale wyglądacie! — mruknął Hume.

— Dobrze się tu czuję.

— Klimat nie szkodzi wam?

— Nie. Tam, u mnie, jest zdrowo. Góry nieda-  
leko, równina szeroka, przewiewna..

— Jak się porozumiewacie z krajowcami? Jesteście  
z nimi w zgodzie? Nie dokuczają wam?

Ramian uśmiechnął się.

— Nauczyłem się trochę po malajsku, zresztą —  
jakoś to idzie...

Nie mógł im przecie powiedzieć, że Malaje uwa-  
żali go niemal za nadludzką istotę, cieszącą się szcze-  
gólnymi względami niebios.

— Nie czujecie się tam obco, samotnie?

Roześmianymi oczami spojrzął na Hume'a, ale  
zamiast odpowiedzi potrząsnął tylko przecząco głową.  
Nikt nawet nie wie, że istnieje niejaki Selim Ramian,  
który jest w dziesięciu miejscach naraz, wszystko musi  
wiedzieć, do każdej dziury wpaść i do wszystkiego się  
mieszać. Nikt nie wie, co zwiastuje wieczorem różowe  
światelko, wędrujące po małym, białym dworku. Nikt  
nie zna ani tych niezliczonych pieśni, ani ballad, ani  
opowieści, których pełne są ciche, ciepłe noce... Nikt  
nie wie, jak wspaniale rozkwita czerwony kwiat róży...

— Słowem: Podoba się wam tutaj?

— Oczywiście! — odrzekł Ramian. — Patrzcie!  
Morze, jak srebrny muślin na jasno-zielonym jedwabiu,  
niebo i góry błękitne, ziemia purpurowa, na niej bru-  
natne palmy z zielonymi pióropuszcami, brunatni ludzie  
w barwnych sarongach i turbanach i białe domy... To  
przecie piękne... A w głębi wyspy mam lasy, plemiona  
jeszcze dzikie, ludzi nagich, chodzących z łukami i dzi-  
dami, nieodgadnioną wspaniałość zapomnianych świą-  
tyń podziemnych, nieodcyfrowane zagadki tajemniczych  
zwyczajów, pieśni barwne, jak perskie kobierce — cały  
świat! Mogę powiedzieć — mam swój świat i dobrze  
mi w nim.

— Dobrze. Więc — przystąpicie do spółki?

— Chętnie. Chciałbym pracować. Tyle tu do zro-  
bienia!

— Kiedyż się zobaczymy?

— Przyjedźcie do mnie... Zobaczycie plantacje...

Pomówimy...

Przez chwilę milczeli, przyglądając się sobie.

— Czy pozwolicie zadać mi jedno pytanie w spra-  
wie, dotyczącej was osobiście? — rzekł po pauzie  
Hume.

— Proszę.

— Co właściwie jest na tej historii z owym Stan-  
ley'em?

Ramian roześmiał się głośno...

— Przed dwoma tygodniami odpowiedziałbym  
wam: I że też może wam, Hume, przyjść do głowy  
coś podobnego? Ale dziś — nie wiem.

— Jakże was nazywać?

— Wszystko mi jedno, jak mnie kto nazywa, za-  
leży mi tylko na tem, czem jestem.

— Czekajcież! — przerwał mu Phips. — Opowia-

dają na wasz temat bardzo ciekawą historję o sobo-  
wtórah, ciałach astralnych, czy zamianie dusz...

— Ach, proszę was, opowiadają! Phips, czy du-  
sza to para, taki dymek, czy też coś w rodzaju prze-  
żroczystej konfitury w człowieku? Riksza, jedziemy  
do miasta!

— Ada, tuan! — zawołał riksza, podbiegając  
ku niemu.

— Ależ, co wy o tem myślicie! — wykrzyknął  
Phips. — Przecie nie może być, aby człowiek miał  
dwie dusze, czy jak! Ja jestem — ja, wy, to — wy,  
on, to — on!

Ramian, który stał już na wózczyku rikszy,  
oparł się dłonią o poręcz, szerokiem spojrzeniem ogar-  
nął Srebrne Morze i krajobraz wyspy, a potem,  
wzruszywszy lekko ramionami, rzekł, z góry patrząc  
na Phipsa:

— Tak myślicie? Zaś ja powiem inaczej: Ja, wy,  
on, palma, mewa, morze, ziemia, trawa, on, wy, ja...

Riksza, sądząc, że Ramian już siedzi, poczłapał  
bosemi stopami po twardym gościńcu.

Ramian opadł na fotel.

Chciał się jeszcze odwrócić, ale to tak trudno na  
małym wózczyku rikszy!

A potem — poco się oglądać?

Naprzód! Naprzód!



15135